

# Berg Elizabeth

## Dom otwarty

**Samantha ma 42 lata, jedenastoletniego syna i męża, który właśnie odszedł do innej kobiety. Oszołomiona nową sytuacją, bezradna i zagubiona, próbuje w upokarzający sposób zatrzymać męża przy sobie. To się nie udaje.**

**Samantha pozostaje bez środków do życia. Nieco ekscentryczna matka przedstawia jej mężczyzn, rokujących nadzieję na nowy związek, ale Samantha musi najpierw uporać się ze swoimi uczuciami. Pomagają jej w tym kolejne sublokatorki, a zwłaszcza pewna pogodna starsza pani. Czy Sam odzyska poczucie własnej wartości, czy zechce stać się kobietą sprzed małżeństwa, błyskotliwą i radosną?**



## Prolog

Już wiesz, zanim się dowiedziałaś, to jasne. Pochylasz się nad suszarką, wyciągasz jeszcze ciepłe prześcieradła i ta wiedza pełźnie ci w górę po krzyżu. Gapisz się na mężczyznę, którego kochasz, i wpatrujesz się w nic: nie ma go, zanim naprawdę odszedł.

Po raz ostatni usiłowałam porozumieć się z Davidem kilka tygodni temu. Siedzieliśmy w pokoju dziennym -David wyciągnięty na swoim fotelu, ja na sofie. Travis już spał - tamtego popołudnia obchodził swoje jedenaste urodziny, typowe przyjęcie dla nastolatka, a potem runął wyczerpany do łóżka. Telewizor coś nadawał, ale żadne z nas nie zwracało uwagi na program. David wsadził nos w gazetę, a ja ćwiczyłam w myślach przemowę do niego.

Wreszcie się odezwałam:

- Davidzie? Zerknął znad lektury.

- Wiesz, zgadzam się z tobą, że mamy poważne problemy - rzekłam.

- Jednak istnieje mnóstwo powodów, aby starać się je rozwiązać. - Liczyłam w duchu, że ton mego głosu był przyjazny i ujmujący. Miałam nadzieję, że włosy mi nie sterczą, nos nie jest zbyt wystający i nie wyglądam jak gruba baba, gdy usiadłam wsparta na poduszkach.

- Zastanawiałam się - ciągnęłam - czy byłbyś skłonny pójść' ze mną do specjalisty. Tylko raz. Do terapeuty od spraw małżeńskich. Naprawdę myślę...

- Samantho - usłyszałam w odpowiedzi. I wtedy odparłam:

- No, dobrze.

Wrócił do lektury, a ja znowu zajęłam pozycję horyzontalną na sofie. Czuję, że spadam w głąb szybu od windy. Istniały pewne sprawy, o których wręcz nie mogłam myśleć, a jednak właśnie one przychodziły mi do głowy: jak zakomunikować to ludziom, którym będę musiała powiedzieć. Jakie samotne będą odtąd noce (ten szyb był przepastny). Jak bardzo wierzyłam i jak długo się łudziłam, że będziemy mogli pokonać wszystko, i jak teraz będę musiała się przyznać do klęski. Jaka bolesna jest sytuacja, kiedy chcesz zapytać jedynie „Dlaczego mnie nie chcesz?”, ale właśnie tego pytania nie wolno ci zadać, choć myślisz tylko o tym.

- Davidzie? - odezwałam się znowu, ale tym razem mój mąż nawet nie spojrzał znad gazety.

Ubieram się, żeby wyskoczyć po poranną gazetę. Nowa ja. Kiedyś wyczytałam, że nasza narodowa mistrzyni od manier i dobrego tonu, Martha Stewart, nigdy nie używa szlafroka. Niezbyt ją lubię, jak pewnie wszyscy, nie sędzę nawet, żeby ona sama siebie lubiła. Ale to akurat budzi we mnie sympatię do niej. W każdym razie Martha Stewart prze do przodu. Wstajesz, z miejsca ścielesz łóżko, bierzesz prysznic i wkładasz na siebie wyjściowe ciuchy. Jesteś kuloodporna. Gotowa do walki ze światem. Ruszasz w bój.

Idę do kuchni, parzę mocną kawę i biorę się do przygotowania śniadania dla Trávisa. Dziś zrobię dziecku chałkę obsmażaną na patelni, popiszę się. Kroję skośne kromki, układam artystycznie jedna na drugiej; teraz podgrzeję syrop i podam go w pomalowanym w kwiatki dzbanuszk, który kiedyś podwędziłam z pokoju hotelowego. Nawet masło pokroję w jakieś kształtki. O, w formie wieloryba, Travis tak je lubi. Albo w formie kabrioletu corvette. Jeśli mi to nie wyjdzie, zawsze mogę użyć obieraczki do ziemniaków, wtedy zrobię maślane loki. Kładę błękitną matę na honorowym miejscu przy stole w jadalni, wygładzam ją rękami, obok położę lnianą serwetkę pod kolor, przeciągniętą przez drewnianą obrączkę. Prezent ślubny. Dokładnie pośrodku maty ustawiam talerz, obok sztucce, i cofam się o krok, żeby ocenić nakrycie. Myślę, że Travis naprawdę doceni mój wysiłek.

Boli mnie głowa. Boli mnie głowa, boli mnie serce, tak bardzo boli mnie serce. Przez chwilę tkwię w bezruchu, co jest niebezpieczne. Wracam więc do kuchni, wspinam się na palce, żeby wyciągnąć z półki nad lodówką zakurzony kieliszek od wina, prezent ślubny, myję go i zanoszę do jadalni. Stawiam dokładnie na przedłużeniu linii noża. Znowu zawracam do kuchni i wybieram z koszyka na owoce trzy dorodne pomarańcze. Wycisnę z nich sok, zanim Travis zasiądzie do stołu.

Tak naprawdę to mój syn nie lubi świeżo wyciśniętego soku z pomarańczy, ale powinien przywyknąć do eleganckiego stylu życia, bo takie właśnie będzie zobowiązany prowadzić. Poczawszy od dzisiaj. No, od wczorajszego wieczoru, ale spał, gdy zaczęła się rewolucja. Poszłam do domu towarowego Bloomingdale'a i wyszperałam parę rzeczy na kartę. To był początek, ale gdy wróciłam, dziecko już poszło do łóżka.

Wyprostowuję się, robię głęboki wdech. To jest pierwszy dzień. Każdy następny będzie łatwiejszy. Kiedyś, kiedy pomyślę o śpiącym Travisie, mój żołądek nie będzie już wyprawiał hecy i zachowywał się tak, jakby ktoś wykręcał go potężnymi łapskami.

W porządku. Masło. Nie wychodzą mi kształtki ani wielorybie, ani samochodowe. Natomiast wiórki tną się aż miło. Starannie układam je na kostkach lodu, który położyłam na dnie miseczki. Niosę ją triumfalnie do jadalni i ustawiam na prawo od łyżki. Czy właśnie tak mają stać? Założę się, że musi być jakaś cholernie droga książka autorstwa Marthy Stewart poświęcona sztuce dekorowania stołu. Należy ją nabyć. Może wynajmę luksusową limuzynę i każę się zawieźć do księgarni. Później to zrobię - nie mam ochoty sama prowadzić. Albo rzucę kierowcy, żeby podjechał pod dom Marthy. „Jak rozumiem, jest pani rozwiedziona - powiem jej. -Odnoszę wrażenie, że świetnie sobie pani z tym radzi”.

Ponownie zaglądam do kuchni i wypijam następny kubek kawy. Zabieram się do ubijania jajek i mleka

w błękitno-żółtej misie, *ten sklepik w Paryżu, nasze trwające tydzień wakacje w tym mieście, któregoś razu po wstaniu z łóżka zastygłam przy oknie, a David podszedł, objął mnie od tyłu w pasie, dotknął ustami mego karku*, dodaję szczyptę wanilii w proszku i nieco cukru. Stawiam patelnię na ogniu, dotknął ustami mego karku i wróciliśmy do łóżka, kładę na desce dwie pajdy chałki. Dłonie na końcach moich nadgarstków odcinają skórkę. Nie rozumiem, dlaczego to robią. Och, tak: ponieważ skórka jest twarda.

Siadam przy stole. Wstaję. Znowu siadam. Skupiam się na oddychaniu, to podobno pomaga.

W istocie wcale nie przynosi ulgi.

Zerkam na zegarek. Dobrze, zostało już tylko pięć minut. Zdejmuję fartuch i idę do łazienki na piętze. Ponownie myję zęby, zakładam szkła kontaktowe, szczotkuję włosy, maluję oczy - najpierw cienie, potem tusz do rzęs, wreszcie czas na usta, gustowny cynober. Poprawiam golf mego nowego swetra. Również w kolorze czerwonym - czysty kaszmir. Skrapiam się lekko wodą kolońską Joy, także nowym nabytkiem, za uszami i powyżej dłoni. Wreszcie staję przed lustrem, przyglądając się sobie z daleko posuniętym obiektywizmem.

No cóż, całkiem, całkiem. Zgodą, podkrążone oczy, no i co? Najważniejsze, że sprawię wielką niespodziankę Travisowi. Co za zmiana! Dotychczas widywał mnie rano w starym szlafroku z nieusuwalną plamą po jajku na lewej klapie, a teraz jestem twarzowo ubrana, umalowana i gotowa do wyjścia. Wszystko się odmieni, począwszy od dzisiaj. I wszystko stanie się lepsze.

Ruszam do pokoju Trávisa. Dziecko śpi w rozbebeszonym łóżku - kołdra zrolowana wokół nogi, bluza od piżamy zadarła mu się na plecach, poduszki zsunięte, jedno ramię zwisa nad podłogą.

- Travis? - odzywam się czule, pociągając w górę roletę. - Jest siódma. - Siadam obok niego, masuję mu kark. - Travis?

- Już wstaję - mruży sennym głosem. I nagle, odwracając się szybko, z szeroko otwartymi oczami, krzyczy: - Co tu tak śmierdzi? - Zatyka palcami nos.

Wstaję, robię krok do tyłu.

- To nowe perfumy... Słuchaj, ubierz się i zjedź na dół na śniadanie, dobrze? Robię francuskie tosty.

Zero reakcji.

- Wcale nie mrożone, sama zrobiłam je od początku. Proszę, Travis.

Siada, skrobie się po głowie. Dwa loczki blond sterczą jak diabelskie różki. Mój syn ma na sobie jeden z podkoszulków Davida i własne spodnie od piżamy. Teraz dostrzegam, że są dla niego za krótkie. No cóż. Żaden problem. Dziś kupię mu nowe. Może Ralph Lauren produkuje piżamy dla chłopców. Jedwabne, z monogramem na kieszonce.

Travis ziewa przeciągle i drapie się po brzuchu. Odwracam głowę, ubolewając w myślach nad jego męskimi odruchami. Wydaje się, że tak niedawno musiałam korzystać z działających na wyobraźnię zestawów z klocków lego - dinozaurów z zębatymi grzbietami, tajnych stacji kosmicznych, narzędzi do „chirurgii” -aby go w miarę łagodnie obudzić. Teraz dziecko ukrywa pod łóżkiem pomięty od częstego miętoszenia numer „Playboya”. Któregoś dnia, gdy Travis był w szkole, zapoznałam się dokładnie z rozkładówką, poświęconą Miss Sierpnia. Miałam wielką ochotę wsunąć mu notkę, żeby ją przeczytał przy kolejnych oględzinach Miski:

*Drogi Travisie, przyjmij do wiadomości, że nic jest to wizerunek realnej kobiety. Jej cyce są sztuczne, a włosy łonowe w niczym nie przypominają naturalnego sianu owłosienia. Tu kobieta powinna zająć się jakąś konkretną pracą, a nie tkwić cały czas przed lustrem. Gdybyś umówił się z nią na randkę, wróciłbyś rozczarowany. Podpis - Życzliwy przyjaciel.*

- Nie chcę francuskich tostów - powiada Travis. -Chcę płatki Cheerios.

- Jadasz je codziennie.

- Owszem. Ponieważ, trzeba ci wiedzieć, lubię je. Sarkastyczny. Zupełnie jak David. Jednakże uśmiecha

się, mówiąc te słowa. Ma uśmiech Davida, odrodzonego Davida.

- No, ale dzisiaj jest szczególny dzień.

- To znaczy?

- Później o tym pogadamy.

- Dobra, ale nie chcę francuskiego tostów.

- Może byś chociaż spróbował...

- Proooooooszę!

Mój Boże. Można by pomyśleć, że błaga o odroczenie egzekucji.

- Świetnie. - Zmuszam usta do uśmiechu, idę do holu, wlokę się noga za nogą. Mam pod spodniami nowych dżinsów rajstopy i czuję, jak nylon ociera się o bawełnę, jakby pytając, czy to drugie ma prawo bytu.

Wchodzę do pokoju dziennego, zapach tytoniu fajkowego, i nastawiam odbiornik stereo na stację z muzyką poważną. Ach, Mozart. A może nie Mozart, lecz ktoś podobny. To jeden z tych wielkich. Wiem - zapiszę się na lekcje umuzykalniania. Na pewno gdzieś prowadzą takie kursy. I wtedy, siadając z Travisem do kolacji, rzucę od niechcenia: „A może nieco Verdiego?”

„To dobry pomysł - odpowie mi dziecko. - Ale może Vivaldi lepiej pasuje do pieczenia baraniej”.

„A wiesz, masz absolutną rację” - rzeknę. To ja go nauczę tej cudownej dyskryminacji. Już jako sława, Travis odpowie kiedyś pytającemu go dziennikarzowi: „Moja matka przeszła cudowną metamorfozę, kiedy ojciec od nas odszedł. Nasze warunki życiowe w istocie uległy poprawie. Naturalnie, wszystko zawdzięczam jej”.

W jadalni odstawiam talerz Trávisa, wracam do kuchni i sypię Cheerios do miseczki. To zbyt pospolite danie. Wkroję mu banana pociętego w wymyślne plasterki. Biorę



do ręki nóż i jakieś emocje nachodzą mnie w tak straszny sposób, że biegnę do stołu kuchennego. Siadam, ściskając nóż w ręce i nadludzkim wysiłkiem staram się stłumić łkanie. Nie teraz. A wtedy przychodzi mi do głowy zbawcza myśl: David przecież może zmienić zdanie. Pewnie dlatego nie nalegał, aby natychmiast powiedzieć Travisowi. Nie jest nawet pewien, czy chce to zrobić. Na pewno to męska menopauza, nieco przedwczesna jak na jego wiek, to racja. Przypuszczalnie oni mają swoją wersję syndromu przekwitania, ale nie chcą się do tego przyznać. David miewał takie zmienne nastroje, a ja nie miałam cierpliwości, by go wysłuchać, nie chciało mi się rozmawiać z nim o wielu rzeczach, które robię niewłaściwie. On może chciał tak zagrać, trochę siebie samego postraszyć - no, raczej oboje nas, a teraz wróci i wszystko się naprawi. Ach, ci mężczyźni! Wstaję i przybieram pozę Lucy Ricardo z telewizyjnego show *Kocham Lucy*.

Biorę banana z misy na owoce, kroję go w równiutkie talarki i ignoruję intuicyjne stukanie mnie palcem w ramię. Samantho? On nie wróci.

Zerkam na zegarek, wlewam mleko do dzbanka, który początkowo przeznaczyłam na syrop. Urywam różowy kwiatek z begonii stojącej na parapecie, żeby położyć go przy talerzu dziecka. Wnoszę wszystko do jadalni, starannie aranżuję na stole i wreszcie opieram się o gałkę u drzwi. Na dworze świeci słońce. Ptaki ćwierkają.auta jeżdżą ze spuszczoneymi szybami, kierowcy wystawiają łokcie na zewnątrz.

Jestem wyczerpana.

Minie jeszcze parę minut, zanim Travis zejdzie na dół. Muszę się czymś zająć.

Schodzę do piwnicy i sortuję bieliznę do prania. Kiedy zaczynam ją rozdzielać na kolory, znajduję parę bokserok Davida, niebieskich, i Boże, zmiłuj się nade mną, przytulam je do twarzy, żeby poczuć jego zapach.

Spoglądam w górę i dostrzegam maszynę do szycia. Zanoszę tam jego gątki. Zaszycam w nich rozporek kry-

tym ścięciem. Robię to z wielką pieczołowitością, wręcz czule. Następnie wracam do sterty bielizny, wyciągam parę jego wyjściowych skarpetek i zszywam je w palcach.

Mam do wyboru wiele ubrań Davida; mój mąż spakował wczoraj wieczorem tak mało rzeczy, jakby się wybierał w parodniową delegację służbową. A ja siedziałam na łóżku, obserwując go i myśląc: Dlaczego on się pakuje? Dokąd jedzie? Dlaczego on to robi, czy sądzi, że gra w filmie? Ale nie mogłam wykrztusić ani słowa. Czułam się całkowicie sparaliżowana. Gdy wreszcie David stanął w drzwiach sypialni i rzekł: „Zadzwoń” - pomachałam mu ręką. Machałam mu ręką na pożegnanie! A potem z okna sypialni patrzyłam, jak odjeżdża, zdumiona jego zimną krwią, czym w moich oczach było włączenie migacza przed skrętem.

Nie mogłam zostać sama w domu. Po prostu nie mogłam. Travis też sobie poszedł - w każdy czwartek odwiedza po szkole swojego kolegę Bena, gdzie zostaje na kolacji i na wspólnym odrabianiu lekcji. Lubi odwiedzać Bena, bo w tej rodzinie są trzy psy i kot, podczas gdy u nas, jak Travis często podkreśla, nie ma nic, nawet mrówek. Zatelefonowałam do mamy, żeby jej krótko zrelacjonować, co się stało, oraz poprosić, żeby przyszła i poczekała na wnuka. Ja tymczasem wsiadłam do samochodu, pojechałam do centrum handlowego i zaszalałam z zakupami. Karta poszła w ruch.

Kiedy wróciłam, mama zapewniła mnie, że tak jak sobie życzyłam, nie pisnęła ani słówkiem Travisowi. Ku mojemu zdumieniu nie miała też wiele do powiedzenia mnie. „Później o tym porozmawiamy, kochanie” - rzekła, a ja na to zareagowałam w najbardziej obojętny sposób, na jaki mnie było stać. Byłam jej wdzięczna, że przyszła. Ale marzyłam, żeby sobie jak najprędzej poszła.

Wracam z pralni i widzę, że Travis siedzi przy stole w jadalni, wyjmując plasterki bananów ze swego Cheerios.

- Niby dlaczego mam jeść tutaj? - pyta.

- Żeby było elegancko.
- Czy mogę dostać trochę soku pomarańczowego?
- Ojej, zapomniałam! Zaraz ci go przyniosę, jak tylko zrobię.
- Ty go robisz?
- Tak, wycisnę ci sok z pomarańczy.
- Ale ja takiego nie lubię. To znaczy przepraszam, ale wiesz, że nie lubię wyciskanego soku. Pływają w nim farfocle, które włożą między zęby. Nie lubię również bananów z płatkami.
- Travis, posłuchaj mnie. Musisz od czasu do czasu spróbować czegoś nowego. Niekiedy nawet we śnie uczysz się lubić niektóre rzeczy.
- A nie ma już Tropicany?
- Wyszła.
- Wstaje i idzie do lodówki, gmera w środku, wreszcie z triumfem wyciąga karton soku.
- Mamo, stał tutaj, prawie pełen! Wcale nie wyszła, widzisz? Odbieram mu karton i wylewam zawartość do zlewu.
- Teraz już nie mamy.
- Stoimy naprzeciwko siebie. W końcu Travis wykrzykuje:
- Chryste! Co się z tobą dzieje?
- No i co mam teraz zrobić? Co tu zrobić?
- Chodź ze mną - mówię mu. Prowadzę go do jadalni, wskazuję krzesło. - Skończ swoje płatki, dobrze? Zaraz musisz wyjść.
- Siadam obok niego, wstrzymuję oddech.
- Przepraszam z powodu soku pomarańczowego. Travis, przykro mi, że to zrobiłam. To nie było fair.
- Składam dłonie, wpatruję się w niego. Został mu śpioch w kąciku oka.
- Obetrzyj lewe oko - mówię mu. - Musisz dokładniej myć twarz z rana. I, słuchaj, nie chcę, żebyś stale powtarzał „Chryste”.
- Ty tak robisz. - Wyciera prawe oko.

- Lewe!

- Tata ciągle to powtarza. Co drugie zdanie. Siedzę bez ruchu. Słyszę, jak za oknem wiatr potrząsa gałązką. W końcu daje jej spokój. Wreszcie się odzywam:

- Nic mnie nie obchodzi, kto tak się wyraża. Tobie tak nie wypada. I nie używaj więcej tego zwrotu.

- Dobra.

Opieram się plecami na krześle. Wzdycham.

- Co się stało? - pyta.

- Coś się stało.

- No przecież widzę.

- Racja. Nie chcę jednak cię martwić. Omówimy to, dobrze? Myślę jednak, że lepiej odłożyć tę rozmowę do czasu twojego powrotu ze szkoły.

- Mamo... czy gdzieś wychodzisz?

Nie odpowiadam od razu. Wychodzę? Sama nie wiem. Teraz Travis jest zatroskany.

- Dlaczego jesteś już ubrana? Czy może idziesz do lekarza czy coś w tym rodzaju? - Któreś z dzieci w jego klasie straciło niedawno matkę. Ta wiadomość błyskawicznie rozniosła się wśród uczniów i ogromnie ich przerażała, mimo starannie obmyślanych zajęć, poprowadzonych przez terapeutów.

I nagle ogarnia mnie wzruszenie. Taki słodki przyptyw ulgi.

- Och, kochanie, to nie ma nic wspólnego z tamtą sprawą. Nic a nic! Przykro mi, wiem, że się dziwnie zachowuję... Po prostu jestem zmęczona. Ale porozmawiamy potem. Będzie, dobrze. - Uśmiecham się promiennie. - No to co, lubisz śniadania serwowane w ten sposób?

- W jaki sposób?

- No... wiesz, w jadalni. Na odświeżonej porcelanie...

- Tak, myślę, że tak. Miło było. Mamo, dzięki.

Och, co ja robię najlepszego? Dlaczego zmuszam go, aby troszczył się o mnie?

Travis podnosi torbę z książkami, zarzuca ją sobie na ramiona; odnoszę wrażenie, że stara się przystosować do nowej sytuacji. Uwielbiam ten jego gest.

- Czy mogę pocałować cię na do widzenia?

Nasz stary żart. Pytam go o to każdego ranka, a on nieodmiennie (w każdym razie odkąd skończył dziewięć lat) robi taką minę, jakbym mu chciała wlać trochę płatków owsianych do ucha. Teraz jednak kiwa głową i mój żołądek wykonuje bardzo nieprzyjemnego fikołka. Dotykam ustami jego policzka. A on oddaje mi pocałunek -dziobie mnie nosem i szybko się odwraca.

Tak więc stało się. On już wie. Ludzie mają rację, dzieci zawsze wyczuwają. Kiedy Travis wróci do domu po lekcjach, zakomunikuję mu, że David się wyprowadził. On wtedy smutno pokręci głową i powie: „Tak właśnie myślałem”. I wtedy zacznie bazgrać na kartce słowo na „p”.

Patrzę, jak idzie chodnikiem w kierunku szkoły. Jedną część kołnierzyka od kurtki ma zadartą, drugą położoną płasko. Dzinsy są trochę za długie, opierają się na adidasach. W plecaku znajdują się wypracowania, przemyślenia na temat zadanych mu lektur. Właśnie zaczyna być sobą. Jest zbyt młody, by sprostać temu, co go spotkało. To go za mocno ukształtuje, odbierze mu pełen ciepła optymizm. To takie nie fair, nie fair! O tym właśnie powinnam powiedzieć Davidowi: zrób, co musisz, ale nie opuszczaj Travisa. Na miłość boską. Zrzuń mój świat, jeśli taka jest twoja wola, ale nie niszczy okazji świata naszego syna.

Znów w kuchni. Zadowolam się łykiem kawy. Zupełnie wystygła, a na dodatek utworzyła się wewnątrz kubka obwódka tłuszczu ze śmietanki. I pomyśleć, jak szybko rzeczy się starzeją. Wylewam zimną kawę i wyrzucam kubek do śmieci. „David” - mówię bardzo łagodnym głosem. To brzmi jak modlitwa. „David” - powtarzam i opieram się o ścianę, żeby sobie popłakać. Pomaga. To zabawni', że chlipanie przynosi ulgę. Podobno w czasie płaczu wyzwalają się hormony stresu, dlatego przynosi

on ukojenie. Zdumiewające, jak mądre jest ciało. Choć może byłoby lepiej, gdybyśmy potrafili obyć się bez miłości. Sądzę, że miłość jest przereklamowana, a poza tym zbyt trudna. Należy jedynie kochać własne dzieci; to jest niezbędne, w przeciwnym wypadku można by je było zabić. Ale kochać mężczyznę? To z pewnością przesada. I na dodatek zadanie zbyt uciążliwe. Nigdy, przenigdy już mi się to nie zdarzy. No tak. Teraz ułożę sobie listę. Tyle spraw muszę przemyśleć, tyle rzeczy załatwić. Wyjdę na dwór, usiądę sobie tam, gdzie jest dużo więcej przestrzeni, gdzie nie zawali ci się dach na głowę i nie uszkodzi mózgu, jeśli w ogóle ujdiesz z życiem.

A o w pół do czwartej po południu siedzę na sofie w pokoju dziennym, czekając na Travisa. Zdrzemnęłam się, miewam się całkiem znośnie. Nie, tak naprawdę kilka razy zapadłam w sen. Przebudzenie było ciężkie. Co...? Och. Ach tak.

Jednego tylko pragnę: upewnić się, że Travis w żaden sposób nie obwinia siebie. Uważam, że od tego powinnam zacząć. Robię próbę generalną na głos. „Travis, kochanie, chcę ci powiedzieć coś, co może będzie dla ciebie bardzo trudne”. Dobrze. W porządku. „Ale chciałabym, abys zrozumiał i pamiętał przez cały czas, gdy do ciebie mówię, że wszystko to dotyczy twojego ojca i mnie. Czyli decyzja. Ona nie ma nic wspólnego z tobą. Jesteś takim dobrym chłopcem”. Tak będę mu tłumaczyła.

Nie. Nie. Nie należy zaczynać od stwierdzeń negatywnych. To go przestraszy. Raczej zacznę od pozytywów. „Travis, jak ci dobrze wiadomo, twój ojciec i ja bardzo ciebie kochamy”. Nie. To dopiero go wystraszy. No to jak zacząć? Wiesz co, Travis? Twój ojciec nas rzucił i teraz zaczniemy całkiem nowe życie! Chcesz psa? Ja nigdy nie miałam nic przeciwko zwierzętom w domu, jak ci wiadomo. Chciałbyś mieć nowofundlanda? Ważą chyba z dwieście kilo, odpowiada ci taki?

Drzwi wejściowe otwierają się i Travis wchodzi, dostrzegając mnie od progu.

- Hej, mam. - To ostatnia taka normalna reakcja.

- O, hej, kochanie! Patrzy na mnie z troską.

- Czy coś ci...

- Czuję się świetnie.

Kiwa głową, zmierza do kuchni.

- Co tam robisz?

- Chcę coś przegryźć. Masz ochotę na precla?

- Nie, dzięki. - Zakładam nogę na nogę, kładę ręce na brzuchu. Po chwili zmieniam pozycję.

- Travis?

- Taaa?

- Może byś wyłożył precle na tackę? Cisza.

- Travis?

Wchodzi do pokoju z torbą precli.

- Po co mi tacka? Zawsze jem z torby, tak jest wygodniej.

- No, to jest... - Nieceleganckie chciałam powiedzieć. Miałam ochotę tak się wyrazić, zawsze lubiłam to słowo. I muszę mu zakomunikować, że musimy dokonać pewnych korekt; pewne sprawy muszą ulec zmianie. - Jak chcesz, to jedz z torby - mówię. I dodaję: - Mógłbyś tu podejść?

Idzie powoli, siada koło mnie, proponuje precle.

- Nie, dzięki.

- Są trochę za suche.

- Travis - zaczynam.

- Wiem. Rozwodzicie się. - Podnosi wzrok, patrzy na mnie, wzdycha.

Siedzę nieruchomo, uśmiecham się.

- Rozwodzicie się, tak?

- No, my właśnie...

- Tak pomyślałem.

- Dlaczego?

Wkłada sobie palec do ucha, chyba dla eksperymentu. Kręci nim.

- Travis?

- Tak?

- Dlaczego „tak pomyślałeś”?

- Nie wiem. Wszyscy się rozwodzą.

- O nie. Nie wszyscy. Istnieje wiele, mnóstwo szczęśliwych małżeństw. Jestem przekonana, że twoje będzie trwałe. Ale twój ojciec i ja postanowiliśmy, że... tak, chcemy rozwodu i będziemy żyli osobno. Zaczynając od... No, właściwie począwszy od wczorajszego wieczoru.

- Gdzie on jest?

- Niedaleko. Wynajął sobie pokój w hotelu, telefonował do mnie po południu. A do ciebie zadzwoni wieczorem. Powiedział mi, abym ci przekazała, że zadzwoni po kolacji. I wkrótce się z tobą zobaczy.

- O której godzinie?

- Co?

- No, o której zadzwoni?

- Chyba tego nie powiedział. Wspomniał, jak myślę, że zatelefonuje po kolacji.

- Zgoda, ale co to znaczy, kiedy dokładnie to będzie?

- Hm... Aha, myślę, że o siódmej, około siódmej. W porządku?

- Dlaczego on jest w hotelu? Mój syn zaskakuje mnie.

- On... no wiesz, kochanie. Kiedy ludzie postanawiają, że nie będą już ze sobą dłużej, często potrzebują trochę czasu, żeby przywyknąć do nowej sytuacji.

- Ale przecież się rozwodzicie!

- Tak.

- Więc i tak będziecie mieszkać osobno!

- Zgoda, ale niekiedy trzeba przejść okres...

- Nieważne. Nic mnie to nie obchodzi.

- Travis, jak mi przykro!

Wzrusza ramionami, ogląda swój kciuk, potem studiuje ścianę przed sobą.



- W porządku. - Prawe kolano mu podskakuje i muszę się powstrzymać, żeby mu nie zwrócić uwagi.

Kiedy Travis miał sześć lat, spadł z drabinki w sali gimnastycznej i zranił się w ramię. Laborantka w rentgenie kilkakrotnie upominała go, żeby trzymał rękę w pewnej pozycji, co wymagało jej wykręcenia. Travis powtarzał, że nie może tego zrobić, aż w końcu zniecierpliwiona kobieta podeszła do aparatu i sama ustawiła mu rękę w taki sposób, jak sobie życzyła.

- A teraz trzymaj ją tak, póki nie zrobię zdjęcia - usłyszałam, jak mówi do niego. Kiedy Travis wyszedł, miał łzy w oczach, a gdy mnie ujrzał, wybuchnął płaczem. Później, gdy klisze już wisiały w gabinecie lekarskim, doktor zauważył, że pęknięcie kości znajdowało się dokładnie w tym miejscu, które laborantka mu wykręciła.

- Musiało bardzo boleć - rzekł lekarz - gdy trzymał ramię w takiej pozycji. - Travis kiwnął ponuro głową. Już nie płakał. Dostał na pocieszenie lizaka i nalepkę z napisem „Właśnie zostałem prześwietlony”.

- Travis, to nie jest w porządku. Chcę ci powiedzieć, że i tata, i ja zdajemy sobie z tego sprawę. I chcemy również, abyś zrozumiał, że ta decyzja nie ma nic wspólnego z tobą. Właśnie zwariowałam przez to, że moi rodzice się rozwiedli!

- Wiem.

- Naprawdę?

- Nooo. Co to miałyby mieć wspólnego ze mną?

- No tak, masz absolutnie rację. Oboje bardzo ciebie kochamy i nadal będziemy twoimi rodzicami. Po prostu tata i ja nie możemy dłużej mieszkać ze sobą.

- Dlaczego?

- Jak by tu powiedzieć... Czasami ludzie, którzy bardzo kochają siebie, stają się sobie coraz bardziej obcy. I to staje się bardzo trudne... Ponieważ twój ojciec jest bardzo, ale to bardzo egoistyczną jednostką, myślącą wyłącznie o sobie. Taki zawsze był i taki będzie. Travis, on mnie po prostu opuścił, mówiąc szczerze. Nie zdawałam sobie

sprawy, że jest taki nieszczęśliwy. Nie wiem, co zrobię. Nie mam pojęcia. Strasznie go za to nienawidzę. Nienawidzę! - Zakrywam usta ręką, zaczynam szlochać. - Och, Travis, jak mi przykro!

- Idę na trochę do mojego pokoju.

- Poczekaj, ja...

- Mamo, proszę!

- Tak, jasne. - Czuję w piersiach ogromny ciężar, który staje się coraz większy. Może to zawał. Oby.

Travis szybko zmyka na górę. Słyszę, jak zatrzaskuje za sobą drzwi. Zaciskam ręce, wyglądam przez okno. Usiądę. Siadam. Kiedy słońce zaczyna schylać się ku zachodowi, idę do jego pokoju. Pod pretekstem zapytania, co chce na kolację.

Jutro rano zwrócę się do kogoś o fachową pomoc.

I pomyśleć, że to ja poprosiłam Davida, abym mogła zakomunikować tę nowinę Travisowi, gdy będziemy sami. Powinnam była być bardziej przewidująca. Nie winię Davida za to, że mnie porzucił, bo sama też bym chciała od siebie odejść. Marzyłabym, żeby wejść w ciało kobiety, która nie gubi się na ulicy, nie śmierdzi czosnkiem trzy dni po jego zjedzeniu, która podtrzymuje rozmowę z klientami Davida na obiedzie w restauracji i nie ucieka do toalety, by usiąść tam na taborecie i bawić się zawartością własnej torebki. David nigdy nie lubił mojej matki, która jest dość prymitywna, ani mojej najlepszej przyjaciółki Rity, która nie cenzuruje swoich myśli, byle go nie dotknąć. Siwizna zaatakowała moje włosy. Zapoznałam się intymnie z cellu-litsem, a w zeszłym tygodniu obudziło mnie własne chrapanie. Też chciałabym od siebie odejść, ale nie mogę.

Idę na górę i stukam do drzwi Travisa. Chwila ciszy, wreszcie słyszę jego głos:

- Proszę!

Czuję ulgę aż do czubka głowy.

Kiedy dzwoni telefon, biegnę do aparatu tak szybko, jakby nade mną pojawili się ratownicy i zrzucili mi linę.

- Halo - odzywam się do słuchawki, co oznacza: Proszę. Jednakże ratunek nie przybywa. Odzywa się radosna dziewczyna, która chciałaby się dowiedzieć, czy zechciałabym przeznaczyć jakiś datek na miejscową trupę baletową. - Nie w tym roku - odpowiadam. Monica Kapłan pyta, czy upiekłabym tuzin babeczek na cele dobroczynne w październiku. Obiecuję nawet kilka tuzinów. A teraz dzwoni moja matka.

- Kochanie, musisz natychmiast się pozbierać. Naprawdę. Nie chcę ci wmawiać, że to nie boli. Boże, jak ja to dobrze znam. Niemniej musisz wziąć się w garść i zacząć chodzić na randki. Jesteś ciągle młodą kobietą - masz zaledwie czterdzieści dwa lata, jesteś jeszcze dzieckiem.

Jest południe. Siedzę przy stole w kuchni z naręczem katalogów sprzedaży wysyłkowej i z pustym pudełkiem po czekoladkach Godiva. Teraz już wiem, że są zdecydowanie przereklamowane. Przede mną stoi także pusta szklaneczka po whisky, ale nie nalałam do niej zbyt dużo. Ledwie parę kropel. Odsuwam słuchawkę od ucha i kładę ją sobie na piersi, wydając głuchy jęk. Po co tak szybko powiedziałam mamie. No, ale musiałam.

Przykładam słuchawkę do ucha.

- Mamo, nie jestem gotowa do randek. Na miłość boską! Nic mnie one nie obchodzą. Pragnę jedynie wy-

myśleć, jak zająć się Travisem, żeby mały czuł się... bezpieczny. - Wpatruję się w szklankę po whisky, stawiam ją dnem do góry.

- Ależ Sam, on jest bezpieczny, mieszka ze swoją mamą. Oczywiście, że nic mu nie grozi! A poza tym, wbrew temu, co myślisz, dzieci są bardzo odporne. Sama byś się zdziwiła. Mogę ci oświadczyć z całym przekonaniem, że Travis pragnie, abyś się pozbięrała. To właśnie mu pomoże. On wcale nie chce, żebyś chodziła bez celu po domu, niczym się nie zajmując. Chyba nie płakałaś w jego obecności? Na litość boską, nie szlochaj przy nim, bez względu na okoliczności! On ciebie naśladowuje: jeśli ty będziesz szczęśliwa, on również się z tym upora. Pomyśl

0 jakiejś pracy zarobkowej i przestań się mazać. Kiedy twój ojciec zmarł, nie straciłam ani chwili. Od razu zaczęłam wychodzić z domu, żeby spotykać się z ludźmi.

- Masz na myśli spotkania z mężczyznami.

- No tak. Jasne. To chyba naturalne. Kobieta potrzebuje mężczyzny, a mężczyzna potrzebuje kobiety, i to wszystko. Nic mnie nie obchodzi, co inni o tym sądzą. Dla homoseksualistów to jest trochę co innego, ale właściwie tak samo.

- Co?

- O, wiesz, co mam na myśli. W każdym razie, gdy dziecko widzi, że jego matka chodzi na randki, to wie, że ona jest kimś specjalnym. A wtedy i ono czuje, że jest kimś. Wcale tego nie zmyślam. Przypomnij sobie, jak ty

1 twoja siostra reagowałyście na moje randki. Nic nie miałyście przeciwko temu. Lubiłyście, jak wychodziłam z domu.

Zamykam oczy, trę ręką czoło. Od czego tu zacząć? Doskonale pamiętam, jak kilka miesięcy po śmierci taty siedziałyśmy z Louise przy stole w kuchni. Jadłyśmy kluski zapiekane z serem, z wkrojonymi do nich parówkami. My jadłyśmy, a mama siedziała obok, robiąc sobie manikiur. Tego wieczora wybierała się na randkę, więc nakręciła włosy na wałki i zawiązała na głowie żółtą

chustkę. Ssała kostki lodu, które wyciągała z aluminiowego kubka pokrytego rosą, i malowała każdy paznokieć krwistoczerwonym lakierem.

Szła na kolację. Do bardzo eleganckiej restauracji -podkreśliła. Od dawna o niej słyszała. Była tam prawdziwa orkiestra, mężczyźni przychodzili w smokingach, a sekcja skrzypiec grała podobno fantastycznie! Na każdym stoliku stała lampka, którą się zapalało, gdy chciało się wezwać kelnera. Wraz z czekiem przynoszono różę dla damy - i to łososiową.

Nasza mama próbowała umawiać się na randki przynajmniej trzy razy w tygodniu. Wpisywała do kalendarza duże „X” czerwonym długopisem i dodawała nazwiska, rozpaczliwie zabiegając o tę swoją listę. Tamtego wieczoru znajdował się na niej Wolfgang Mueller („Wolfie”, jak go pieszczotliwie nazywała), facet od hurtowej sprzedaży mięsa. Miał nieszczególny zwyczaj pryskania śliną, gdy mówił. Był bardzo wysoki, a jego krzaczaste brwi zdawały się uciekać z twarzy - wyrastały z niej na jakieś dwa centymetry. „Można na nich wylądować samolotem” - powiedziała Louise, gdyśmy pierwszy raz go ujrzały. Parówki, które jadłyśmy tego wieczora, były jego podarunkiem, sprezentowanym naszej mamie podczas ich poprzedniej randki.

- To dla siebie, moja Veronico - rzekł z silnym obcym akcentem, skłoniwszy się lekko, by wręczyć jej wędlinę owiniętą w woskowany papier i obwiązaną biało-czerwonym sznureczkiem. - A tu, sobacz - dodał z dumą -srobiłem taki zupełek, żeby wyglądał jak misza. Tu mamy użgi, to jest jej działo, a tu - ogonek! Fidzisz?

- Och, Wolfie! - odparła nasza mama. I pokazała Louise i mnie paczkę, mówiąc: - Popatrzcie, czy widzicie myszkę, którą Wolfie zrobił dla was? - Na próżno wpatrywałam się w sznurek, a Louise demonstracyjnie wyszła z pokoju.

- Następnym razem facet pojawi się tutaj w skórzanych pumpach - oznajmiła mi potem.

Miałam wtedy dziesięć lat, uważałam, że kolacja złożona z klusek z parówkami jest wspaniała i byłam całkowicie pochłonięta koncepcją maminych randek - choć niekoniecznie mężczyznami, którym trzeba było poświęcać tyle czasu. Odkryłam na własny użytek, że faceci stanowili drugorzędną sprawę w tym przedsięwzięciu. Co się naprawdę liczyło, to przygotowanie do wyjścia w ich asyście.

Kiedy mama umawiała się na nową randkę, tego dnia kartkowała najpierw pisma kobiece, żeby znaleźć najodpowiedniejszą koafiurę na wieczór, a następnie myła i układała włosy. Mniej więcej na godzinę przed przyjściem faceta brała długą, pianistą kąpiel. Wychodziła z łazienki w obłoku zapachów, siadała przy toaletce, zawijała rękawy szlafroka i brała się do roboty. Siadywałam wtedy na jej łóżku i bawiąc się lalkami z tektury, gapiłam się na mamę, która upinała włosy w taki czy inny sposób, trzymając w ustach spinki. Następnie szybkimi kolistymi ruchami wcierała w skórę twarzy iszyi podkład, zawsze w górę; mazała sobie nawet kark. Na obu policzkach umieszczała kropki różu, które raptownie rozmasowywała, żeby osiągnąć efekt rumieńców. To był mój ulubiony zabieg. Starannie nakładała tusz, robiąc to z otwartymi ustami, a potem przyciemniała brwi. Wreszcie pokrywała wargi grubą warstwą szminki, a jej nadmiar usuwała serwetką. Miała przekłute uszy, w które wpinała błyszczące kolczyki, kręcąc głową to w lewo, to w prawo. Skrapiała się na koniec perfumami My Sin i wślizgiwała się w sukienkę, która czekała przygotowana w plastikowym ochraniaczu.

- I jak wyglądam? - pytała, okręcając się wokół osi jak tancerka na moim pudełeczku przeznaczonym na biżuterię. A ja zawsze odpowiadałam - szczerze - że pięknie. Smutniałam, kiedy była gotowa do wyjścia - rozkoszny dźwięk buteleczek i szelest tkanin miłkł, mocny zapach jej grzesznych perfum ulatniał się, a ja musiałam zostawać z Louise, która traktowała opiekę nade mną jako wydawanie mi rozkazów, żebym coś dla niej robiła.

Nie zgadzałam się wtedy z Louise, która twierdziła, że mama jest absolutnie nie do zniesienia. Nie chciałam uciekać do New Jersey, żeby zamieszkać z rodziną ojca, której członkowie byli dużo bardziej szacowni niż nasza matka. Mama nadal poprawiała mi w nocy kołdrę, czułam się nadal chciana, domagałam się, żeby stale przy mnie była.

Louise natomiast miała czternaście lat, właśnie wyzwolona spod imperatywu macierzyńskiej opieki, odnosiła się do jego przejawów z wyraźną niechęcią. Dlatego większość czasu spędzała zamknięta w swoim pokoju. A szczególnie nie znosiła randek naszej matki z mężczyznami, których określała mianem fagasów. Jej zdaniem, matka się tak okropnie odslaniała, tak chętnie umawiała się z kimkolwiek. Kto się tylko nadarzył. Mnie to również bolało, czasem dotkliwie. Obie uwielbiałyśmy naszego ojca, przystojnego i miłego mężczyznę, który zmarł z szeroko otwartymi oczami, jakby w zdumieniu, na atak serca. Miał wtedy czterdzieści jeden lat. Ale nie mówiłyśmy mamie ani słowa. Teraz jednak nareszcie postanawiam się wypowiedzieć.

- Nie, w istocie nienawidziłyśmy twoich randek. W niczym nam one nie pomagały.

- Ależ oczywiście, że je popierałyście - odpowiada mi matka. Wiem, że tej uwadze towarzyszy jej charakterystyczny gest: Veronica sięgnie ręką do prawego policzka i poprawi lok rudych włosów. Uczyni to z namaszczeniem. Zastanawiam się, czy na tej części twarzy ma trwałe ślady linii papilarnych.

Ciągnę z całych sił przewód telefoniczny, żeby wrzucić do śmieci puste pudełko po czekoladkach.

- Słuchaj - mówię - jestem ci wdzięczna za troskę, naprawdę, ale na razie nie chcę żadnych rad, dobrze? A poza tym zaistniała zupełnie inna sytuacja. David przecież nie umarł.

Moja matka parska gniewnie.

- Dla mnie on nie żyje.

- Wiesz, mam, zatelefonowałam do ciebie tylko dlatego, żeby się dowiedzieć, czy nie zostałąbyś po południu z Travisem, może byś mu zrobiła coś na kolację, jeśli do tego czasu nie wrócę. Czy sądzisz, że możesz się tym zająć?

- Jasna sprawa. Mam pedikiur o w pół do drugiej. Będę wolna na długo przed jego powrotem ze szkoły.

- To świetnie. Zobaczymy się zatem, jak wrócę do domu. Będę około... ach, nie wiem, kiedy będę.

- Samantha?

- Tak?

- Dokąd się, kochanie, wybierasz? Masz taki głos... Chyba nie idziesz do terapeuty, prawda? Oni są jeszcze bardziej zwariowani niż my wszyscy. Znam pewną kobietę - ach, może ją sobie przypominasz, nazywa się Louise Castlebaum? Zawsze popisywała się swoimi nogami, które - w mojej opinii - nie są warte pokazywania, w każdym razie ona się udała do terapeuty - co ja mówię - do psychiatry! i...

- Mamo! Ja nie idę na sesję terapeutyczną. Wybieram się... - Cholera! - Postanowiłam pójść na zakupy.

- Ach, to dużo lepiej! To po prostu właściwy wybór! Zapomnij o wszystkim, dogodź sobie trochę. - Zmienia ton. - A co powinnam powiedzieć, jeśli David zadzwoni? Czy mam mu zakomunikować, że wyszłaś z kimś?

Dla mojej mamy powinno się trzymać na stałe ławkę w szóstej klasie. Z wrytym na pulpicie jej nazwiskiem. Dobrze by się w niej czuła.

- David nie zatelefonuje - odpowiadam.

- Skąd jesteś tego taka pewna?

- Ponieważ, jeśli chcesz wiedzieć, oświadczył mi kategorycznie, że chce mieć tydzień ciszy, zanim wznowimy rozmowy. Jeśli w ogóle je podejmiemy. Na jakikolwiek temat. On rozmawia z Travisem, ale nie ze mną.

- Aha...

- Mamo, w porządku?

- Zgoda. Sam?



- Naprawdę muszę już wyjść.

- Słuchaj, będę się streszczać. Wychodzisz z domu, prawda? Mam dodatkowy kupon na pedikiur, mogłabyś zajrzeć do Stefano i zrobić go sobie w tym czasie, co ja. Nic cię to nie będzie kosztowało, nawet napiwek jest wliczony. Pewnie myślisz, że to trochę naiwne, ale uwierz mi, dobry pedikiur czyni cuda, zmieni twój cały światopogląd. Kiedy stopy mają się dobrze, człowiek czuje się lekki jak piórko. To mógłby być wstęp do...

- Nie sądzę, niemniej dzięki.

Odwieszam słuchawkę, wlokę się na górę, żeby się przebrać. Kiedyś, kiedy zerwałam z chłopakiem z lat szkolnych, mama kupiła mi elastyczne szorty. Weszła do mego pokoju, gdzie leżałam, łkając, i zaczęła nimi machać w moją stronę.

- Spójrz, są znowu w modzie - rzekła. - Świetnie będą pasować do sandałków, prawda? - Kiedy nie odpowiadałam, przysiadła na skraju łóżka i objęła mnie. - Kochanie, co się dzieje? Nie lubisz żółtego koloru? Myślałam, że cię rozwesela. Przysięgam jednak, że mają wszystkie kolory pod słońcem. Mogę zaraz wrócić do sklepu i wymienić je na inne. Może fioletowe? Czy takie ci będą pasowały? Albo różowe? - Uścisnęła mnie, pochyliła się, żeby spojrzeć mi w oczy, obtarła łzy.

Kiedy w czasach studenckich mieszkaliśmy razem z Ritą, moja przyjaciółka bardzo delikatnie zapytała mnie któregoś razu, czy moja matka jest zapóźniona w rozwoju.

- Nie - odpowiedziałam. - Ona po prostu... pochodzi z Południa. - To było jedyne wyjaśnienie, jakie przyszło mi do głowy. I teraz jest tak samo.

Sprzedawca u Tiffany'ego ma na sobie granatowy garnitur i piękny krawat z czerwonego jedwabiu w dyskretne niebieskie paski. Nadto spinki do mankietów z monogramem: złote, z bogatym zdobieniem. Jest prawie łysy, ma czerwony kinol, to znaczy, że pociąga, ale w elegancki sposób - jeden z tych, co robi sobie martini w shakerze od Baccarata i każdej nocy wali się po nich nieprzytomny. Może ja też kupię sobie taki shaker.

Na razie zamówiłam komplet do herbaty z manufaktury porcelany w Limoges. Dla siebie samej, na podwieczorek. Usiądę przy oknie, które daje twarzowe światło, i sprawię sobie - również niedługo - firany z francuskiej koronki. Albo belgijskiej - zależnie od tego, która jest kosztowniejsza.

Po namyśle wybrałam wzór na porcelanie pod nazwą Amerykański Ogród. Spodobały mi się opadające płatki kwiatków rozrzucone tu i ówdzie oraz pełen nadziei splot otaczających je zielonych listków. Cienki rąbek ze złota („Czternaście karatów? - zapytałam. - „Dwadzieścia trzy, szanowna pani" - usłyszałam w odpowiedzi) na talerzyku był po prostu śliczny, tym bardziej że sąsiadował z drugim, barwy głębokiego granatu.

Nigdy przedtem nie wzbudziłam w sobie takich pragnień, a Davidowi było wszystko jedno - miał dosyć zbyt kownych przedmiotów, bo wzrastał wśród nich. Teraz jednak chcę je posiadać. Nie bardzo wiem dlaczego. Nie,

właściwie wiem. Chcę je, ponieważ kosztują majątek i David będzie musiał za nie zapłacić. Taka zużyta klisza -złamałeś mi serce, więc wyczyszczę ci konto bankowe.

Następnie rozglądam się po srebrach. Chcę łyżeczkę pasującą do mego nowego kompletu. Cukru? - zapytam siebie. Och tak, proszę - odpowiem. Ekspedient zaproponował wzór kwiatowy, który też się nazywa Amerykański Ogród, ale ja akurat wolę Audubon, w ptaszki i w kwiatki.

- Czy to będzie pasowało? - pytam sprzedawcę, który, nie patrząc mi w oczy, odpowiada:

- Oczywiście, można i tak... Ach.

Na pięcie dynda mi źle przyklejony plaster, bo się skaleczyłam, goląc dziś rano nogi, i teraz czuję się tak, jakby przyklepiec przemieścił mi się na czoło. Chciałabym znaleźć się w ciele kobiety, która umie kupować srebra. I której wnętrzności nie zachowują się tak, jakby ocierały się o tarkę do sera.

Po chwili niezręcznej ciszy zabieram głos:

- Myślę, że się zdecyduję na Amerykański Ogród. Co do łyżeczki, to cena wynosi dziewięćdziesiąt dolarów, tak?

- Tak jest, droga pani. Mhm... Chryste!

- I proszę mi powiedzieć, za cały komplet sztućców zapłacę...

- Czteryście osiemdziesiąt pięć dolarów, to jest za cztery sztuki. I trzeba doliczyć VAT, rzecz jasna.

- Cztery?

- Tak - dwa widelczyki, nożyk, łyżeczka do kawy.

- Nie ma łyżeczki deserowej?

- To byłoby ekstra. Dodatkowo sto dwadzieścia pięć dolarów.

- Och. No tak. Czyli komplet pięciu sztućców kosztowałby...

- Sześćset dziesięć dolarów.

- Aha. - Dostaję lekkich skurczów jelit.

Sprzedawca czeka wyprostowany jak struna. Zastanawiam się przez chwilę, czy nie jest automatem. To taki trik handlowy u Tiffany'ego, symulacja niemal doskonała, biorąc pod uwagę dyskretną purpurę nochala. Ale nie, ten człowiek jest żywy, bo lekko oddycha. Wyczuwam w nim niezwykle dyskretną niecierpliwość. Facet wie, że nie jestem klientką z prawdziwego zdarzenia, uważa, że wcale nie stać mnie na taki wydatek. No i ma stuprocentową rację. Mnie nie stać, ale rachunek pójdzie do Davida.

- A gdybym kupiła komplet sreber na kilka osób... -rzucam.

W bladoniebieskich oczach zapala się ognek.

- Na ile?

Czuję, że krew napływa mi do twarzy. Czy facet pojął? Zdaje sobie sprawę, co zamierzam zrobić? A czy ja wiem, co robię?

Nooo, po prostu tak mi się podoba.

- Och, to zrozumiałe, rzecz jasna. Ale... nakrycia stołowe, to znaczy na...

- Właśnie. Na... sześć osób?

Potakuje, uśmiecha się. Ma wrzuszająco krzywe przednie zęby. Dostrzegam ślady po grzebieniu w jego włosach. Zastanawiam się, czy brylantyna Vitalis jest znowu w modzie. Czy powinnam zmusić Trávisa, by jej używał? Och, tyle spraw spadło mi teraz na głowę.

- Wie pan co? - mówię. - Wezmę serwis na dziesięć osób. - No, wreszcie czuję się pewniej.

- Czy pozwoli pani, że się na moment oddalę? - odpowiada sprzedawca. - Wezmę tylko kalkulator. I muszę przynieść z zaplecza trochę więcej formularzy na pani zamówienie. Zaraz wracam.

Oddalam go pańskim gestem dłoni. Królowa Elżbieta. Elizabeth Taylor.

- Proszę się nie spieszyć - dodaję. - Ja tymczasem jeszcze się rozejrzę.

Odkładam porcelanową filizankę na podświetloną półeczkę i zmiernam w kierunku gablot z biżuterią. Sunę obok pierścieni ze szmaragdami, z rubinami, brylantowych kolia, złotych zegarków. Mijam kapryśne brosze: wysadzone drogimi kamieniami koniki morskie i smoki, żuczki i żabki. Staję, aby kontemlować przez chwilę sznur pereł podwieszony na czarnym welurze. Umundurowani strażnicy obserwują mnie spode łba, stojąc z założonymi rękami. Przymierzam naszyjnik z szafirów z brylancikami. Nakładam bransoletę typu Etoile z osiemnastokaratowego złota wysadzaną brylantami oprawnymi w platynę. Obracam rękę w nadgarstku, gapiąc się na małe błyskawice dobywające się z kamieni w zetknięciu ze światłem. Nie powiem, bardzo ładne.

- A to ile kosztuje? - pytam młodą kobietę, która mi asystuje.

- Trzy tysiące pięćset - słyszę w odpowiedzi. Ekspedientka ma sobie szary kostium ze szpilkami pod kolor, szamerowany perełkami. I pierścioneK z brylantem takiej wielkości, że - podejrzewam - jest własnością sklepu. Jej uczesanie - silnie zakręcone loki - wydaje mi się zbyt poważne. Że nie wspomnę o jej manierach. Ta kobieta powinna pozwolić sobie na luz. Ale może gra przypisaną jej rolę. Odtwarza rolę panny sklepowej. Pewnie mieszka w jakiejś norze z trzema zwariowanymi dziewczynami i opowiada im historie o walniętych klientach, którzy kupują u Tiffany'ego. Na to liczę.

- Świetnie pani w tej bransolecie - mówi do mnie. - Pasuje pani.

Klasyczna zagrywka. Ale odpowiadam:

- Tak, prawda? Biorę ją. Od razu w niej wyjdę. Proszę to doliczyć do innych zakupów.

- Oczywiście - powiada pannica i kiwa głową do kolegi z działu porcelany, który właśnie wrócił z zaplecza. Stoi, grzecznie czeka. Kiedy do niego wracam, zerka na moją bransoletę. - Świetny wybór. Bardzo elegancka.

- Dziękuję - odpowiadam. - Nie ma żadnego powodu, abym sobie odmawiała noszenia takich rzeczy. Zawsze pociągała mnie kombinacja dzinsów i brylantów, teraz też je mogę nosić. To będzie moja bransoletka na co dzień, znak firmowy.

- Tu jest szczegółowy rachunek - tłumaczy ekspedient, wskazując na rządki liczb za nabytą porcelanę i srebra. Razem z bransoletą wydam ponad dwanaście tysięcy. Dwanaście tysięcy! Ta suma sprawia, że czuję lodowaty palec ześlizgujący się wzdłuż kręgosłupa. Głęboko mnie to podnieca w sposób przypominający seks. Przynajmniej z tego, co sobie przypominam.

- Więc, ja... o, Boże! - Płaczę się i wybucham śmiechem. I zamurówuje mnie. Moje palce wędrują do okolicy za uchem. To stary nerwowy nawyk: ciało szuka porady ciała. No, no!

Z tamtej strony kompletna cisza. Cały sklep milczy, albo tak mi się wydaje. Wreszcie:

- Ja... o, Boże. Przepraszam. - Ściągam bransoletkę, kładę ją na ladzie. - Może raczej wystarczy mi na dziś serwis do herbaty, dobrze? Z łyżeczką, którą wybrałam na początku. Zgoda?

- Oczywiście.

Sam, nie wiem, jak ludzie się odkochują. Ta sprawa ciągnie się od dawna, prawda? Faktem jest, że nie mogę tego dłużej znieść. „Znieść” - on tak naprawdę powiedział.

- Albo... Wie pan co? - odzywam się do sprzedawcy. - Wezmę wszystko. - Wsuwam z powrotem bransoletkę na rękę, nachylam się nad nim. - Pewnie pan myślał, że nic w końcu nie kupię, co?

- Och, nie. Bynajmniej. To taka poważna decyzja.

- Jak ma pan na imię?

- Na imię? - Trzy długie palce głaszczą wstydliwie mostek. Och, jaki on słodki. Dlaczego nie wyszłam za mąż za kogoś takiego? - James.

- A ja Samatha. Sam.  
- Cieszę się, że panią spotkałem.  
- No pewnie. Podnosi głowę.  
- Nie, to znaczy... niezależnie od tego.  
- No cóż, dzięki. - Przełykam gulę, która nagle wyskoczyła mi w gardle, i wyciągam książeczkę czekową. Potrzebuję nowych czeków, potrzebuję, potrzebuję, potrzebuję.

W drodze powrotnej mijam młodą Murzynkę stojącą na poboczu w towarzystwie małej, może czteroletniej dziewczynki. Kobieta trzyma tekturową tabliczkę z napisem: „Najmę się do pracy w zamian za wyżywienie”. Zjeżdżam na bok, opuszczam szybę. Murzynka z wahaniem zbliża się do mnie.

- Proszę - mówię do niej, wyciągając bransoletkę. - Tylko niech się pani nie da oszukać przy sprzedaży. Jest z prawdziwego złota, warta trzy i pół tysiąca dolarów.

Kobieta spogląda na bransoletkę, potem na mnie.

- No, proszę ją wziąć - powtarzam.

Potrząsa głową i mruczy coś pod nosem, odchodzi.

- Hej! - wołam do niej. Ona nie zwraca uwagi.

Gaszę silnik, wysiadam z samochodu i biegnę za nią.

- Niech pani poczeka! Chcę to pani dać! Prawdziwe złoto! Nie żartuję!

Kobieta powoli się obraca.

- Pani jest gliną czy kimś podobnym?

- Nie, zupełnie nie. - Dyszę głośno. Jak to się stało, że tak szybko straciłam formę?

- No to rąbnięta?

- Mamusiu? - odzywa się cichym głosem mała.

- Zaraz, dziecko. Zaczekaj. - Potem do mnie: - O co pani chodzi? Jak wezmę bransoletkę, to pani mi strzeli w plecy, tak?

- Mamo, ja chcę siusiu - jęczy dziewczynka.

- Wiem, zaraz zrobisz, dojdziemy do domu za parę minut. - Kobieta wpatruje się we mnie zmrużonymi oczami, zastanawia się. Pełna wdzięku twarz, choć z wybitą górną jędynką. Ma na sobie wiśniową bluzę, żółte sztruksowe spodnie i brudną dżinsową kurtkę, w której brakuje wielu guzików. Dziewczynka jest ubrana w podniszczone adidas i puchówkę zapiętą pod szyją, chociaż jest łagodny październikowy wieczór.

- Właśnie ją kupiłam - tłumaczę. - Ale... ale odechciało mi się. Chcę dać ją tobie.

- O, żeż... Na zawsze?

- Tak.

Wzrusza ramionami, bierze ode mnie bransoletkę i szybko wkłada ją do kieszeni.

Dziewczynka, dotychczas ukrywającą się za nogą matki, wygląda z boku i mówi:

- Mam na imię Tiffany.

- Co ty powiesz! - Aha, widocznie tak musiało być. Jej matka wyciąga rękę, dotyka mego ramienia.

- Niech panią Bóg błogosławi - mówi z oczami pełnymi łez.

Nie umiem na to nic odpowiedzieć. Spoglądam, jak obie odchodzą, wreszcie wołam:

- Może was podrzucić?

Kobieta odwraca się, nie przestając iść tyłem.

- Nie, proszę pani. Jesteśmy prawie na miejscu. Niemniej dziękuję. Jeszcze raz niech Bóg ma panią w opiece.

Wracam do samochodu, włączam się w ruch.

Nie jestem pewna, ale chyba dobrze się czuję. Nie umiem sobie odpowiedzieć, po co kupiłam tę bransoletę. W moim skarbczyku leży sporo eleganckich etui wykładanych aksamitem, z naszyjnikami i bransoletkami, które David dawał mi na urodziny albo na Boże Narodzenie. Ale nie lubię wymyślnej biżuterii, nigdy za nią nie przepadałam. Natomiast uwielbiam dobrą pościel. Solidne garnki i patelnie. A rzeczy, które naprawdę cenię, są pro-



ste: stare fartuchy i chusteczki do nosa. Szmaki do zawijania masła kupowanego na wagę. Krzewy peonii, tomiki poezji w twardej okładce. Mam słabość do jeszcze skromniejszych rzeczy: do wykrobywania przypalonego jabłka z blachy do ciasta. Do obserwowania kotów, kiedy czasami uskakują w bok. Do spoglądania na tęczę, która pojawia się w kałuży z olejem silnikowym. Do słoików po majonezie. Puchatych bazi. Do prania rozwieszonego na sznurze. Tik-taku zegarów, błękitnego neonu nad miejscowym kinem. I faktu, że to jest właśnie małe, lokalne kino.

Wyłączam radio, wsłuchuję się w ciszę. Ma swoje własne, głębokie brzmienie. Znałam je, ale o nim zapomniałam. I dobrze, że sobie przypominam.

Siedzę w pokoju dziennym na fotelu Davida, kartkując katalog wysyłkowy „Martha by Mail” i wspominając czas, kiedy zapadłam na uporczywą gripę. David wrócił któregoś razu do domu ze staroświecką kołdrą zszywaną z kawałków materiału. Opatulił mnie starannie i czytał opowiadania ze zbioru, który właśnie kupiłam. A potem zrobił spaghetti dla siebie i Trávisa, a dla mnie zupę. To było Przedtem. Kiedy zaczęło się Potem? Nie pamiętam jego początku. Przypominam sobie jedynie, jak nadeszło. Sprawy układały się źle na długo przed jego wyprowadzką. Niemniej tęsknię za nim. Samotność weszła w mój krwiobieg, stała się ciągła i nieunikniona.

Zauważam, że Martha ma przeurocze utensylia do zakąsek. Liście wycięte z pięknego papieru, na których podaje się smakowite kanapeczki; ich przygotowanie zajmuje pewnie miesiąc. Nie wierzę, żeby kiedykolwiek robiła je własnymi rękami. Ludzie twierdzą, że to jej dzieło, ale ja w to wątpię. Założę się, że Martha leży w wannie, zalewając się łzami, a jej służba zajmuje się całą resztą. Przerzucam strony poświęcone materacom, mydełkom w kształcie jajek, lustrzanym oprawkom. Podejrzewam, że ona jest strasznie samotna, tylko nikt nie jest tego świadom. Wszyscy uważają, że jest bogata, zadowolona z życia i nie zdają sobie sprawy z otaczającej jej pustki.

Jestem też prawie pewna, że nikt również do niej nie dzwoni, jeśli nie liczyć kontaktów biznesowych. Słysza-

łam, że mieszka w stanie Connecticut, czy przypadkiem nie w Fairfield? Podnoszę słuchawkę, wykręcam numer informacji, słyszę, jak automat odzywa się z taśmy: -Jakie miasto? - Fairfield, Connecticut - odpowiadam. -Nazwisko? - pada pytanie. - Martha Stewart. Proszę poczekać - odzywa się nagle głos żywej telefonistki, a ja szybko się rozłączam.

Natychmiast dzwoni telefon. Czekam, aż odezwie się moja sekretarka automatyczna. Rozlega się głos Rity:

- Jesteś tam? Chwytam słuchawkę.
- Och Boże, to ty. Myślałam, że może Martha Stewart.
- Co?
- Mniejsza o to. Jak się miewasz? Dostałaś mój list?
- Tak, przyszedł. Dlaczego do mnie nie zatelefonowałaś?
- Nie wiem, nie miałam ochoty o tym rozmawiać.
- A teraz? Milczę.
- No wiesz, ja go nigdy nie lubiłam. Dobrze o tym wiesz. I mówię to nie dlatego, żeby ci dodać otuchy.
- O, nie martw się, nie ma na to szans.
- Pamiętasz, jak się z nim zaręczyłaś i przyszłaś, żeby mi pokazać pierścionek? Pomyślałam wtedy, że chyba upadłaś na głowę. Wcale mi się nie podobał ten pierścionek. Był w złym guście. Prawie dwa karaty, gdy myśmy jadły zupę z puszek!

To prawda. Rzeczywiście, jadałyśmy zupy z puszek. Obie byłyśmy nadal na studiach, wynajmowałyśmy wspólnie nasze pierwsze mieszkanie. Żywiłyśmy się Chili Hormela, Francusko-Amerykańskim Spaghetti, Potrawką Dinty Moore - nawet ich nie podgrzewając. Jeśli zdarzało się nam popalić trawkę, zadowalałyśmy się herbatnikami z czekoladową polewą.

Któregoś dnia, wracając do domu autobusem, spotkałam Davida. Zaprosił mnie na drinka, oznajmił mi w zadymionym barze, że jego samochód jest w naprawie

i dlatego wsiadł do autobusu, czego przedtem nigdy nie robił. Wyglądał jak kopia Paula Newmana, ale z piwnymi oczami, o czym wszystkim rozpowiedziałam. I ktokolwiek go potem widział, musiał mi przyznać rację, z pewnym wahaniem - bo cóż jest wart Paul Newman bez swoich słynnych błękitnych oczu?

David pochodził z bardzo zamożnej rodziny, ale twierdził, że nie miało to dla niego żadnego znaczenia; zakomunikował mi, że w istocie woli żyć dużo poniżej swoich możliwości finansowych. Z pewnymi wyjątkami. Na przykład autem, zabytkowym Morganem, którego tak uwielbiał za jego wspaniałą linię, że gotów był pogodzić się z wieloma niewygodami sportowego pojazdu. Utrzymywał też, że nie przywiązuje znaczenia do ubrań, ale metki świadczyły o czymś przeciwnym. Po pierwszej łóżkowej randce chodziłam przez całą noc w jego żółtym swetrze, ciesząc się dotykiem na skórze prawdziwego kaszmiru. „Zatrzymaj go sobie” - rzekł na odchodnym, ziewając przeciągle. Wyszedł ode mnie w marynarce nałożonej na podkoszulek. Później Rita pożyczyła sweterek ode mnie i wylała na niego kieliszek czerwonego wina, co sprawiło, że David kupił dwa następne kaszmiry, po jednym dla nas obojga.

- Przemawia przez ciebie zazdrość - mówię do Rity.

- Nic podobnego! Było mi ciebie żal, bo... Sama nie wiem, straciłaś radość życia. Zrobiłaś się cholernie poważna, starając się ze wszystkich sił być taka, jak on oczekiwał, choć diabli wiedzą, o co mu chodziło. Naprawdę ci współczułam. Wszyscy się nad tobą litowali! Zatraciłaś po prostu... siebie.

Jestem zbyt zaabsorbowana, żeby odeprzeć takie oskarżenia. Skupiam się z całych sił na wyrysowaniu za pomocą palca wskazującego kwadracika na moim kolanie. Boki nie wychodzą prosto, widzę to, choć kwadrat jest niewidzialny. Rysować też nie umiem.

- Nie wierzysz mi?

- Och, Boże, Rita. Nie wiem, nie pamiętam.

Jednakże doskonale sobie przypominam. Wychodząc za mąż za Davida, czułam się jak dziecko, które otrzymuje zbyt kosztowny podarunek. Byłam przeświadczona o moim uczuciu do niego, ale to była nerwowa miłość, nawet u zarania. I zarazem wyczuwałam intuicyjnie, że on coś przede mną ukrywał - jakąś nieprzyjemną cechę swojej osobowości. Byłam jednak pewna, że zdołam go zmienić. Jego rodzina wionęła chłodem, co zresztą nie było jego winą. W istocie David ze wszystkich sił pragnął się otworzyć. Ja jako jego żona miałam mu w tym dopomóc. Przez całe lata zastanawiałam się, jak to osiągnąć, jak znaleźć klucz do jego zamkniętej psychiki, i za każdym razem próba kończyła się niepowodzeniem.

- No więc jakie są twoje plany? - Rita zadaje nieuniknione pytanie.

Patrzę na okno w kuchni. Na ciemnobłękitnym niebie widzę pyzate obłoki, jak z dziecięcych rysunków Travisa. Pięknie jest na dworze. Ziemia obraca się wokół swej osi. Wczoraj ułożyłam sobie listę zajęć: zrobić porządek w ogródku na tyłach domu. Zatankować paliwo. Od-dzwonić do ludzi, którzy nagrali się na sekretarce. Mogłabym równie dobrze dopisać: Jeść. Oddychać.

- Nie mam żadnych określonych planów - odpowiadam. - Plany są zbyt skomplikowane. Jedyne, co ostatnio zrobiłam, to wydałam trochę pieniędzy.

- No i dobrze. Od czegoś trzeba zacząć. Co kupiłaś, bieliznę? Tak zrobiła moja koleżanka Eileen. W dniu, w którym mąż ją opuścił - dla pieprzonej higienistki z gabinetu stomatologicznego, która im obojgu robiła jakiś obłąkany masaż dziąseł - poszła do butiku z bielizną Victoria's Secret i w ciągu kwadransa wydała pięćset dolarów. Wybrała komplety z jedwabiu i na dodatek jakieś wyuzdane paski do pończoch, figi w stylu Moniki Lewinsky...

- A ja poszłam do Tiffany'ego. Kupiłam sobie porcelaną stołową. I sztucce ze srebra. - Nie mam zamiaru wspomnieć o bransolecie. Do tego stopnia nie zgłupiałam.

- Żartujesz!

- Wcale nie żartuję.  
- Przecież nie lubisz takich rzeczy.  
- Kiedyś nie lubiłam, ale teraz - owszem. Chcę po prostu czegoś... odmiennego. Postanowiłam żyć w innym stylu. Muszę postępować inaczej. To znaczy, nawet zamierzam się oduczyć lęku przed ciemną sypialnią. Czy ty wiesz, że obawiam się ciemności? Teraz budzę się w nocy, zastanawiając się, kto kręci się w piwnicy i kiedy wlezie na górę, żeby zamordować mnie i Travisa. Trzymam pod łóżkiem nóż do sprawiania ryb.

- Do sprawiania ryb?  
- Nigdy go nie użyłam. Ale wymyśliłam sobie, że może okazać się niezbędny. Bardzo ładny. Ma rękojeść z macicy perłowej.

- Jestem pewna, że morderca się zachwyci.  
- Nareszcie doczekałabym się odmiany: ktoś by mnie docenił. - Wszystko to, co chciałam wyznać Ricie, tkwi mi w gardle. Nie mogę wypowiedzieć swoich myśli, są zbyt żenujące. Rita, siedziałam pośrodku pokoju i wyłam jak pies. Zastanawiałam się nad „przypadkową” śmiercią. Kupiłam książkę o szacunku do siebie i kiedy wyczytałam w niej, że należy zrobić listę cech, które się u siebie lubi, nic nie przychodziło mi do głowy. Nie mogłam wykombinować nawet jednej takiej cechy. Po dwóch dniach zmusiłam się do spisania czegoś na kształt wymaganej listy, po czym ukryłam ją w szafie, a wreszcie spaliłam. Nie umiem myśleć jasno, w głowie mam pajęczynę. Muszę się porządnie wysilić, żeby skupić się na otwarciu puszki z zupą.

Rita zmienia ton, łagodnieje:

- Sam, a może byś wyjechała na jakiś czas? Przyjedź do mnie, wezmę tydzień wolnego, zaopiekuję się tobą.

Dlaczego by nie odwiedzić Rity? Mieszka w pięknym domu w Mili Valley, w okręgu Marin w północnej Kalifornii. Mogłabym dziś wylecieć do San Francisco, by już jutro leżeć w hamaku w jej ślicznym ogrodzie, kontemplować obłe wzgórza i połyskliwy ocean w dali.  
Zjadły-

byśmy kanapki z awokado i pomidorów posypane kielkami, wybrały się na długi spacer i z zerwanych kwiatów, które rosą tam dziko, ułożyły cudowne bukiety. Mąż Rity, Lawrence, jest profesorem humanistyki. Ma szare oczy, zapuścił brodę i odznacza się łagodną naturą. Uprawia z upodobaniem I Ching. Jest też pełnym polotu kuchmistrem i przygotowuje obiady przynajmniej dwa razy w tygodniu. Zostawiłby nas w spokoju, jeśli byśmy tego sobie życzyły, i pokazywałby się tylko wtedy, gdybyśmy zapragnęły jego towarzystwa.

W „moim” pokoju gościnnym Rita zawsze stawia na przywitanie wazon ze świeżo ściętymi kwiatami obok pudełka z czekoladkami i egzemplarza „National Enquirer”. Nastawia płyty, których lubiliśmy słuchać, gdy mieszkaliśmy razem na studiach: zespołu The Temptations, Janis Joplin, Odetty. Gadamy całymi godzinami, ryczymy ze śmiechu, czasem płaczemy.

Wreszcie wydobywam z siebie głos:

- Nie mogę przyjechać. Travis chodzi do szkoły. Nie wolno mi odciągać go od nauki. A nie chcę go zostawiać z Davidem.

- Więc poproś swoją matkę. Ona uwielbia go rozpieszczać.

- Myślę, że powinnam tu siedzieć. W końcu rozstanie jest ciężkie również dla niego.

- No tak, zdaję sobie sprawę, przepraszam. Nie zamierzałam pomniejszać waszego konfliktu, naprawdę. A jak się trzyma Travis?

- Na ogół się nie odzywa. Sądzę, że odbiera to jako wielką kłótnię.

- I ma rację?

- Nie. To wzbierało od lat. Myślę, że David nigdy mnie nie kochał. To zdumiewające, prawda? - Zaczynam płakać. Znowu.

- Och, kochanie - odzywa się Rita. - Wiem, jak to musi boleć. Tak mi przykro. Jakże bym chciała z tobą być. Mogłabym wtedy coś dla ciebie zrobić.

- Wiem, że byś mogła. To musiałyby być coś cudownego. Co masz na myśli?

- No, to by było... nie mam zielonego pojęcia. Uśmiecham się, wycieram nos.

- Więc ty zawsze miałaś go za gówna, co?

- Tak, daję słowo.

- I obgadywałaś go za plecami?

- Ciągle.

- Mam nadzieję, że wspomniałaś, jakim był fatalnym tancerzem. Nie miał najmniejszego poczucia rytmu. I wcale nie zdawał sobie z tego sprawy.

- Jestem przekonana, że to wszystko było szczegółowo omawiane. Jak również ten jego gest płaza, gdy unosił szczękę i jednocześnie odchrząkiwał. Sam, to brzmi teraz okropnie, ale jestem pewna, że będzie ci lepiej bez niego. Pomyśl, że idąc do łóżka, specjalnie nie zmywałaś tuszu z rzęs.

- No tak.

- A jak się urodził Travis, to okropnie się zawstydziałaś, że David ujrzał pępownię.

O, Boże. Zupełnie o tym zapomniałam, ale tak było. Czułam się zażenowana, że pępownina wygląda tak obrzydliwie.

Słyszę, jak zegar bije trzecią.

- Rita, muszę kończyć. Travis zaraz wraca do domu.

- Zadzwoń do mnie wieczorem.

- Po co?

- Powiedzmy, że to ja potrzebuję twojej pomocy, dobrze?

Na górze myję twarz, nakładam cienie na powieki. Następnie rozbieram się do naga, żeby przeegzaminować siebie w dużym lustrze w łazience. Obracam się bokiem. Całkiem dobre piersi. Niemniej dostrzegam rowki i zagłębienia na udach. I ten mój głupi, miękki brzuch. Zastanawia mnie, kiedy włosy łonowe zaczynają siwieć. Nie mam pojęcia, jak ludzie od dawna żyjący w stadle rozbierają się w swojej obecności. Kochanie. Jak mogę nawet



o tym myśleć? Nie te ręce. Twarz. Zapach. Otwierasz oczy po pocałunku i... co? Brak mapy.

Ubieram się. Potem idę do kuchni, żeby upiec dla Trávisa ciasteczka z masłem orzechowym. I z czekoladą.

Jest piątek, przed nami czai się weekend. Dziś wieczorem pójdziemy na kolację do włoskiej knajpy przy Newbury Street, która zdziera z klienta. Samochód na parking odstawia fagas w liberii. Zamówimy przekąski przed głównym daniem, a potem deser. „A co do picia?” - zapyta kelner, gdy ja będę długo wczytywała się w listę win, wybierając najdroższe.

- Nie chcę przekąski - grymasi Travis. Stara się mówić półgłosem, ale w jego tonie znać zdenerwowanie. Jesteśmy w restauracji, usadzono nas przy zarezerwowanym stoliku. Jest wcześnie, dopiero wpół do szóstej, inni klienci mieli jeszcze dosyć taktu, aby nie pojawiać się

o tej porze. Większość obsługi ubrana w białe kurtki tkwi przy stole na zapleczu, leniwie gadając ze sobą, śmiejąc się i popijając jakiś napój, który z tej odległości wydaje mi się wodą z plasterkami cytryny.

- Ja chcę tylko spaghetti z serem i z masłem.

- Dobrze, zamówimy - tłumaczę - ale czy nie chciałbyś czegoś na początek? Przystawki?

- Przystawki do czego?

- Do kolacji, kochanie - odpowiadam.

- Na kolację zjem spaghetti.

- Zgoda, ale zaczniesz od małego danka. Możesz zjeść

1 to, i to. Słuchaj, przecież dobrze o tym wiesz.

- Świetnie. - Trzaska jadłospisem, zapada się w krzesło. Nagle chwyta się za krawat i poluzowuje go.

- A więc - pytam - co sobie życzysz? Wybierz to, na co masz ochotę.

- Wszystko mi jedno. Ty jesteś tą od wybierania. Sama wskaż.

Prostuję plecy, uśmiecham do nadciągającego kelnera.

Facet jest tak pedalsko elegancki, że czuję się od razu zażenowana moim wyglądem kury domowej. Nioska. Rozwiedziona. Wiedza o życiu nocnym miasta i o sztuce bliska zeru.

Kelner zastyga przede mną, unosi brew.

- Wybrali państwo?

Antipasto? - myślę trochę spanikowana. Krewetki w zalewie z limony? I w końcu, ponieważ Travis ma niestety rację, zwracam się cienkim głosem:

- Dla mojego syna spaghetti z masłem i z tartym serem. Dla mnie to samo. Proszę tylko, by nie poskapiono parmezanu. Dwie coca-cole, cztery rurki z kremem. I od razu rachunek.

- W porządku - odpowiada kelner i stanowczym ruchem wkłada do kieszeni długopis. Ma przy tym wymuszony uśmiech.

- W porządku! - krzyczy Travis i siada prosto.

- Travis?

Patrzy na mnie z lękiem, bo już mu zwracałam uwagę, żeby nie zachowywał się tak hałaśliwie.

- Może zdejmiesz krawat? - Dyskretnie zzuwam pantofle na szpilkach i opieram się plecami na krześle.

Travis ściąga krawat, kładzie go obok nakrycia. Ja natomiast kładę obok talerza swój pasek.

Kilka godzin później, po dwukrotnym obejrzeniu *Wojen gwiazdnych*, wlecze się do łóżka. Ja biorę kąpiel, idę do sypialni z zamiarem przeczytania jednej z książek kupionych kilka dni temu. Ściągam narzutę i wtedy zupełnie niespodziewanie odpływa ode mnie cały dobry nastrój, choć tak pilnie go strzegłam. Stoję przez chwilę nieruchomo, po czym upadam na kolana i szepczę: pomóż, w dłonie, którymi zakrywam twarz.

W poniedziałek rano, zaraz po wyjściu Trávisa do szkoły, dzwoni telefon. Kiedy podnoszę słuchawkę, rozlega się w niej wściekły głos:

- Sam, co ty do cholery sobie myślisz?

- Och. Hej, David.

- Co ty wyprawiasz?

- Stoję tu, David. Stoję u siebie w domu i rozmawiam z tobą przez telefon. A co ty robisz? Skąd dzwonisz?

- Z biura.

A więc nie siedzi w samochodzie zaparkowanym na podjeździe naszego domu i nie pyta, czy chcę go przyjąć z powrotem.

- Właśnie odbyłem pogawędkę w banku z Johnem Hurleyem. Bardzo interesująca. Okazuje się, że w zeszłym tygodniu został wypisany czek na znaczną sumę dla Tiffany'ego. Przez ciebie.

- Zgadza się. Potrzebowałam trochę talerzy.

- Mhm. No cóż, jak sądzę, jest to jeden ze sposobów, aby mi dowalić. Raczej bez wyobraźni, muszę dodać.

- Pewnie musisz. Nie jest to taki oryginalny sposób, jak spakowanie manatków i przeprowadzka do hotelu.

- Sam, dzwonię, aby ci zakomunikować, że przerzuciłem większość pieniędzy na inne konto. Przykro mi, ale nie dałaś mi wyboru.

On...? O, Boże.

No i świetnie. Doskonale. Co powinnam zrobić sobie na śniadanie?

- Będę łożył odpowiednie sumy na utrzymanie Trávisa. I na twoje. Ale nie takie, które będą ci pozwalały na kupno za kilkanaście tysięcy dolarów jakichś rzeczy u Tiffany'ego w dowolny czwartek.

Może mam ochotę na płatki na mleku z truskawkami? Albo jajka?

- Sam?

- Tak?

- Czy mnie słuchasz? Rozumiesz, o czym mówię? Rozłączam się. Po chwili podnoszę słuchawkę i kładę

ją jeszcze mocniej. Wreszcie zdejmuję ją z widełek i odkładam na blat stołu kuchennego.

Znajdę jakąś pracę. Sama zarobię te przekłete pieniądze. Wynajmę gabinet Davida, a może i suterenę. To mi pozwoli na spłaty kredytu za dom. Nie wyprowadzę się stąd, nie sprzedam domu, choć David utrzymywał, że nie ma innego wyjścia. Ja tu żyję. Travis tu żyje. I zostanę tutaj. Zrobię zresztą to, na co będę miała ochotę. Będę używała piły mechanicznej w szopie, choć on ostrzegał, że to niebezpieczne. Pomaluję sobie powieki na fioletowo, bo jego zdaniem jest to zbyt wyuzdane.

A co do teraz, to wyjdę na długi spacer.

Ruszam do drzwi, ale zerkam na słuchawkę leżącą na stole. Pani Morrow, próbowaliśmy się do pani dodzwonić, ale linia była stale zajęta. Kierownik szkoły podpisał za panią zgodę na operację.

Odkładam słuchawkę na miejsce, robię krok w stronę holu i wtedy znowu dzwoni telefon. Odbieram.

- Słyszałam ciebie - odzywam się pierwsza.

- Słyszałaś co? - mówi moja matka.

- Och, mamó. Myślałam, że to znowu David. Dzwonił przed chwilą.

- I?

- Chciał rozmawiać o finansach. Nic takiego.

- Skoro już mówimy o finansach, znalazłam kupon:

pięćdziesiąt procent zniżki na trwałą. Jesteś zainteresowana?

- Nie chcę trwałej.

- Myślę, że byłoby ci w niej do twarzy.

- Sama wykorzystaj ten kupon.

- Ależ ja mam trwałą!

- No to może przyda się którejś z twoich koleżanek.

- Racja. Pamiętasz Angie Ryan? Dam jej ten kupon, potrzebuje wsparcia psychicznego. Jej męża powinno się umieścić w zakładzie zamkniętym. Wiesz, co w zeszłym tygodniu zrobił biedaczce?

No i spacer z głowy. Odstawiam krzesło kuchenne. Siadam.

Travis siedzi na górze i odrabia lekcje, a ja przy stole kuchennym układam listę.

1. ZATELEFONOWAĆ DO DAVID A I KAZAĆ MU ZABRAĆ WSZYSTKIE JEGO ZASRANE RZECZY - piszę. Jednakże w obawie, że Travis zobaczy kartkę, wymazuję „zasrane” i zostawiam „rzeczy”. W nawiasie dodaję ŻEBY MIAŁ, CZEGO POTRZEBUJE.

Dalej notuję: 2. UMIEŚCIĆ KARTKĘ NA TABLICY OGŁOSZEŃ W SUPERMARKECIE FRANCO'S, ŻE POSZUKUJĘ WSPÓŁLOKATORA (ÓW?).

Wreszcie punkt 3: PRACA.

Niby co miałabym robić? Wyobrażam sobie, jak wypełniam formularz. *Ostatnie zatrudnienie?* Piosenkarka w kapeli rockowej. *Referencje?* „Roach” Davis, solowy gitarzysta.

Ciekawe, co się z nim stało. Może zrobił karierę i akompaniuje komuś w studyjnych sesjach nagraniowych; był naprawdę super. Potrafił jedną ręką rolować skręty, nauczył i mnie tej sztuczki. To naprawdę świetna rekomendacja w formularzu.

I co mam ze sobą zrobić?

Co chciałabym robić?

Opieram głowę na ramieniu, zamykam oczy i przypominam sobie coś, co zdarzyło się wiele lat temu. Kiedy byłam w pierwszej klasie gimnazjum, poszłam kiedyś z mamą do banku. Na dworze, oparty o mur, siedział opatulony w koc facet, którego nogi kończyły się gdzieś w okolicy kolan. Nogawki spodni khaki były starannie zawinięte i podłożone pod kikuty; ta rzeczowość najbardziej mną wstrząsnęła. Ten człowiek położył przed sobą pudełko po cygarach i potrząsał kilkoma monetami znajdującymi się w środku. Uśmiechnął się na nasz widok, mrużąc oczy w promieniach ostrego słońca. Uchylił runda słomkowego kapelusza i zwrócił się do nas: „Czy możecie mnie, drogie panie, wesprzeć? Dać trochę drobnych?”. Wybuchnęłam takim okropnym i takim głośnym płaczem, że matka natychmiast mnie odciągnęła, zaprowadziła do auta i zakręciła szyby. „Sza, już dobrze” -mruczała, wycierając mi twarz chusteczką i nerwowo się rozglądając. A ja powtarzałam, że wcale nie jest dobrze, ten człowiek nie ma nóg, nie może nawet stanąć. Mama odparła, że tak, mam rację, ale ten facet sterczy tam przez cały czas, jest szczęśliwy, a nawet lubi siadywać przed bankiem i żebrać. To sprawiło, że rozbeczałam się już na całego, więc przerażona matka wcisnęła mi jednodolarowy banknot i pozwoliła podejść do żebraka, pod warunkiem że nie będę go dotykać. Otarłam czerwoną jak burak twarz rąbkiem sukienki i wolno podeszłam, żeby wręczyć datek. „Dziękuję, panienko” - usłyszałam, odpowiedziałam „Proszę”, a potem go dotknęłam - wyciągnęłam rękę i musnęłam jego ramię, a on ścisnął mi dłoń. Wtedy dopiero się uspokoiłam.

Siadam. Może dostanę jakąś pracę w domu dla starców kilka przecznic ode mnie. Ilekroć tamtędy przechodzę, zawsze zaglądam w okna, obserwując strzępy akcji: kobietę w pastelowym spodniemie wożoną wzdłuż korytarza na fotelu inwalidzkim, grupę ludzi, którzy, jak odnoszę wrażenie, śpiewają w sali rekreacyjnej. Zawsze odczuwałam pragnienie, aby tam wejść i zaproponować

pomoc. Może teraz to zrobię. „Nie mam żadnego doświadczenia - wyobrażam sobie, jak mówię - ale naprawdę lubię starych ludzi”.

Zarobki nie odgrywają większej roli, jeśli uda mi się znaleźć sublokatorów. Ważne jest, abym wykonywała jakieś istotne zajęcie - takie, jakie uważam za prawdziwe. Zamierzam stale mówić prawdę. Poznałam kiedyś kobietę, która na Nowy Rok przysięgła sobie, że odtąd będzie mówić wyłącznie prawdę. Pamiętam, jak byłam tym poruszona, zastanawiając się, jakie to będzie niezwykle -i jakie trudne. Składasz takie zobowiązanie i bez względu na to, o co ktoś cię zapyta, odpowiadasz uczciwie aż do bólu. Strach pomyśleć!

- Pracuję w zakładzie dla starców - mówię głośno, testując siebie.

Dzwoni telefon, podnoszę słuchawkę niezbyt przytomna. Z tamtej strony głos męski chrząka, w końcu informuje:

- Szukam Sam Reynolds.

Reynolds. To moje panieńskie nazwisko. Pewnie organizuje się zjazd szkolny, więc z podnieceniem odpowiadam, że to ja, Sam. Podkochiwałam się w Gregu Mulvaneyu, zawodniku naszej drużyny baseballowej; był ciemnowłosy, miał włoskie rysy, dołki na policzkach. Nigdy mu tego nie wyznałam. A co by było, gdyby się okazało, że i on jest teraz rozwiedziony... Powolny taniec, ewentualne wyznanie... może nawet z obu stron. Kto wie, co może się jeszcze zdarzyć. Odsuwam od siebie salaterkę z chipsami, które od jakiegoś czasu podjadałam.

Jednakże facet komunikuje mi:

- Nazywam się Stuart Gardner. Dostałem numer telefonu od pani matki.

- Och...?

- Zdaniem pani matki, zechciałaby się pani ze mną spotkać. Ona uważa, że mamy ze sobą wiele wspólnego.

- Ach tak...

- Tak, to mi właśnie przekazała. W jednej sprawie...

- Jak się pan nazywa?
- Stuart. Stuart Gardner. Jak nazwa tego muzeum...
- Aha. Wiesz, Stuart, myślę, że to trochę za szybko. Mój mąż - czy mama ci o nim wspominała?
- Tak, bardzo ci współczuję. Poinformowała mnie, że zmarł przed rokiem i że jej zdaniem mogłabyś mieć już ochotę na... na drinka, ja myślę tylko o tym. Albo na kawę, zresztą, co wolisz.
- Przykro mi, Stuart. Nie sądzę, abym była gotowa. Wzdycha, wydając z siebie taki ton, że jestem prawie pewna, iż i tak by mi się nie spodobał. Wreszcie pyta:
  - Ale może na wszelki wypadek zapiszesz sobie mój numer telefonu?
  - Jasne.
  - Masz czym?Oczywiście, ołówek leży obok, ale nie mam zamiaru go użyć.
- Tak, mam pod ręką.
- No to pisz: sześćset czterdzieści jeden...
- Bardzo wolno powtarzam cyfry, wreszcie wykrzykuję:
  - W porządku!
- Jestem przekonany, że przypadniemy sobie do gustu - ciągnie Stuart. - Twoja mama wiele mi opowiadała na twój temat.
  - Może po jakimś czasie... Zadzwoń, kiedy dojdę do siebie. Ale ciągle prześladowają mnie wspomnienia, no wiesz... Stale widzę jego twarz, gdy - jak pewnie słyszałeś - strzeliłam do niego.
  - Ty...?
  - Wyglupiam się. Cisza.
- Odkładam słuchawkę, uświadamiając sobie, że zламаłam śluby i że już skłamałam. Ale zaraz się poprawię. Podnoszę słuchawkę, wykręcam numer mamy. Kiedy Veronica rzuca nieodmiennie pełne radości i oczekiwania: „Tak, halo” - ryczę do niej:
  - Co ci przyszło do głowy?



- Sam! To ty?

- Nie szukaj mi absztyfikanta! Nie umawiaj mnie na randki! Nigdy! Przenigdy!

- Och, Stuart zadzwonił do ciebie? Urok nie człowiek. Zobaczysz, zakochasz się w nim.

- Chwileczkę. Chwileczkę! Właśnie ci powiedziałam, żebyś tego nie robiła. A ty się zachowujesz tak, jakbym zwariowała z radości i planowała spotkanie w Paryżu!

Veronica śmieje się półgębkiem.

- Ależ nie *rendez-vous*, nawet nie spotkanie. Po prostu wspólny drink. W ten sposób będziecie mieli okazję dowiedzieć się czegoś o sobie. A dopiero wówczas umówicie się randkę. Może kolacja, może wspólne pójście do kina, choć w kinie nie wolno rozmawiać. Nigdy nie mogłam zrozumieć, dlaczego ludzie na pierwszą randkę idą do kina. Ale kolacja w miłej, dajmy na to francuskiej restauracji, bukiet kwiatów na stole, może nie za droga, ale coś, co ma...

Opieram się o ścianę w skrajnym wyczerpaniu. Potrafię jednak wykrztusić z siebie:

- Mamo, posłuchaj mnie. Jeśli ktokolwiek do mnie zatelefonuje z twojego polecenia, odłożę słuchawkę. Przysięgam, że tak zrobię. Po prostu się rozłączę.

Cisza.

- Słyszysz?

- Sam, słyszę smutek w twoim głosie. Martwię się o ciebie.

- Rozłączę się!

- Dobrze więc. Maż się tyle, ile chcesz. Panna Smuta-ska. Niektórzy ludzie uwielbiają cierpieć. Upajają się własnym nieszczęściem.

- Mamo, muszę znaleźć swoją własną drogę wyjścia.

- Dobrze, w porządku. Chcesz szlochać i zgrzytać zębami, to zajmuj się tym dalej. Życzę ci wszystkiego najlepszego w tym stanie. Dla Tralisa to super.

- Wcale nie zgrzytam zębami. Znalazłam sobie zajęcie. I mam sublokatorów.

- Sublokatorów?

- Tak.

- Pozwalasz, aby w twoim domu zagnieździli się obcy? O Chryste Panie!

Przerywam rozmowę, nasypuję nową porcję chipsów do salaterki i nie podnoszę słuchawki, gdy telefon znowu dzwoni. Wracam do swojej listy i dopisuję: 4. NASTAWIĆ SEKRETARKE OSOBISTĄ, ŻEBY ODBIERAŁA WSZYSTKIE POŁĄCZENIA.

Zaglądam do Franco's, niedużego sklepu kolonialnego, znajdującego się w wygodnej odległości spacerem od mego domu. Jest tam drożej, ale człowiek nie czuje się przygnieciony masą towarów jak w supermarkecie, a drobne usprawnienia zapewniają wygodę. U Franco's można się napić kawy za darmo, na tablicy ogłoszeń znaleźć nowe przepisy kulinarne. Z głośników płyną łagodne dźwięki muzyki poważnej zamiast podekscytowanych głosów, które ci wmawiają, ile zaoszczędzisz, kupując dziś zrazówkę wołową. Z zaplecza dochodzi woń piekącego się indyka. Przejścia między rzędami półek noszą nazwy ulic z sąsiedztwa; wykaligrafowano je na kartonikach. Przy kasie uprzejmi uczniowie liceum ze starannie przylizanymi fryzurami i nieskazitelną cerą pakują zakupy do papierowych toreb i targają ci je do auta; napiwki są zakazane. To, oczywiście, tym bardziej zachęca klientelę do wręczania datków. Jednakże chłopcy zdecydowanie odmawiają, zajęci parkowaniem wózków na zakupy i ustawianiem ich w równym szeregu przed wejściem. Nie mam pojęcia, gdzie właściciele sklepu wynaleźli tych młodzieńców. Tacy wracali grzecznie do domów mniej więcej w latach pięćdziesiątych.

Starsi pracownicy zatrudnieni u Franco's mają tytuły kierowników działów. Są niestrudzeni, układając na nowo pomidory w piramidki, stawiając na miejsce kartony z pojemnikami twarożku, mieszając w słojach sałatki z makaro-

nem stojące na ladzie z artykułami delikatesowymi. Lubię, gdy obsługuje mnie Marie, kasjerka u Franco's od trzydziestu jeden lat, i ustawiam się w kolejce do niej, nie zwracając uwagi na inną kasjerkę, choć przed stanowiskiem tamtej jest pusto. Chcę zapytać Marie, w którym punkcie tablicy należałoby umieścić moje ogłoszenie; niektóre miejsca są lepsze, bardziej widoczne. Już przedtem zauważyłam tu kartki z ofertami pokoi do wynajęcia, wciśnięte między anonse o kociakach do odstąpienia za darmo, o opiekunkach do dzieci, lekcjach gry na pianinie, małych przeróbkach stolarskich. Starannie wypisałam na swoim kartoniku:

### **SUBLOKATOR POSZUKIWANY**

Duży pokój do wynajęcia w bardzo ładnym domu należącym do samotnej matki z 11-letnim synem. Palacze wykluczeni. Zgoda na dzieci i psy/koty. Pożądana osoba pracująca i odpowiedzialna. 500 dolarów miesięcznie.

Kiedy pisałam tę kartkę, dotarło do mnie, że informacja nie jest wystarczająca. Ale nie wiedziałam, jak napisać coś więcej. Niemile widziany ktoś, kto nigdy nie używa dezodorantu - nie, tego nie mogłam umieścić. Proszę, zostań mi przyjacielem, bo tak bardzo go potrzebuję. To również wykluczone. To nie miejsce do leczenia psychoz - zasugerowała Rita. Neurotyczni natomiast mogą się zgłaszać.

No, zobaczymy, kto się odezwie, to tyle. Wtedy przeprowadzę z nimi rozmowę, od tego zacznę. Ufam mojej intuicji. Wiele wiem o ludziach. Prócz Davida. Proszę, nie bądź jak David.

- Hej, zbudź się. - To głos Marie, która wychyla się zza kasy, żeby przysunąć mój wózek z zakupami.

Uśmiecham się do niej, kładąc kilka produktów.

- Co takiego pichcisz na kolację? - pyta Maria, patrząc na mnie znad szkieł. I po chwili dodaje: - Co się stało?

- Ach, właściwie... Chcę zostawić kartkę na tablicy ogłoszeń. Marie, gdzie ją najlepiej umieścić?

- A co sprzedajesz?

- Wynajmuję pokój. U siebie w domu.

- Naprawdę?

- Tak. Potrzebuję... współmieszkanki. - To słowo jest idiotyczne. A ja mam czterdzieści dwa lata.

Marie wydaje mi resztę i komunikuje drugiej kasjerce, że wróci za kilka minut.

- Chodź ze mną - mówi i prowadzi mnie do pokoju na zapleczu. Skrzynki z napojami pną się aż do sufitu, karty do podbijania w zegarze stoją w pudle pod ścianą. Muszę znaleźć pracę.

- Co się dzieje, moja droga? - pyta.

Wzruszam ramionami, siadam na skrzynce z wodą sodową.

- Rozstałaś się z mężem czy coś w tym rodzaju? Kiwam głową.

- No, niech mnie - Marie wzdycha, opiera się o zegar, krzyżuje ręce na niebieskim płóciennym fartuchu. Na jednej piersi ma wyhaftowany napis „Franco's", na wysokości drugiej wpięła, jak zwykle krzywo, tabliczkę ze swoim imieniem. Ona akurat nie potrzebuje żadnych wizytówek. Wszyscy ją znają, dla każdego jest kimś zastępczym. Ma dobrze ponad pięćdziesiątkę i jest otyła w jakiś budzący zaufanie sposób. Ma serdeczne błękitne oczy, szpakowate włosy i prześliczną cerę; kiedyś powiedziała mi w zaufaniu, że zawdzięcza ją maseczkom z majonezu. Od lat wymienialiśmy poglądy - uwagi na temat pogody, złośliwości pod adresem drużyny Red Sox, zdziwienia, że Travis tak szybko rośnie. Marie była pierwszą osobą spoza rodziny, która wzięła go na ręce. Przyniosłam go tu, gdy miał trzy tygodnie.

- Kiedy to się stało? - pyta Marie.

- Parę tygodni temu. Nie zamierzam pozbywać się domu, ale potrzebuję sublokatora, żeby poradzić sobie ze spłatą kredytu. Postanowiłam więc dać ogłoszenie na waszej tablicy.

- Och, Boziu. Nie wiem.

- Czy jest jakieś miejsce na tej tablicy, na które ludzie spoglądają częściej niż na inne?

Marie się wzdryga.

- Jesteś zdecydowana? A nuż wprowadzi się do ciebie jakiś świr?

- A czy mam inne wyjście? Nie mogę sobie pozwolić na utrzymanie całego domu.

- Poczekaj! - odzywa się nagle Marie. - Mam dla ciebie kandydatkę. Moja mama szuka pokoju do wynajęcia.

- Twoja matka!

- Jej czynsz znowu poszedł w górę. Nie stać jej na to mieszkanie, a nie zamierza wprowadzić się do mnie -zbyt sobie ceni niezależność. Sam, to naprawdę urocza kobieta - spokojna, czysta, uwielbia dzieci. I wiesz, skąd mam te wszystkie przepisy, które ci polecałam? Od niej.

Babcia. I to przypuszczalnie autentyczna, nie jak moja matka wobec Trvisa. Osoba, która nosi perełki w uszach i pastelowe suknie do pół łydki, a nie złote elastyczne dżinsy z opiętymi sweterkami i na dodatek obwiesza się sztuczną biżuterią. To by grało, nie? A jeśli na dodatek uda mi się wynająć suterene, nie martwiłabym się tak bardzo pensją, bez względu na rodzaj pracy, jaką uda mi się znaleźć.

Odrywam róg od papierowej torby.

- To mój numer. Powiedz, żeby do mnie zatelefonowała. Mam wielką ochotę ją poznać.

- Jest jedna sprawa...

- Tak? Pewnie nie trzyma moczu.

- Ona ma sympatię. Są ze sobą naprawdę blisko.

- To głupstwo. Któraś z nas powinna mieć narzeczonego.

Zarzucam torbę na ramię, wstaję.

- Marie, dzięki ci.

Kiwa głową ze smutną miną. Współczuje mi. Chociaż ja - zauważam - wcale nie jestem teraz przygaszona. Nie w tej chwili. Ulga sprawia, że czuję się lekka. Może naprawdę trochę zeszczuplałam. Żałoba zmienia przemianę materii. To powoduje, że człowiek chudnie. Sie-

dząc w aucie, przypatruję się swojej twarzy w lusterku wstecznym. Wygląda dokładnie tak samo. I wtedy, znienacka, znów zapadam w smutek. Przekręcam kluczyk w stacyjce, nastawiam radio. Słyszę piosenkę: *Co się stało ze złamanymi sercami*. Dobre pytanie.

- To taki obłąkany czas - tłumaczę Ricie. - W ciągu jednej minuty czujesz się strasznie, by za chwilę popaść w... ekstazę.

- Wszyscy tak mówią. - Rita przygotowuje kolację. Słyszę, jak szumi woda w kranie, jak uderzają o siebie patelnie i garnki. - Znalazłaś się na emocjonalnej karuzeli.

- Jest dokładnie tak, jak mówisz. Poprzedniej nocy leżałam w wannie, płacząc. Dziś czuję się tak, jakby dzień mojego ślubu był dniem, w którym zgasły wszystkie światła. Spotkało mnie szczęście, że się go pozbyłam.

- Pewnie że tak.

- Co tam przyrządzasz?

- Kurczaka. Czy ktoś je dziś cokolwiek innego? Pomyśl, co sobie myślą kury, znosząc na świat swoje dziatki.

- Słuchaj, znalazłam sublokatorkę.

Rozlega się odgłos tłuczenia mięsa, po czym Rita się odzywa:

- No nie, już? Powinnaś dać sobie trochę czasu, Sam. Musisz być rozważna!

- Na miłość boską, to kobieta, która ma siedemdziesiąt dwa lata. Znam jej córkę.

- A co Travis na to?

- Jeszcze mu nie powiedziałam. On wie, że ma się tu ktoś wprowadzić, ale na razie nie mówiłam ani kto to będzie, ani kiedy to nastąpi. Muszę się upewnić, że ona wynajmie ten pokój, dopiero wtedy mu powiem.

Rita wzdycha.

- A więc chcesz zamieszkać w towarzystwie staruszki. To naprawdę duży postęp. Będziecie mogły razem

chodzić na partyjkę bingo, wymieniać się szalikami. No, dosyć tego dobrego. Wsiadam w samolot i przyjeżdżam do ciebie. Jestem ci niezbędna.

- Wcale nie uważam, żeby to był zły pomysł. Na przykład ona lubi gotować. A poza tym i tak zamierzam podnająć suterene. Postaram się znaleźć kogoś bardziej w moim wieku. Albo zdecydowanie młodszego, dwudziestolatka. Co powiesz na rowerzystę?

Słyszę dzwonek do drzwi, więc rzucam do słuchawki:

- Ona tu jest, ta kobieta! Przyszła, żeby się ze mną poznać.

- Wieczorem? Ona o tej porze wychodzi z domu?

- Muszę iść.

- Bądź ostrożna!

- Mam się bać staruszki?

- A pamiętasz Bette Davis w *Co się zdarzyło Baby Jane?*

- Zadzwonię później.

Odkładam słuchawkę, odgarniam włosy z twarzy i podchodzę do drzwi.

Ale w drzwiach stoi nie starsza pani, lecz David, który nacisnął dzwonek, jakby chciał podkreślić, że już tu dłużej nie mieszka. Przynajmniej tak podejrzewam.

- On chciał już wrócić do domu - komunikuje mi mój mąż. Zerka przez ramię na Travisa, który wlecze się chodnikiem.

- Miał zostać u ciebie do późnego wieczora.

- Sam, on życzył sobie wrócić do domu, co miałem zrobić? A zresztą, dlaczego miał w ogóle stąd wychodzić? Co ty tu robisz?

Travis wchodzi, rzuca torbę z książkami na podłogę w holu, rusza w stronę kuchni.

- Co jest do jedzenia? - pyta po drodze.

- Co się stało? - pytam Davida. Wzrusza ramionami.

- Myślę, że jest zmęczony. Czy dobrze sypia? Czy kładziesz go o odpowiedniej porze do łóżka?

- Co jest do zjedzenia? - ryczy Travis z kuchni.



- Miałaś zjeść z tatą - odkrzykuję. - Niczego nie robiłam. Nie mam nic do jedzenia.

Travis zawraca z kuchni.

- Nic nie masz?

Patrzę na Davida, widzę to samo pytanie w jego oczach. Za oknem dostrzegam stary model oldsmobile'a zaparkowany pod latarnią. Wsiada z niego starszy pan ubrany w ciemny garnitur, w kapeluszu na głowie. Obchodzi samochód naokoło, żeby otworzyć drzwiczki starszej pani. Ona długo spogląda na mój dom i sięga za siebie, wygładza tył sukni.

- Ty i Travis macie stąd wyjść - komunikuję cicho Davidowi. - I to natychmiast.

David odwraca się i dostrzega parę zbliżającą się chodnikiem.

- A to kto?

- Potencjalna sublokatorka przychodzi do mnie na rozmowę.

- Chyba żartujesz. Znowu na nich patrzy.

Nagle niczego dłużej nie jestem pewna. Niemniej ze stanowczością, którą zadziwiam samą siebie, odpowiadam:

- Weź Trávisa na kolację. Natychmiast. Miał z tobą coś zjeść.

- Już ci tłumaczyłem, że nie chce!

- Mimo to masz go wziąć. Słyszę szept Trávisa:

- To nasi sublokatorzy? Tacy starzy? Ujmuję go za ramię.

- To pani, z którą będę na ten temat rozmawiać. Tymczasem pójdziesz na kolację z tatą. Pogadamy, kiedy wrócisz do domu, wszystko ci wtedy opowiem. Nie przejmuj się niczym. - Wypycham go za drzwi wraz z Davidem i wyprostowuję się, żeby pomachać na przywitanie zbliżającej się parze. Kobieta trzyma obiema rękami torebkę z lakierowanej skóry. Uśmiecha się do mnie. Jej towa-

rzysz ujął ją za łokieć i bardzo dyskretnie podtrzymuje. Ma białe, starannie podcięte wąsy i nosi muszkę. Ta pani może się wprowadzić jeszcze dzisiaj. A właściwie nie miałabym nic przeciwko obojgu.

Telefon zadzwonił, gdy właśnie udało mi się zasnąć. Mrużę oczy, żeby dostrzec wskazówki na cyferblacie. Wpół do dwunastej.

- Powiedziałaś jej, że może się wprowadzić, prawda? - Rita stawia pytanie w chwili, gdy przykładam słuchawkę do ucha.

- O, hej! Spałam.

- Tak jej powiedziałaś, prawda?

- Dokładnie tak.

- Po prostu świetnie.

- Tak, świetnie. Polubiłabyś ją.

- Jestem tego pewna. Jak również tego, że nie chcę, żebyś z nią mieszkała.

- Dlaczego? Cóż to za uprzedzenia wobec starszych osób? Nie znam cię od tej strony. - Wychodzę z łóżka, cicho zamykam drzwi od sypialni.

- Nie mam żadnych uprzedzeń. Myślę tylko, że powinnaś się głębiej zastanowić, z kim zamierzasz mieszkać pod jednym dachem. Czy ostatnie doświadczenia niczego cię nie nauczyły?

- Ona akurat bardzo mi odpowiada. Ma wspaniałego narzeczonego - starego eleganckiego dżentelmena, który jest... taki opiekuńczy, tak bardzo się o nią troszczy. Porozmawialiśmy we trójkę przy herbacie. Było naprawdę bardzo miło. Ona wprowadza się w przyszłym tygodniu, jutro każę wynieść wszystkie rzeczy Davida.

- Dokąd?

- Och, on już sobie znalazł mieszkanie. Sądzę, że szukał od jakiegoś czasu.

- Chryste.

- W porządku.

- Nie, to nie jest w porządku.

- Rita, słuchaj, idę z powrotem spać. Możemy tak kłócić się od jutra.

Odkładam słuchawkę, zaglądam do pokoju Trávisa. Mój mały śpi, telefon go nie obudził. To dobrze, bo ma za sobą ciężki wieczór. Nie mógł zrozumieć, dlaczego ma wyjść z Davidem, kiedy wolał zostać w domu. Nie mógł też pojąć, dlaczego musimy mimo wszystko wziąć sublokatorkę, choć starałam się mu wytłumaczyć.

Stoję teraz nad nim z rękami skrzyżowanymi na piersiach. Nachyliłam się i poprawiam mu kołdrę i zakrywam go aż po barki. Ten ruch sprawia, że przekręca się na bok, zmienia pozycję. Całuję go w czoło i siadam na krześle w rogu pokoju. W powietrzu czuję jego zapach. To taka cudowna woń - trochę jakby ziemi, ale i soli. Podnoszę jedną z zabawek, staroświeckiego misia, i kładę go sobie na piersi. Rozmiarami przypomina Trávisa, gdy zaczynałam mu czytać na głos. Opieram podbródek na głowie misia, jak to zwykłam czynić z synkiem.

Jasne, że teraz już nie trzymam go na kolanach, żeby mu czytać lub z jakiegokolwiek innego powodu. Myślę sobie, że wtedy dobrze byłoby wiedzieć, że to ostatni raz. Ale oczywiście ta wiedza byłaby wówczas bolesna. Kiedy Travis poszedł po raz pierwszy do fryzjera, tamten podał mi chusteczkę najpierw z uśmiechem, ale później, gdy musiał mi wręczyć całą ich paczuszkę, już się nie uśmiechał.

Zamykam oczy. Jestem tak dogłębnie zmęczona. I boję się. W istocie nie wiem, co robić. To nie jest fair, że ma się matkę taką jak ja. Matka powinna wiedzieć, co zrobić.

Późnym popołudniem w środę podjeżdża nieduża ciężarówka. Przeprowadzki. Wygląda na to, że David ich wynajął. Dwaj mężczyźni, którzy wyglądają jak ojciec i syn, wychodzą z szoferki i idąc w stronę drzwi wejściowych, rozmawiają ze sobą. Zastanawiam się, o czym mówią. Pamiętaj, tu chodzi o rozwód. Musimy być ostrożni. Nie odzywaj się ani słowem do pani domu, bo a nuż zacnie się rzucać.

Otwieram drzwi, staję na ganku.

- Hej! - krzyczę. O, Boże.

- Czy pani Morrow? - zwraca się do mnie starszy z mężczyzn.

- Tak!

- Przyjechaliśmy zabrać kilka rzeczy pana Morrow.

- Tak! - Cofam się, żeby mogli wejść. Wyjaśniam: -Jego gabinet znajduje się na prawo, to ostatni pokój na piętrze. Sypialnia jest po lewej - znajdziecie wszystkie jego ubrania w rogu garderoby.

- To nie potrwa zbyt długo - dodaje starszy. Jest coś takiego w tonie jego głosu, że czuję go nawet w kolanach. Idę do kuchni, gdzie na pewno znajdę sobie coś do roboty. Nie mogę na nich patrzeć. Na lunch mieliśmy bułki z szynką i z żółtym serem. Kiedy usiedliśmy na podłodze w pustym pokoju dziennym i obserwowaliśmy, jak tragarze taszczyli biurko na piętro, David stuknął swoją butelką moją butelkę z colą i wzniosł toast.

Kocham ten dom - oświadczył. - Nigdy się z niego nie wyprowadzimy.

Ustawiam garnki, ścieram blaty, porządkuję zasobniki z przyprawami. Kiedy słyszę, jak facet woła: „Wszystko zrobione!” - schodzę do pokoju dziennego.

- Gotowe - oznajmia opanowanym tonem. Za nim jego syn gapi się na mnie, oparł trzy palce na biodrze w stylu futbolisty. - Proszę o podpis tutaj.

- Och, oczywiście. - Biorę od faceta długopis - ślizga mi się w palcach - i zaczynam się podpisywać. Nagle puszczam pióro i zakrywam twarz rękami.

- Ojoj - odzywa się starszy. I po chwili: - Ogromnie mi przykro, proszę pani.

Przestaję płakać, biorę długopis, składam podpis. Grzecznie im dziękuję. Patrzę, jak odjeżdżają. Idę na górę i oglądam pusty pokój. *David, nie możemy robić tego tutaj! Rozbierz się, będziemy się zachowywać tak cicho, że nas nie usłyszysz!*

Siedzę pośrodku na gołej podłodze i kiwam się jak chora na autyzm. W tym jest jakaś pociecha. Dostrzegam leżący spinacz, podnoszę i mocno ściskam. Potem wkładam go do kieszeni. Następnie przechodzę do sypialni, zaglądam do garderoby. Taaak, wzięli wszystko. Siadam na skraju łóżka, wpatruję się w ścianę. Wreszcie wyjmuję spinacz z kieszeni, kładę go na blacie szafki nocnej.

Teraz. Teraz zatelefonuję do Karen Wheeler i powiem, że Travis może już wrócić do domu i przyprowadzić Bena, jeśli ma ochotę. Wiem, co Karen mi odpowie. „Ale czy Travis nie może jeszcze posiedzieć u nas?”. Bo nie chce, żeby Ben tu przychodził. A nuż moja przypadłość okaże się zaraźliwa?

Kiedy dzwonię, Ben odbiera telefon.

- Hej, Ben - odzywam się. - Tu mama Trávisa. Chciałam tylko powiedzieć, że Travis może w każdej chwili wrócić do domu. I ty też możesz zajrzeć, jeśli masz ochotę. Może zostaniesz na kolacji?

- Och, zaraz. Proszę chwilę zaczekać. - Odkłada słu-

chawkę, słyszę jak mówi: - Ti, chcesz, żebyśmy poszli do ciebie? Twoja mama powiedziała, że już jest w porządku. Cisza. Po chwili Ben wraca do telefonu.

- On mówi, że zostaniemy tutaj. Dobrze?

- ...Jasne. Mogę jednak zamienić z nim słowo? Znowu długa pauza, i kiedy Ben ponownie wraca do telefonu, odzywa się stłumionym głosem:

- Pani Morrow?

- Tak?

- On jest teraz czymś zajęty. Mówi, że później się zobaczycie.

- Aha. No dobrze. Dziękuję, Ben.

- Gramy teraz w grę komputerową. On ma trudny odcinek.

Co za miły chłopiec z tego Bena. Przynajmniej on mi wybaczył.

Kiedy Travis wraca do domu, pyta, czy gabinet jest całkiem pusty.

- Tak - odpowiadam. - Chciałbyś tam zajrzeć?

- Po co miałbym oglądać pusty pokój?

Ale kiedy leżę już w łóżku, słyszę, jak otwierają się drzwi od jego pokoju. Dokładnie wiem, co teraz robi. I wiem, że chce być sam, gdy tam pójdzie. Moje ciało leży w łóżku, ale moja dusza mu towarzyszy, usprawiedliwiając się i przepraszając.

Marie pojawia się pierwsza, żeby pomóc matce przy przeprowadzce. Jest sobotni ranek, rześki, rozświetlony październik, gdy niebo ma barwę ciemnoniebieską. Kiedy wyszłam do skrzynki pocztowej, żeby wyjąć gazety, stałam przez jakiś czas na końcu podjazdu, drżąc z chłodu i podziwiając cudowną naturę. Wycofałam się, kiedy poczułam zawroty głowy. Pobiegłam do kuchni, bo postanowiłam upiec ciasto bananowe. To prawie odruch - ilekroć ogarnia mnie uczucie szczęścia, muszę zrobić coś do jedzenia. Dzieje się to również za każdym razem, gdy popadam w depresję.

W powietrzu unosi się więc aromat pieczonego ciasta i świeżo zmielonej kawy. Marie, zdejmując płaszcz, wciąga zapach w nozdrza.

- Pięknie pachnie - mówi z uśmiechem. I, rozglądając się wokół, dodaje: - O, jaki ładny dom! Może i ja się tu wprowadzę. No wiesz, zostawię starego. On pewnie by i tak nie zauważył.

Naprawdę? - Mam to pytanie na końcu języka. Oprowadzam Marie po całym domu. Zaglądamy do gabinetu, w którym będzie mieszkała jej matka.

- Doskonale - cieszy się Marie. I, patrząc na mnie, pyta: - A z tobą wszystko w porządku?

- Jasne!

- Na pewno?

- No... tak, tak. Dzięki.

Przyjeżdża ciężarówka firmy Ryder, umówiony kierowca pomaga wnosić rzeczy. Nie jest tego wiele, jak już przedtem zapewniała mnie Lydia: sprzęty do sypialni, kilka utensyliów kuchennych, bielizna pościelowa. Mieszkanie, które dotychczas wynajmowała, było częściowo umeblowane.

Stoję w oknie i patrzę, jak szofer wysiada z ciężarówki, wyraźnie zadowolony z życia. Niewiele mogę mu pomóc. On tymczasem otwiera tylne drzwi auta i wyciąga mosiężne łożo, które cudownie błyszczy w słońcu.

- Boziu, ale to łóżko jest stare - mruczy pod nosem Marie, sącząc kawę. Stanęła obok mnie. - Moja matka urodziła się w nim. Tak jak jej matka.

Oczami wyobraźni widzę kobietę w tym łożu. Ma falujące, ciemne włosy, które opadają jej na twarz. Ciężko oddycha, podczas gdy druga kobieta ubrana w długą spódnicę i białą bluzkę z podwiniętymi rękawami czuwa przy niej, ocierając spocone czoło położnicy miękką, złożoną w czworo ściereczką. Szepcze jej coś do ucha; jest doświadczona, bo już rodziła dzieci, a zatem porozumiewa się z podopieczną w znanym sobie języku.

Kiedy ja rodziłam, David siedział koło mnie, skubiąc kolację, którą zapewniał szpital, i narzekał, że jedzenie jest zupełnie zimne. Nacisnęłam guzik, żeby wezwać pielęgniarkę. Wchodząc do sali, zapytała:

- Kochana, potrzebujesz środka przeciwbólowego?

- Nie, dziękuję - odparłam. I, wskazując na tacę na kolanach Davida, wyjąkałam: - Jedzenie jest zimne.

- Och - odpowiedziała pielęgniarką. - Zaraz się tym zajmiemy. - Biorąc od Davida tacę, odezwała się do mnie szeptem: - Ty masz pierwszeństwo, rozumiesz? O nie, nie znasz go - chciałam odpowiedzieć. Ale może natychmiast sama się połapała.

Widzę, że facet od przeprowadzek zbliża się ścieżką, więc podchodzę do drzwi, żeby go przywitać. Ma blisko metr dziewięćdziesiąt wzrostu i odpowiednio dużo waży. Prawdę mówiąc, jest po prostu grubasem, niemniej



patrzę na niego z przyjemnością. Powodują to między innymi wspaniałe kruczoczarne włosy, fachowo ostrzyżone. A piwne oczy też są kuszące - ze złotawym błyskiem. Facet ma na sobie sprane dzinsy, białą koszulę z podwiniętymi rękawami, czarne szelki i czerwone trampki. Nie nosi żadnego wierzchniego okrycia. Pachnie mydłem toaletowym.

- Nie jest panu zimno? - pytam.

- Ani trochę. - Uśmiecha się do mnie. Ładne zęby.

Ja też się uśmiecham. Opieram się o drzwi wejściowe, krzyżuję ręce na piersi.

- Sam, czy chcesz, abym mu powiedziała, gdzie je zanieść? - pyta Marie.

- Och, przepraszam - mówię po chwili milczenia. - Na górę. Wskażę panu drogę. - Prowadzę go po schodach, jak zawsze świadoma swego tyłka, gdy idzie za mną jeden czy drugi przeklęty gość: facet z elektrowni sprawdzający stan licznika, mechanik od pieca do ogrzewania, dostawca nowych mebli. Ilekroć kroczę przed nimi, czuję, że każdy z nich ocenia wzrokiem moje pół-dupki. Nawet jeśli tego nie czyni. Podejrzewam jednak, że większość się tym zajmuje. Prowadzę go do gabinetu. - To tu. - Podchodzę do okna i podnoszę żaluzję. Pokój wypełnia się światłem i w niepojęty sposób napawa mnie to jakimś optymizmem, a nawet dumą.

Facet delikatnie opiera łóżko o ścianę i wyciąga do mnie rękę.

- Mam na imię King. Wybucham śmiechem.

- Naprawdę?

- Przysięgam. Moi rodzice byli... odmienni.

- No - odpowiadam - przepraszam za mój śmiech. Ale wie pan... Graceland, majątek Presleya, to on był nazywany „King”. A ja mam na imię Sam.

- A więc będziecie mieszkały z Lydią?

- Tak. Zna ją pan?

- Właśnie się spotkaliśmy. Ona i jej ukochany to mili

ludzie. Z klasą. A o to coraz trudniej. - Wskazuje mi gestem, abym wyszła przed nim z pokoju. - Lydia ma niewiele rzeczy, przeprowadzka nie zajmie dużo czasu.

- Upiekłam ciasto bananowe, jest świeżo zaparzona kawa - mówię. Zgadzam się z jego opinią o Lydii. A więc jego też nakarmię.

Na dole dostrzegam, że Lydia już także przyjechała. Zdejmuje płaszcz, poprawia zapinany na guziki sweter, ponownie pyta córkę, gdzie znajduje się garderoba. Marie odpowiada, że nie bardzo się orientuje.

- Ja powieszę - odzywam się, biorę z jej rąk płaszcz i wtedy nieśmiało dodaję: - Witam panią.

Lydia uśmiecha się, ujmując w dłonie moją rękę. Jej ręce są ciepłe i silne - wcale nie suche i delikatne, jak się spodziewałam. Moje natomiast zdradzają nerwowość - wiem, że są zimne jak lód. Prowadzę obie panie do kuchni, stawiam kubki i talerzyki, kroję placek bananowy.

Gdy zasiadamy do stołu, Lydia popycha w moją stronę paczuszkę.

- To dla pani. - A kiedy zaczynam protestować, dodaje: - To naprawdę głupstwo. Taki drobiazg. - Rozwijam pakunek, widzę kryształowe pojemniczki na sól i pieprz i właśnie chcę podziękować, gdy przerywa mi głośne: „Hej, hej!”. W pierwszej chwili jestem zbита z tropu, zastanawiając się, czy to możliwe, aby King miał taki dyszkant, ale po chwili w progu kuchni staje moja matka. Ma na sobie kostium koloru lawendy, na to narzucony płaszcz. W ręce trzyma kluczyki samochodowe.

- Mamo!

- No cóż, nigdy nie podnosisz słuchawki. Wracam z kursu aerobiku...

- Wpatruje się w Marie i Lydię.

- Lydio, poznaj moją matkę, Veronicę Reynolds. Mamo, to jest Lydia Fitch, moja nowa współmieszkanka. Właśnie się wprowadza - chyba widziałaś ciężarówkę...

Veronica podchodzi do stołu, ścisza dłonie obu kobietom. Jej bransoletki głośno dźwięczą.

- Miło panie spotkać, co za niespodzianka. - Mama

wypowiada słowo „niespodzianka” nie jak niespodziankę, lecz jak podstępny trik.

- Może zje pani kawałek ciasta bananowego? - Lydia podsuwa jej talerzyk z nietkniętą porcją, ale Veronica gwałtownie protestuje.

- Jadę do siebie, naprawdę wpadłam tylko na chwilę, żeby zobaczyć, co porabia moja córka. Najwyraźniej ma się świetnie, bo już znalazła aż dwie współlokatorki!

- Tylko jedną - poprawia Marie.

- Co takiego?

- Jedną, bo ja się nie wprowadzam. Pomagam tylko mamie urządzić się tutaj.

- Aha. A gdzie Travis?

- Poszedł na zakupy. Pojechał z Billym Silvermanem i jego mamą do centrum handlowego, żeby znaleźć jakieś portki, które musi mieć. Wszyscy teraz noszą takie.

- Pozwalasz mu już na samodzielne kupno ubrań?

- Robię tak już od pewnego czasu.

- No, no. Znowu o czymś nie wiem. - Świdruje oczyma Lydię. - To zabawne, prawda, jak mało wiemy o swoich najbliższych? No cóż, będę się zbierać, nie chcę się zasiedzieć. A zresztą nie zostałam zaproszona.

- Mamo, może zostać, jak długo chcesz. Jestem pewna, że doskonale o tym wiesz.

- O, nie. Naprawdę nie mogę. Mam jeszcze mnóstwo do załatwienia przed wieczorem. Zaprosiłam na kolację specjalnego gościa. Pomyślałam sobie, dlaczego by nie przyrządzić czegoś eleganckiego - dajmy na to homara. Znajoma z gimnastyki poradziła mi, żeby po ugotowaniu rozciąć mu szczypce i trzymać głowę w dół nad zlewem. Wtedy wyleci cała woda. Nie było powodu, abyś ukrywała przede mną swoje pomysły.

Przy stole zapada uprzejma cisza. Wreszcie Veronica zwraca się do Lydii:

- No cóż, liczę, że będzie tu pani szczęśliwa. - Potem do mnie: - Odprowadzisz mnie do samochodu?

W drzwiach natykamy się na Kinga, który wnosi na

ręczę ubrań i lampę na postumencie. On lekko się skłania z uśmiechem, a moja matka odciąga mnie na bok, aby pozwolić mu przejść.

- No - powiada, gdy już jesteśmy na dworze - nie dopuść, aby był na ciebie wściekły. Niezła waga!

- On jest bardzo sympatyczny.

Wsiada do samochodu, sprawdza swój makijaż w lusterku wstecznym.

- Zastanawiam się nad czymś - odzywa się w końcu.

- Nad czym?

Poprawia zapinki we włosach, zbliża twarz do lusterka, ściera smużkę tuszu pod okiem.

- Tak sobie rozmyślałam, czy mogłabyś podać mi jeden powód, dla którego ja nie mogłabym zamieszkać z tobą zamiast tej całkowicie obcej osoby. I na dodatek starej.

Pomyślmy. Podać jeden powód? Wpatruje się we mnie.

- Zastanów się, dlaczego nie twoja własna matka. Dziwi mnie, co stoi na przeszkodzie, że mnie o to nie poprosiłaś.

- Och, mamo, to przyszło znienacka. Wcale tego nie planowałam. A poza tym, nie uważam za dobry pomysł, by matki i córki w pewnym wieku mieszkały pod jednym dachem. Ty chyba myślisz podobnie, prawda? To znaczy, jeśli potrzebujesz forsy...

- Z pewnością nie potrzebuję twoich pieniędzy! Czy kiedykolwiek cię o nie prosiłam? Choć raz?

- Wobec tego przepraszam, jeśli czujesz się... Veronica kładzie mi rękę na ramieniu, ściska mnie.

- No, już dobrze. Rozumiem. Kochanie, jesteś teraz zagubiona, postępujesz impulsywnie i pewnie w ogóle siebie nie pojmujesz. Nie musiałaś mnie pytać. Pewnie uważałaś, że nie chcę mieszkać z tobą i z Travisem. Ależ kochanie - zrobiłabym to z rozkoszą. Ale jeszcze nie teraz. Może za parę lat, zgoda?

Stoję w milczeniu. Jaką aurę często wyczuwam wokół mojej matki? Zdumienie? Rozkojarzenie? Gniew?

- Wiesz, gdybym się tu wprowadziła... Zawsze uważałam, że w pokoju dziennym przydałyby się jakieś kwieciste falbany, tego to wewnątrz potrzebuje. Należałoby pokryć czymś sofę.

- Zgoda.

Moja mama przekręca kluczyk w stacyjce. Engelbert Humperdinck wyje, błagając o przebaczenie, nie wiedząc, że to byłby koniec. Veronica uprzejmie go przycisza.

- Zadzwoń do mnie później. Jest ktoś, kogo powinnaś spotkać. Ten z pewnością przypadnie ci do gustu.

- Mamo...

Macha mi końcami palców.

- Pogadamy potem.

Po chwili nastawia radio na cały regulator i odjeżdża, radośnie błyskając światłami. Jak zwykle. Wracam do domu zirytowana faktem, że matka ma rację. Nie umiem się pozbierać.

Śni mi się, że ktoś szarpie mnie za ramię. I wtedy uświadamiam sobie, że ktoś szarpie mnie za ramię.

- Co jest... - mówię głośno, rozgniewana, z zamkniętymi oczami. Ale szybko siadam. - Travis? Co się dzieje? Coś złego się stało?

Przykłada palec do ust, gestami wskazuje, abym poszła za nim. Spoglądam na zegarek: 3.07.

- Co ty robisz? - ściszam głos do szeptu, przypominając sobie nagle, że przecież mamy kogoś w domu. - Przecież to środek nocy! Źle się czujesz? - Wyciągam rękę, dotykam jego czoła.

Niecierpliwie odpycha moją dłoń.

- Chodź ze mną - mówi głosem nie znoszącym sprzeciwu, więc idę za nim korytarzem. Przed zamkniętymi drzwiami do pokoju Lydii staje, czeka. I wtedy słyszę. Dobiega stamtąd chrapanie. Głośne chrapanie, jak w kreskówkach. Spoglądam na Trávisa i przykładam dłoń do ust,

wybuchając śmiechem. Ale jego wcale to nie bawi. - Mamo - mówi z naciskiem. - To wcale nie jest śmieszne!

Potrząsa głową, zawraca i zatrzaskuje drzwi od swego pokoju. Idę za nim, siadam na jego łóżku.

- Travisie...

Kładzie sobie poduszkę na głowę. Próbuję ją ściągnąć, ale to tylko mobilizuje go do oporu - zaciekle ją trzyma.

- Przecież wiesz, że w ten sposób nie możesz oddychać.

- No i co z tego? - Jego zduszony głos drży od płaczu.

- Odłóż tę poduszkę. Chcę z tobą porozmawiać.

- A ja nie chcę. Jesteś po prostu obłąkana.

Ciągnę poduszkę, odwracam dziecko twarzą do siebie.

- Posłuchaj mnie, i to posłuchaj uważnie. Nie waż się do mnie tak odzywać. Jestem twoją matką. I wcale nie jestem obłąkana. Jestem... Sytuacja uległa zmianie, Travisie. Zmieniło się, bo tak musiało być. I nie trzaskaj mi drzwiami przed nosem o trzeciej w nocy! Ludzie chcą o tej porze spać.

Obserwuje mnie spod półprzymkniętych oczu, nie odzywa się ani słowem. Po chwili mówię:

- No i co takiego się stało? Ona po prostu chrapie.

- Obudziła mnie! Ja muszę wstać rano do szkoły! Mnie się też należy solidny sen!

Wstrzymuję się od komentarza na temat jego wzmożonego poczucia odpowiedzialności. Zamiast tego zauważam:

- Kochanie, jutro jest niedziela.

- Świetnie, ale ona pewnie chrapie każdej nocy.

- Być może. Przywykniesz do tego. Z pewnością. Będziesz zdziwiony, do ilu rzeczy człowiek może się przyzwyczaić. Po paru dniach nawet nie zauważysz jej chrapania.

- Kto się chce do tego przyzwyczajać? I do czego to podobne, żeby ta staruszka mieszkała tutaj? Przecież ona nie jest nawet moją babcią.

- Nie, nie jest.

- Więc co tu robi?

- Już ci powiedziałam. Tata odszedł ode mnie. Jeśli chcemy nadal tu mieszkać, musimy mieć współlokatorkę, aby poradzić sobie ze spłatą kredytu. Przypominasz sobie chyba, że już ci to tłumaczyłam?

Cisza.

- Travis?

- Tak, przypominam sobie. - Jego głos stał się teraz cichy, zrezygnowany. Nienawidzę, że już w tym wieku musi wiedzieć, czym jest spłata kredytu za dom.

- A co będzie, jeśli ona tu zejdzie albo coś w tym rodzaju? - pyta wreszcie.

- Co takiego?

- No co się stanie, jak ona tu umrze?

- No wiesz... Jestem przekonana, że nic podobnego się nie zdarzy. - Mój Boże. A jeśli coś takiego się stanie? Widzę siebie przy telefonie, w abstrakcyjnych łzach, gdy tłumaczę do słuchawki: „Nie znam jej historii choroby. Ona dopiero co wprowadziła się do mego domu. Ale sądzę, że nie żyje”.

Nieco ponad tydzień później, w poniedziałkowy rano, siedzę sama przy stole kuchennym. Lydia wstała wcześniej, przygotowała sobie herbatę i tost z dżemem jagodowym, a następnie wyszła z Thomasem. Miała towarzyszyć mu w wizycie do lekarza, a później wybierali się na koncert do filharmonii. Travis zjadł z ponurą miną swoje płatki i wyszedł do szkoły bez pożegnania. Teraz sterczę w kuchni nad czwartą filiżanką kawy, serce wali mi jak młotem, ale guzik mnie to obchodzi. Może to dobry sposób na zabicie siebie: przedawkowanie kofeiny. Umieram, umieram, umieram!! - to byłaby moja ostatnia myśl. Musiałam odejść na zawsze!! To zbyt bolesne!!

Och, najchętniej wręczyłabym moje życie komuś innemu. To wszystko. I wtedy taki ktoś wszystko przemeblowałby we mnie, aby to nabrało jakiegoś ładu. - Ha! -mógłby zauważyć ów ktoś - no i co w tym trudnego? Dla mnie jest. Za trudne. Nie jestem dobra w organizowaniu własnego życia.

Zamykam oczy, odchylam głowę do tyłu i zaczynam szlochać z głębi brzucha. Nie umiem być sama, nie chcę być sama. Tak bardzo tęsknię za Davidem, tak bardzo, brak mi obecności drugiej istoty w łóżku, nawet jeśli nie przytula się do mnie. Brakuje mi kogoś bliskiego rano, nawet jeśli ten bliski goli się bez słowa i patrzy prosto w lustro, nie zwracając najmniejszej uwagi na towarzyszą-



kę życia opartą o drzwi łazienki, z przygotowaną dla niego filiżanką kawy, czule zagadującą. I tęsknię za moim synkiem, za tym synkiem, jakim był przedtem, kiedy mi ufał i kiedy był przekonany, że potrafię się o niego zatroszczyć.

I nagle przestaję się mazać, odgarniam z twarzy wilgotne od łez kosmyki. Po co płakać?

Po pierwsze, przejdę na dietę. Wskutek żałoby przybyło mi już ze trzy kilo. Muszę być ostrożna. U pewnego typu kobiet rozpacz przyciąga tłuszcz; ja jestem jedną z nich. Zastosuję dietę i potem zapiszę się na jakieś kursy wieczorowe. No tak, ale najpierw muszę je wynaleźć. I muszę zarejestrować się w agencjach pośrednictwa pracy, wypełnić męczące puste miejsca w ankiecie personalnej, zaznaczyć krzyżykiem rubryczkę „Ms”<sup>1</sup>. Zawsze tak zaznaczam w formularzach, ale teraz to takie smutne. A przede wszystkim muszę się ubrać. Teraz nadal krążę po domu w szlafroku. Już nie ubieram się od razu po wstaniu z łóżka, Martha Stewart nie wie, o czym mówi.

Wpatruję się bezmyślnie w blat stołu kuchennego, widzę plamę słońca na koszyczku do papierowych serwetek. Nagle zaciekawia mnie ich wzór: białe róże na białym tle. Nigdy przedtem ich nie dostrzegłam. Ślepa przeżyłam życie.

Pragnę z kimś porozmawiać. Podchodzę to telefonu, żeby wykręcić numer do Rity, ale staję w pół drogi. W jej strefie czasowej jest jeszcze bardzo wcześnie. Do kogo więc zadzwonić? Z Louise nigdy nie byłam zbyt blisko. Nie mam żadnych innych prawdziwych przyjaciół. Nikogo. Przez większość życia koncentrowałam się na Davidzie, a on odszedł. Nic nie zapełniło tej luki, nie istnieją prawa naturalne, które natychmiast wprowadzają sto-

---

<sup>1</sup>W odróżnieniu od skrótu Mrs. - czyli kobieta zamężna, feministki amerykańskie wprowadziły zwyczaj stosowania skrótu „Ms”, który nie ujawnia stanu cywilnego (przyp. tłum.).

sowną poprawkę. Istoty ludzkie są głupsze od natury. Muszę przez to przejść, i tyle. Sama. Wszystko zależy ode mnie, a tyle tego, że wcale mi się to nie podoba. Nie czerpię z tego żadnej radości. Nie ma szans na rozwój wewnętrzny. To ciężkie zadanie, budzące lęk i trwogę. Wcale nie chcę ruszać tą drogą. Nie chcę. Żądam powrotu mego dawnego życia.

Podchodzę stanowczym krokiem do telefonu i bez wahania wykręcam numer biura Davida. Kiedy jego sekretarka łączy mnie z nim, uświadamiam sobie, że nie mam pojęcia co powiedzieć.

- ...Sam?

- Jak się masz? (Właśnie chciałem do ciebie zatelefonować, Sam! Popelnilem okropny błąd).

- W porządku. - Jego głos brzmi ostrożnie. Ostrożnie! Boże, byliśmy małżeństwem przez blisko dwadzieścia lat!

Opieram się o ścianę.

- David! - Ściskam kurczowo przewód telefoniczny. Czeka.

- Jak mogłeś to zrobić? - pytam w końcu.

- Sam...

- Czuję się okropnie. I nie mam nikogo, z kim mogłabym porozmawiać. Nie istnieje nikt, komu mogłabym się zwierzyć i kto mógłby zrozumieć, co ty... Byłeś moim przyjacielem. Ale już nim nie jesteś. David, nie mogę pojąć, jak to się stało. Naprawdę, przysięgam. Dosłownie nie mogę. To znaczy, nie dałeś mi szansy. Nigdy mi nie powiedziałeś, co miałeś przeciwko mnie. - Szlocham. Znowu.

- Gdzie jesteś? - mówi cichym głosem. Z wyraźnie wyczuwalną niecierpliwością.

- Ja... w Paryżu. A myślisz, że gdzie jestem? W domu. Cholera, nienawidzę cię.

- Posłuchaj, zajrzę po pracy. Porozmawiamy.

- Nie! Dobrze.

- Przyjdę około siódmej.

Odkładam słuchawkę, wstydząc się samej siebie. Och, chcę powrotu czego? No, czego? Znużonej tolerancji mężczyzny, który nie dostrzega we mnie jednej pozytywnej cechy?

Słyszę dzwonek u drzwi, więc wycieram twarz i śledzę przybysza przez wizjer. To King, facet, który pomagał Lydii w przeprowadzce, trzymający na smyczy trzy psy. Nie, cztery. Pod nogami wilczura dostrzegam komiczną mordkę chihuahua, wściekle szczekającego na niewidzialnego wroga. Bliźniacze cocker-spaniele mają plecione smycze i siedzą cierpliwie jak figurki z porcelany. Patrzą na siebie tak, jakby to któryś z nich nacisnął dzwonek.

Otwieram drzwi i cała czwórka wpada do środka. King ciągnie je z powrotem na dwór i wyczekująco się do mnie uśmiecha.

- Hej, chcesz pójść na spacer?

- No, ja... nie jestem ubrana. Jestem... - Dostrzegam w jego sympatycznej twarzy tę samą ciepłą akceptację mojej osoby, co za pierwszym razem. - Płakałam - mówię mu, śmiejąc się.

- Przecież zauważyłem. Chodź ze mną na spacer. Nie będziesz już więcej płakać. No, zbieraj się, bierz do ręki smycz.

Zaczynam tłumaczyć, że nie mogę. A właściwie dlaczego nie mogę? Proszę, aby poczekał chwilę, idę na górę się przebrać. Wybieram błękitny sweter, w którym mi do twarzy.

Kiedy schodzę z ganku, King oferuje mi ramię, a ja chętnie na to przystaję. Co za miły gest. Od kiedy mężczyźni już go nie robią?

- Gdzie idziemy? - pytam. Jest cudowny listopadowy dzień, wystarczy lekki płaszcz, słońce ostro świeci.

- Gdziekolwiek. - Staje, wręcza mi splątane smycze. Poprowadzisz psa?

Nie mogę się powstrzymać od uśmiechu, wybieram różową, wybijaną brylancikami smycz chihuahua, które-

go histeria minęła bez śladu wraz z szansą na interesującą przechadzkę.

- Tata przychodzi dziś na kolację - mówię Travisowi. Mały siedzi przy stole kuchennym i - nieobecny duchem -wcina tost z masłem orzechowym. Unosi głowę i wlepia we mnie wzrok, zastanawiając się, jak zareagować.

- W porządku? - pytam.

- Po co?

- Jak to „po co”? Żeby z nami zjeść. Wzrusza ramionami, odsuwa od siebie talerz.

- Ja już skończyłem.

- Jak myślisz, co powinniśmy podać na deser? - Na pewno mi pomoże. Travis uwielbia pomagać mi w przyrządzaniu deserów.

- Mnie to nie obchodzi. A co się stało, wprowadza się z powrotem?

- Noo... - Odkładam talerz do zlewu, puszczam wodę z kranu. - Nie. Nie wprowadza się. Jedynie przychodzi na kolację.

Travis kiwa głową, podnosi torbę z książkami, zmierza w stronę schodów.

- Co robisz?

- Idę odrabiać zadania domowe.

- Travisie?

Odwraca głowę, niezadowolony.

- Myślę, że powinienes... no wiesz, pamiętaj, że to nie był mój pomysł. To znaczy, że tata się od nas wyprowadził i tak dalej. To absolutnie nie było moje życzenie.

- Wiem.

- No, bo zachowujesz się... Naprawdę nie wiem, dlaczego jesteś taki wściekły na mnie. - Ale w chwili, gdy wymawiam te słowa, uświadamiam sobie, że wiem. Jest na mnie wściekły z tego samego powodu, z jakiego ja jestem zła na siebie. Bo choć nie jest to moim pomysłem, jest to moja wina.

- Muszę odrobić lekcje.

- Świetnie.

Otwieram lodówkę, wyjmuję mięso. Zrobię strogono-wa, ulubione danie Davida. „Boże, jakie to dobre! - wykrzyknął, gdy po raz ostatni je dla niego przyrządziłam. - Kochanie, umiesz gotować; to naprawdę potrafisz". Cienko kroję wołowinę, wyglądam przez okno, żeby ujrzeć gałązki targane wiatrem. Na dziś wieczór zapowiadają burzę. Nastąpi przerwa w dostawie prądu i David zostanie, aby się nami zająć, jak w takiej chwili mógłby nas opuścić?

Płuczę pieczarki, przypominam sobie, jak King, wskazując na liść jednego z drzew, rzekł:

- Klon. Ich liście wydają się zbyt wielkie na tak nieduże drzewo, nie sądzisz? Jak łapki kota.

Poprosiłam, aby podał mi nazwy innych drzew, które mijaliśmy na spacerze. Znał wszystkie i postanowił nauczyć mnie rozpoznawania ich gatunków na podstawie kory, rysunku liści, układu gałęzi. Udało mi się odróżnić wiązy od dębów. Z brzoza mi nie miało kłopotów, to jasne. Przedstawił mi chlebowiec, którego kwiaty - jego zdaniem - pachną jak lizaki o smaku winogronowym.

- Kardynał - oznajmił, gdy usłyszeliśmy śpiew dochodzący z czubka jednego z drzew. - Słyszysz, jak gwiżdże?

Zapytałam, czy uda mu się zlokalizować tego ptaka, więc kazał mi trzymać psy na smyczach i złożył swoje masywne dłonie w rodzaj ramki, żebym i ja mogła dojrzeć kardynała. Pokazał mi kilka odmian sójki i drozda amerykańskiego, zwanego kocioptakiem.

- On naprawdę miauczy jak kot! - krzyknęłam, a King, uśmiechając się, skomentował:

- Czy życie nie jest ogrodem zabaw?

- A co ty robisz z tymi wszystkimi psami? - zagadnęłam, kiedy przystanęliśmy, żeby odpocząć. Odparł mi, że codziennie wyprowadza je na spacer, odpłatnie. Pracuje dorywczo, bierze, co popadnie, raz pracuje przy tym, raz

przy tamtym. Tak się szczęśliwie złożyło, że właściciele psów mieszkają w mojej okolicy. Wczoraj zajmował się rozdawaniem próbek sera w pobliskim supermarkecie, wędzonej goudy. Bardzo smaczna.

- Ach tak - rzekłam. Zupełnie nie wiedziałam, co o tym myśleć. To znaczy, doszłam do wniosku, że jest trochę rąbnięty. Ale go lubię. To taki miły człowiek -prosty, ale naprawdę dobry, jak chleb z masłem. I taki łatwy we współżyciu. Co za ulga. Powiem mu, żeby zajrzał jutro, jeśli będzie mógł.

David zjadł nieco mniej niż połowę dania na talerzu. Zgarniając resztki, spytałam:

- Nie smakowało?

- Ależ nie - odparł. - Było świetne. Doskonale, ale... ale próbuję trochę ograniczyć jedzenie. No, wiesz...

- Och. Jasne. - Wypił pół kieliszka wina, podczas gdy ja wychyliłam trzy. Wkładam naczynia do zmywarki. Powinnam była zrobić kurczaka. Rybę. Nie. Trzeba mi było zrobić jakieś zupełnie nowe danie, no, oczywiście.

- Deser? - pytam.

- Oj, Sam. Muszę spasować. Ale Travis na pewno wszystko zmiecie. - Travis nałożył sobie potężną porcję placka cytrynowego z bezami, poszedł z nim do swego pokoju, a teraz pojawił się po repetę.

- Kawy? - Mój głosi brzmi cienko, smutno. - Przynajmniej napij się kawy?

Jeśli i tego odmówi, wyrzucę go za drzwi.

- Jasne - odpowiada. - Pozwól mi jednak najpierw zajrzeć do Trávisa i życzyć mu dobrej nocy. Później możemy porozmawiać.

- O czym? - Zamyślam się. Gdy Travis odszedł od stołu, omówiliśmy sprawę pieniędzy i tego, w jakie dni będziemy się na zmianę zajmowali naszym synem. Potem zapadła kłopotliwa cisza, która trwała tak długo, że miałam ogromną ochotę wybuchnąć śmiechem. David

wlepił oczy w podłogę i zagryzał dolną wargę, to jego stary nawyk nerwusa. Dłużej już nie potrzebowałam go napominać. Poruszał łyżeczką w lewo, w prawo. Chciałam mu ją wyrwać z ręki i krzyknąć: Spójrz na mnie!, ale nie wiedziałam, co miałabym powiedzieć potem.

- Zaraz wrócę - komunikuje mi.

Patrzę, jak wspina się po schodach. Zawsze uwielbiałam gapić się na niego od tyłu. Kosmyk włosów na kołnierzyku koszuli. Szerokie ramiona, zgrabny tyłek -to nawet Rita zmuszona była przyznać. Słyszę, jak stopnie na górze skrzypią w znany mi sposób. Ojciec kroczący na górę, by pożegnać syna. Co się tam zdarzyło? Czy już to wszystko utraciłam? Nalewam kawę do dwóch kubków, zanoszę je do salonu i stawiam na niskim stoliku. Szybko dotykam palcem kącików oczu, usuwam z nich drobiny tuszu. Burzę ręką włosy, żeby wydawały się bardziej puszyste.

David schodzi na dół, mówiąc:

- On już zasnął.

- O tak. Ostatnio często tak robi. Patrzy na zegarek.

- O wpół do dziewiątej?

- Bo teraz wstaje wcześniej.

David podnosi kubek, siada na brzeżku swego dawnego fotela. Wygląda tak, jakby trzymał skrobaczkę do pleców, ale nie wolno mu się nią podrapać. Tak naprawdę to nie ma ochoty do rozmowy na jakikolwiek temat. Po prostu okazał się uprzejmy, czuje do mnie litość.

- A gdzie twoja współlokatorka? - pyta w końcu.

- Nocuje u swojej sympatii. Czasami to się jej zdarza.

- Mówisz serio?

- Tak.

- Nooo... - David chrząka, odstawia kawę. Niedobra? I wtedy zapada cisza, słychać tylko ledwie wyczuwalny szum jednej z lamp. Cicho! - chcę na nią krzyknąć. Może byś mi pozwoliła pomyśleć? Nie widzisz, że próbuję coś wykombinować?

- Sam - odzywa się wreszcie David. W chwili gdy wymawia moje imię, wstaję i zbliżam się do niego. Wróć, wróć, tak bardzo cię proszę - chcę powiedzieć, ale głos więźnie mi w gardle.

Klękam u jego stóp, obejmuję go w pasie, wstrzymuję oddech, żeby nie łkać. Jestem wstrząśnięta; gdzieś nade mną miniaturowa wersja mojego ja spogląda w dół z pogardą, podpierając biodra rękami. Ale tutaj czuję dotyk jego dłoni na mojej głowie i słyszę jego głos, który powtarza moje imię, ale delikatniej, czulej. Zamykam oczy. I teraz jego palce wędrują po mojej szyi, takie ciepłe. Mocniej wtulam twarz w jego uda. On kołysze moją głowę, bez słowa, nieruchomy, podczas gdy ja otwieram oczy i widzę jego klamrę od paska. Którą dobrze znam.

Znowu zamykam oczy, lekko całuję okolicę wokół rozporoka. Materiał pachnie czystością, żelazkiem, rozgrzanym ciałem. Zaczynam rozpinąć mu spodnie, słyszę, że wstrzymuje nagle oddech. Zastygam, czekam.

Nic.

Pociągam suwak do końca, sięgam ręką do jego gatek. Pozwól mi. Jestem świadoma własnej wilgoci i słodkiego, podszytego bólem pożądania. Och, daj mi, daj. On ma zupełnego flaka. Głaszczę go delikatnie. Nic. Odgarniam włosy do tyłu i wkładam go sobie do ust. „Sam - słyszę. - Przestań”. - Ale mnie nie odpycha, więc trwam przy swoim. W ciągu następnej minuty na pewno zareaguje. I wtedy mu odpowiem: Dobrze cię słyszałam, pamiętam wszystko, coś powiedział przy kolacji, ale wcale tak nie myślisz, widzisz? Przecież nie możesz tak myśleć, po prostu potrzebujemy czasu, musimy zmienić parę rzeczy w naszym wspólnym życiu. Wcale nie chcesz odejść, patrz, jak ciągle ci na mnie zależy.

Ale jego fiut jest nadal miękki. Co ja robię nie tak? Kolana zaczynają mnie boleć, chcę zmienić pozycję, ale obawiam się poruszyć. Wsadzam go sobie głębiej do ust. Zmieniam rytm. David, nadal bez wzrodu, odsuwa się ode mnie.



Nie wiem, gdzie się schować. Nawet w najgorszych chwilach to działało.

Opieram się na piętach, wbijając wzrok w klepki, słyszę, jak zasuwa zamek błyskawiczny. Stopień mojego poniżenia wzrasta, zmusza mnie do siedzenia ze wzrokiem wbitym w podłogę.

- Przykro mi - mówi. Kiwam głową.
- To nie był najlepszy pomysł, Sam.
- Nie był.
- Muszę już iść.
- Racja.
- Nic ci nie jest? Cisza.
- Sam?
- Tak, ja... Powinieneś wyjść.
- Czy jest jeszcze coś, co należałoby omówić?
- Po prostu idź - odpowiadam.

Słyszę, jak zamykają się drzwi wejściowe. Potem trzaskają drzwiczki samochodu. Podchodzę do okna, patrzę, jak odjeżdża. Powinnam była przypomnieć sobie scenę z pornosu, który wypożyczyliśmy; robiliśmy to kilkakrotnie, gdy nasze upojne noce stawały się coraz bardziej sporadyczne, aż wreszcie ustały. Ale kiedy myślę o tych filmach teraz, pamiętam jedynie żal, jaki wzbudzały we mnie te baby, gdy patrzyłam na ich okropne, płaskie oczy i na zęby w fatalnym stanie.

Pornosy wcale nam wtedy nie pomogły. Kiedy oglądaliśmy je po raz ostatni, ja leżąc obok Davida w obowiązkowej kusej czarnej koszulce, świadoma jego erekcji, zapytałam mimo wszystko:

- O Boże, co by sobie pomyśleli ich ojcowie?

David wzdrygnął się, a ja, gapiąc się na ekran telewizora, nadal się zastanawiałam w duchu: no dobrze, co oni by sobie o tym pomyśleli? Niektóre z tych dziewcząt nosiły ślady pobicia - wyraźne sińce, których żaden podkład nie może pokryć. Muzyka w tle była taka idiotycz-

na, a ich jęki takie głośne i natrętne, że dla mnie całkowicie nieprzekonywające.

- Uważam, że w scenariuszu należałoby wziąć pod uwagę jakiś element zaskoczenia - rzekłam. - I postaci powinny zachować resztki wrażliwości. Mam na myśli mężczyzn.

- Sam, do cholery, czemu to ma służyć? - zapytał David, po czym westchnął i wyłączył telewizor. Czym mnie tylko ucieszył. Kto może oglądać te sceny, nie rycząc ze śmiechu? Lub nie płacząc? Zawsze sobie wyobrażałam te dziewczęta wracające po pracy do domu, gdy ich obcasiki stukają na posadzce przegrzanego holu. W skrzynkach z ich inicjałami tkwią wyłącznie rachunki.

On chciał mi coś przekazać, wypożyczając te filmy. Czemu nie słuchałam? Po raz nie wiadomo który czuję jakieś ruchy w brzuchu, zbiera mi się na mdłości. Szybko biegnę na górę, wymiotuję w ubikacji. Spuszczam wodę, przekręcam kran, żeby zmyć twarz zimną wodą, i wtedy słyszę pukanie do drzwi. Otwieram, by się natknąć na Trávisa, który stoi przede mną, mrużąc oczy od światła.

- Niedobrze ci? - pyta.

Pochyliłam się, obejmuję go, całuję w policzek.

- Nie kochanie, to nic takiego. Wracaj do łóżka. -Patrzę, jak odchodzi, ale nagle wołam: - Travisie? Czy spałeś do teraz? Czy właśnie się obudziłeś?

- Taa... - odzywa się sennym głosem.

- W porządku. Dobranoc.

O czym ja wtedy myślałam? Co by się stało, gdyby Travis zszedł na dół? „Mamo, co ty tam robisz? - zapytałby. - Obrzydliwe!”. Ja bym się wtedy błyskawicznie odsunęła, nerwowo zapinając guziki od jedwabnej bluzki, czerwona jak burak, a David zaciągałby suwak w spodniach, ukrywając niechętnego do współpracy penisa, który leżał na jego udzie jak monstrualna dżdżownica. Z drugiej strony fakt nakrycia nas przez syna nie byłby może taki zły. Wtedy i David czułby się upokorzony.

Cicho zamykam drzwi od pokoju Trávisa i idę do mojej sypialni. Przez dłuższą chwilę siedzę na łóżku. Potem zdejmuję obrączkę i chowam ją do szkatułki z biżuterią. Tak wiele kobiet uczyniło to przede mną. Nie jestem jedyna. Nie jestem. Ale tutaj jestem zupełnie sama.

Schodzę do holu i zaglądam do pokoju Lydii. Zapalam lampę przy jej łóżku. To uspokajająca przestrzeń: biały afgan narzucony na fotel. Książka ze spłowiałą niebieską okładką zostawiona na stołeczku, między kartkami zakładka. Lekki zapach bzu. Rozglądam się wokoło, czując się tylko trochę nie na miejscu. Na komodzie stoją fotografie w złotych i srebrnych ramkach otoczonych białą koronką. Biorę do rąk tę, na której rozpoznaję Thomasa, i zbliżam ją do lampy, żeby lepiej się przyjrzeć. Był z niego ogromnie przystojny facet. Jego oczy są nadal intensywnie błękitne, spojrzenie pewne i otwarte. Uszy duże, trochę sterczące. Pewnie mu dokuczano z tego powodu, ale dla mnie są szacowne, jak u senatora. Podobają mi się również wąsy, bielutkie jak śnieg, i głęboko poorane czoło. Te zmarszczki kojarzą mi się z cudownymi liniami wyrytymi w ziemi, widocznymi z okienka samolotu. Na czole Thomasa dostrzegam jego historię osobistą. To chyba jest coś warte, prawda?

Może powinnam wziąć pod uwagę dużo starszych od siebie mężczyzn. Jak by to było, gdybym pokochała osiemdziesięciolatka? Kiedy Thomas i Lydia idą do łóżka - a wiem, że to robią - jak to jest? To musi być powolne i nadzwyczaj delikatne. Wyobrażam sobie łagodną starą dłoń na mojej szyi, wolniutko osuwającą się coraz niżej, dotykającą każdego mego żebra. Wcale bym nie zwracała uwagi na ciemne plamki na rękach; traktowałabym ów dotyk starszego kochanka jak słoneczny dzień zimą, tak właśnie. I ze starym kochankiem czułabym się taka młoda. Jesteś taka piękna - mawiałby do mnie, nieświadomy faktu, że coraz dalej odsuwam od oczu tekst złożony małym drukiem. Moja ukochana - słyszałabym z jego ust. Zbliżam do siebie zdjęcie Thomasa,

zamykam oczy i po chwili je otwieram, żeby ujrzeć jego niewyraźny uśmiech. Wreszcie wzdycham, wycieram ślady palców ze szkła i odstawiam fotografię na miejsce.

Och, zazdroszczę Lydii jej poukładanego życia: picia rano herbaty z biało-błękitnej porcelanowej filiżanki. A ubrana jest jak do wyjścia - w wełnianą spódnicę i białą bluzkę, z broszką wpiętą w klapę kołnierzyka. Lydia ma koleżankę imieniem Katherine, która systematycznie nas odwiedza. Ta nosi rękawiczki i kapelusz do ciemnej jesionki, a ostatnim razem pojawiła się w zapinanych na guziczki kaloszach, chroniących przed pierwszą warstwą śniegu. Nie rozstaje się ze staroświecką torebką i wręcz uwielbiam, jak wyciąga z niej chusteczkę albo puderniczkę, albo karmelki w metalowym pudełeczku w kwiatki. Wyobrażam sobie, że w zakamarkach torby ma prawdziwe wieczne pióro z fioletowym atramentem. I na pewno notes z obrzeżonymi złotkiem stronicami, każde nazwisko odnotowane godną podziwu kaligrafią. Ma tam jeszcze pudełko na pastylki wysadzone sztucznymi kamieniami i grzebień z szylkretu. Żadnych żółtych kartek do notowania, żadnego sprayu z pieprzem.

Katherine i Lydia przyjaźnią się od sześćdziesięciu lat - powiedziała mi moja współlokatorka. Dawniej, gdy były młode, wymieniały się przepisami na różne specjały, udzielały sobie rad w sprawie wychowywania dzieci, konsultowały się wzajemnie, jak skroić kostium z wypchanymi ramionami. Teraz chodzą do muzeów i na wystawy kwiatów, zaglądają do domów towarowych i dzielą się tam kanapkami w czasie lunchu, odwiedzają znajomych w szpitalach i czasami wpadają do siebie na pogaduszki.

Przez okno widzę błyskawicę przecinającą niebo, po chwili słyszę odległy grzmot. Wspaniały dźwięk, jeśli znajdujesz się w łóżku z kimś, kogo kochasz. Wpatruję się w duże krople deszczu, wsłuchuję się w ich melodię, poczynając od piano lekkich uderzeń aż do łoskotu, jak na potężnej perkusji. Ta nagłość żywiołu! O tej porze

roku powinien padać śnieg, ale z powodu nagłego ocieplenia bieli nie będzie. Jakżebym chciała, żeby spadł śnieg. Marzyłabym, żeby ten nijaki sezon wreszcie się skończył. Zrzucam pantofle i kładę się na łóżku Lydii, gaszę światło, naciągam na siebie jej prześliczną wyszywaną kołdrę blad różowego koloru. Będę tu spała owinięta wygodą czyjegoś życia, z dala od obrączki i pierścionków, które zostawiłam za sobą.

Leżę nieruchomo z rękami skrzyżowanymi na brzuchu, wsłuchując się uspokajający dźwięk własnego oddechu. Za oknem leje jak z cebra. We wnętrzu tego domu, nagle zbyt dużego dla nas, ja i mój syn leżymy w osobnych pokojach i oddajemy się cichemu leczeniu snem. Na dworze zapłakuje się niebo. Albo tak mi się wydaje. W takich chwilach jak teraz wszystko na świecie odbieram bardzo osobiście.

Dopiero po kilku dniach zdolna jestem wykrztusić Ricie, co się stało. I kiedy się jej spowiadam, ona zachowuje się jak typowy Koziorożec.

- Nie mogę uwierzyć, jak mogłaś zrobić z siebie taką kretynkę.  
- Och, nie powinnam była o tym wspomnieć. Wiedziałam, że robię błąd, opowiadając ci o spotkaniu z Davidem. Nie stawiania do kąta mi potrzeba. Pragnę pociechy.

- Nie mogę być ci podporą w czymś tak idiotycznym. O co go błagałaś? Pozbycie się go przyniesie ci tylko ulgę!

- Taak, dotychczas było super. - Wstaję z łóżka, wsuwam stopy w kapcie. - Muszę iść. Muszę się ubrać.

- Przecież u ciebie jest już południe.

- Doskonale to wiem.

- Myślałam, że teraz ubierasz się od razu po wstaniu z łóżka.

- Ten okres nie trwał zbyt długo. Martha Stewart może sobie te rady włożyć...

- No, to wiemy. Nie mam pojęcia, co ci strzeliło do głowy, żeby w ogóle czerpać natchnienie z jej książek. Wszystko, co wmawia ludziom, jest pierwszy krokiem do klęski. Ona w głębi ducha jest mizantropem.

Otwieram garderobę, rozglądam się, co na siebie włożyć.

- Myślę, że Martha Stewart nie jest taka zła. Uważam nawet, że wolę ją niż ciebie jako przyjaciółkę. Kiedy oglądam jej zdjęcie w kolorowym piśmie, uspokajam się, a kiedy rozmawiam z tobą, chcę się powiesić.

- No, dobrze, słuchaj. I słuchaj uważnie. Nie byłabym twoją przyjaciółką, gdybym ci tego nie powiedziała: nie mam współczucia dla ofiary, która postanawia tkwić w tym stanie. A to właśnie robisz. Nawet nie próbujesz się wyzwolić. Coraz bardziej nurzasz się w litości dla siebie.

- Nie, wcale nie! No tak, masz rację.

- Czy już się rozglądałaś za jakąś pracą?

- Nie. - W istocie tak. Zajrzałam do domu dla starców i dowiedziałam się, że nikogo nie potrzebują. Następnie zerknęłam na ogłoszenia drobne w gazecie i nic dla siebie nie znalazłam, bo wszystkie oferty stawiały zbyt wysokie wymagania.

- No to szukaj zajęcia!

- A co mogę znaleźć? Kto zatrudni czterdziestodwuletnią kobietę, która nie ma żadnego doświadczenia zawodowego prócz tego, że w młodości śpiewała w kapeli rockowej?

- Załóż się, że natrafisz na takich, którzy ci pomogą.

- Muszę już wyjść. Spóźnię się na lunch.

- O, tak?

- Nie podniecaj się. Spotykam się z moją matką.

- Och, świetnie. To ci z pewnością ulży...

- Ale posłuchaj, zadzwoniła Louise i powiedziała mi, że mama miała dziwny głos, gdy rozmawiała z nią w zeszłym tygodniu. Chce, żebym się wywiedziała, co u niej. Przyznam, że ostatnio trochę ją zaniedbuję.

- To dlaczego Louise się tym nie zajmie?

- Zaraz, chwileczkę. Niech się zastanowię. Czy nie jest tak, że ja i mama mieszkamy w stanie Massachusetts, a moja siostra w Mon tanie?

- Zgoda, ale nie siedź z nią za długo. Ona sprawia, że jeszcze bardziej ci odbija.

- Chyba tak.
- Zatelefonuj do mnie wieczorem.
- Po co?
- Nie pytaj, lecz zadzwoń.
- To ty do mnie zadzwoń. Nie chcę wydawać pieniędzy.
- David nadal cię utrzymuje.
- No tak, ale nie chcę od niego brać więcej, niż to konieczne.
- Aha, tu cię mam! To świetne rozumowanie na tę okazję!

Rozłączam się, idę do łazienki, żeby obmyć twarz. Czuję się, jakbym dostała niezасłużoną piątkę. Wcale nie mam zamiaru oszczędzać pieniędzy Davida. Mam ochotę być złośliwa wobec Rity.

- Kochanie - jęczy moja matka - aż żal na ciebie patrzeć.

Siedzimy przy jej kuchennym stole. Przed nami stoją kanapki z kurczakiem pocięte w trójkąty; w każdym z nich tkwi ozdobna wykałaczka obsypana confetti. Mamama mi za złe nie umyte włosy i strój: rodzaj góry od piżamy i dresowe spodnie. Ona ma na sobie półprzejrzystą białą bluzkę, czerwony zapinany sweter, spodnie w biało-czarną kratę. W uszach kolczyki w kształcie wisienek.

- Przebiorę się, zanim Travis wróci ze szkoły, nie przejmuj się. Po prostu zajmowałam się różnymi sprawami w domu.

Nawet jej się nie chce, by nazwać mnie kłamczuchą. Wgryzam się w kanapkę, wyciągam z ust winne grono i ciskam je na talerz.

- Co ty wyprawiasz? - pyta ze zgrozą matka.
  - Nie lubię sałatki z kurczaka z winogronami.
  - Coś podobnego! To przecież pyszne!
  - Wiesz, przez całą szkołę smarowałaś mi masłem kanapki z mięsem.
- A przecież ci powtarzałam, że tego



nie lubię. Niemniej stale tak robiłaś. A ja nie znoszę masła na kromkach z wędliną i winogron w sałatce z kurczaka!

- No cóż, powiem ci, co masz zrobić. Zadzwoń do redakcji „Good Housekeeping” i obwieść im, że nie wiedzą, co czynią. Jestem pewna, że będą ci wdzięczni. Może nawet przyślą ci darmową prenumeratę.

- Pewnie masz rację. Cisza.

Wreszcie się odzywam:

- Mamo, jak się czujesz? Louise niepokoi się o ciebie.

- O mnie?

- Tak.

- No, nie mam pojęcia, dlaczego. To o ciebie powinna się martwić.

- Ona uważa, że jesteś w depresji.

- Ona akurat powinna być mądrzejsza. Ja nie miewam depresji. Czuję się wręcz świetnie.

Siadam głębiej w krześle.

- A to dlaczego? Czemu nie dostajesz depresji? Wpatruje się we mnie szeroko otwartymi oczami.

- No, dlaczego? To znaczy, każdy przez nią przechodzi od czasu do czasu. A nawet powinien niekiedy jej zaznać. Czasami to dobrze dla ciebie, abyś poczuła się źle.

Żuje kęs kanapki, mruczy do siebie:

- Ależ pyszna.

- Mamo, słyszysz? Mówię poważnie. Odkłada kanapkę, spogląda na mnie.

- Chcesz się dowiedzieć, dlaczego nie wpadam w depresję? Powiem ci. Nigdy nie widziałam w tym najmniejszego sensu, Sam. Nie wgłębiam się w różne sprawy. Tak jest lepiej.

- Skąd wiesz? Nie masz żadnych możliwości porównania. Latasz jak... Nigdy nawet... Kiedy po raz ostatni pozwoliłaś komukolwiek, żeby poznał cię głębiej? Chodzi mi o to, by naprawdę odczuł, jaka jesteś.

Nie spuszcza ze mnie wzroku i pod siłą tego spojrzenia odnoszę wrażenie, jakbym się upiła. Wreszcie słyszę:

- Nie wiem, Sam, jak możesz tak mówić. - Ta uwaga pada półgłosem.

- Ależ to prawda! Masz tę... nieprzeniknioną nieustanną promienną. To okropne! Przez to ludzie od ciebie uciekają.

Wolno kiwa głową. I wtedy rozlega się idiotyczne kukanie zegara kuchennego, bijącego co pół godziny. Zerkam na zegarek.

- Muszę już iść. Och, mam. Przepraszam. Przykro mi, że tak się do ciebie odnoszę. Ja... nie wiem, myślę, że muszę się przed kimś wygadać. Ale żal mi. - Wstaję i sięgam po płaszcz.

Zbiera talerze ze stołu, odkręca kran w zlewie.

- Naprawdę mi przykro, zachowuję się jak idiotka.

- Już dobrze. Masz zbyt wiele na głowie. Wiem, że nie jesteś sobą.

Wpatruję się w nią. Nie wiem, co robić. Muszę iść.

- Zobaczymy się niedługo.

- Sam? - Zakręca wodę w kranie, odwraca się do mnie. - Zrozumiesz, jak Travis będzie starszy. Ale dzieci w oczach matki nigdy nie dorosną.

Chcę coś odpowiedzieć, ale się powstrzymuję.

- Chronisz swoje dzieci. Zawsze musisz je chronić.

- Ale przed czym, mam?

- Przed wszystkim, co jest smutne, złe lub budzące strach. To znaczy, próbujesz. W tym celu zostałaś stworzona.

- Ale... ja wierzę w co innego. Uważam, że dzieciom należy się prawda.

- Ile tej prawdy, Sam?

Milczę. Co można na to odpowiedzieć?

- Wiem, że się mnie wstydzisz, od dawna zdaję sobie z tego sprawę. Ale przeszłam przez życie na swój własny sposób. Sprawia mi przyjemność bycie szczęśliwą. I przynoszę radość wielu ludziom. Tak, naprawdę. Na przykład Louise.

- Mówisz serio?

- Louise nie ma ze mną kłopotów. Bardzo mnie kocha. Może ci o tym nie mówi, ale taka jest prawda. - Wpatruję się w starannie umalowaną twarz mojej matki i nagle widzę jej twarz sprzed wielu lat, niedługo po śmierci ojca, kiedy mama wyszła z łazienki po spędzeniu w niej dłuższego czasu. „No! - oświadczyła. Siedziałam na podłodze w przedpokoju i bawiłam się bąkiem. Uniosłam głowę. -Myślę, że w tej fryzurze jest mi dużo lepiej, prawda?“. Pokazała mi, w jaki sposób zmieniła uczesanie, ja skinęłam głową i powróciłam do zabawy.

Teraz dopiero uprzytomniłam sobie, że matka w łazience płakała. Ze zdumiewającą ciszą. A kiedy już skończyła szlochać, umyła twarz, poprawiła fryzurę, położyła nową warstwę szminki na usta i dopiero wtedy przeszła do kuchni. Nastawiła cicho radio i zabrała się do przyrządzania obiadu, który był zawsze gotowy o określonej porze. Wtedy się uśmiechała, gadała jak najęta z córkami w ciągu całego posiłku, nie dopuszczając do poważnej rozmowy, blokując wszelkie pytania, sypiąc radami na taki czy inny temat. Jej córki tymczasem robiły miny, wznosiły oczy ku niebu i czuły, jak ich miłość do matki kurczy się z każdym rokiem, niszczone przez wstyd, przez straszną rezygnację, która podpowiadała im, że matka nigdy się nie zmieni. A co robiła Veronica, gdy już nas ułożyła do snu? Zastanawiam się nad tym teraz. I wyobrażam sobie matkę, która zrzuca z twarzy maskę i pada na poduszkę, aby opłakiwać odejście męża, stratę życia, na jakie rozpaczliwie liczyła, tęsknotę za mężem, jedynym mężczyzną - aż mnie boli, gdy o tym teraz myślę - którego kochała. I naraz przychodzi mi do głowy w jednej sekundzie, że w istocie ona dalej siebie z tego leczy, godzina po godzinie, gdy wahadło zegara z kukułką kołysze się w dzień i w noc przez wszystkie te dni od śmierci ojca, w tej samej kuchni obudowanej szafkami z brązowego drewna.

- Mamo - mówię. - Przepraszam.

- Za co, kochanie? - W jej oczach dostrzegam błyszczącą pustkę, dowód niewidocznej amputacji, której

nigdy nie dostrzegałam, aż do teraz. Mama podchodzi i obejmuje mnie. - Niech ci nie będzie przykro. Mam się doskonale. I przekażesz to Louise, prawda?

- Tak - obiecuję. - Powiem. - I dodaję: - Przyjdiesz do nas jutro na kolację?

- Jutro nie. Mam randkę z nowym facetem. - Wydaje z siebie zabawny dźwięk. - Uroda jak Charltona Hestona, wcale nie żartuję. A propos, chcę cię umówić z jego synem.

- Dobrze. Mruga oczami.

- Naprawdę?

- Taaak.

- No, niech mnie... On jest rozwiedziony, kochanie, i to kilkakrotnie. Zdaje się, że trzy razy. Ale za to nie ma dzieci. I on...

- Powiedziałam, że się zgadzam. Spotkam się z nim. Nakładam płaszcz. Moje ramiona są dla mnie nierealne, jakby dosztukowane. Przy drzwiach mama oświadcza:

- Ma na imię Jonathan, to się pisze J-O-N. Powiem, żeby do ciebie zadzwonił.

- W porządku.

- Na nic się od razu nie decyduj. Masz mieć z tego radość.

- Mamo... - Matka zastyga wyczekująco. Jedną brew uniosła nieco wyżej i to jest widok, którego nie mogę dłużej znieść. - Nie będę się spieszyła - mówię w końcu. - Nie martw się.

Gdy wsiadam do samochodu, matka wychyla się zza drzwi i woła:

- A może bym wpadła na kolację w czwartek?

- Świetnie - odkrzykuję, uświadamiając sobie, że w końcu zapomniałam ją zaprosić.

Stoję w oknie pokoju dziennego, wypatrując samochodu Kinga. Mój nowy znajomy zabiera mnie do agencji pośrednictwa pracy, dzięki której sam znalazł zatrudnienie.

- Do takich robót, jakie oni oferują, nie musisz mieć doświadczenia - wyjaśnił mi. - Żywa i zdrowa jesteś dla nich skarbem.

Lydia, która siedzi na sofie i czyta powieść złożoną dużą czcionką, wzdycha i odkłada książkę.

- Co takiego? - pytam.

- Czy zgrzytasz zębami? Wydaje mi się, że słyszałam taki dźwięk.

- Nie zgrzytam zębami.

- Mogłabym przysiąc.

- Mylisz się.

- Jesteś zdenerwowana?

- Nie! - Kładę ręce na piersi.

- To trudne, znam to. Ale wszystko dobrze się skończy.

Siadam koło niej.

- To takie... Nigdy nie czułam się tak... To znaczy, myślę o pracy u McDonalda, i zarazem boję się, że nie potrafię obsługiwać kasy.

- Och, sądzę, że dasz sobie radę.

Sprawdzam godzinę na zegarku, wstaję i znowu podchodzę do okna.

- Jeszcze za wcześnie - odzywa się Lydia. - Nie

martw się, on się nie spóźni. Nie należy do takich, którzy każą na siebie czekać.

- To znaczy?

- Mam na myśli jego troskliwość. On zwraca uwagę na ludzi. To nie jest człowiek, który sprawia zawód.

- Zgoda. W odróżnieniu od typa, za którego kiedyś wyszłam za męża.

Lydia waha się, po czym mówi:

- Zastanawiam się, czy mogę cię o coś zapytać. Odwracam się do niej twarzą.

- Jasne.

- Czy sądziłaś, że życie będzie przez cały czas proste i łatwe?

- Nie!

- Jesteś tego pewna?

Słychać klakson. Podskakuję jak na sprężynie.

- Przyjechał! Później dokończymy!

- Życzę szczęścia - i nie spiesz się. Będę tu, kiedy Travis wróci ze szkoły. Pomogę mu, gdy zechce przygotować sobie kolację. On całkiem dobrze radzi sobie z klopsikami.

- Dzięki stokrotne. Lydia?

- Tak?

- Naprawdę nie zakładałam, że ma być przez cały czas łatwo i przyjemnie. Nie wiedziałam jednak, jaka jestem słaba.

- Aha. I tu się mylisz. - Naciąga sweter na ramiona, żeby dobrze leżał, poprawia okulary na nosie. - Przekonasz się.

King czeka na mnie, podczas gdy ja wypełniam formularz i odbywam rozmowę. Potem bierze mnie do kafejki. Zamawia kawę, a ja - cheesburgera z frytkami i sałatą.

- No i? - pyta.

- To było proste! - Zrzucam płaszcz, wpycham go w róg ławy. Czuję się świetnie. Po prostu wspaniale.

- A nie mówiłem.

- Kobieta, która przeprowadzała ze mną rozmowę, wyglądała tak, jakby miała dwanaście lat.

- Aha, wobec tego to była wyższa urzędniczka w agencji.
- Powiedziano mi, że mogę się spodziewać oferty już jutro.
- Całkiem możliwe.
- Może zaczniemy pracować razem.
- Ja jutro pracuję w hurtowni materacy.
- Och! No, mniejsza o to.

Dostaję hamburgera, wbijam w niego zęby, w trakcie jedzenia mamroczę:

- Powiedziałam mojej mamie, że zgadzam się na spotkanie z kimś, kogo ona zna.
- Ach, tak?
- Tak, chciałam jej zrobić przyjemność.
- A co z tobą? Masz na to ochotę? Solę frytki, jem jedną, potem drugą.
- Niekoniecznie.
- Może być miło.

Wzruszam ramionami, proponuję mu frytki, on odmawia. Zastanawia mnie, czy przeszedł na dietę. Jeśli zeszczupleje, będzie bardzo atrakcyjnym mężczyzną. Ale coś bym straciła. Przywykłam do jego potężnych kształtów. W moich oczach budzą zaufanie.

- Twój mąż był kretynem - odzywa się nagle King. Patrzę mu w oczy, przestaję żuć.
- Przepraszam, nie powinienem był tego powiedzieć.
- W porządku. Przecież to prawda.
- A jednak trudno słuchać uwag krytycznych pod adresem osoby, którą się kocha. Wiem coś o tym.

Pragnę oświadczyć, że nigdy naprawdę nie kochałam Davida, ale daję temu spokój.

W czasie jazdy powrotnej mówię Kingowi:

- Z tobą czuję się... naturalnie.
- Tak.
- To znaczy, od samego początku. Odbieram to tak,

jakbyśmy od dawna byli przyjaciółmi. - Przechodzi mnie lekki dreszcz. W aucie jest chłodno.

King podkręca ogrzewanie, sięga na tylne siedzenie, wyciąga pled i rzuca mi go na kolana.

- Ja też - mówi. I zaraz potem dodaje: - A wiesz, zacząłem spotykać się z kobietami z anonsów „Osobiste”. Wcale więc nie uważam za niestosowne, że twoja mama umawia cię z kimś znajomym.

- Naprawdę? Spotkałeś kogoś interesującego?

- Zwykle okazuje się, że jestem za gruby. - Wyjaśnia to flegmatycznym tonem, bez złości. - Informuję je przez telefon, że dużo ważę, i zazwyczaj słyszę w odpowiedzi, że to żaden problem. Jednakże kiedy się spotykamy, czuję na sobie ich wzrok. Wiesz, o czym mówię? To badawcze spojrzenie.

- I co wtedy robisz? Wzrusza ramionami.

- Mówię im, że mniejsza o to. Albo że w porządku. Wracam do domu i biorę się do czytania albo idę sam do kina.

- No, one... One powinny dać ci szansę.

- Taaa. - King uśmiecha się i nagle widzę go jako chłopczyka, który wraca ze szkoły do domu, niewinny i głodny. W ręce trzyma zeszyt z wypracowaniami, zaraz pokaże je matce. Ale po chwili przywołuję obraz dorosłego Kinga, który podjeżdża pod mój dom. - Jesteśmy na miejscu.

- Dziękuję - mówię.

- To ja tobie dziękuję. Wybucham śmiechem.

- Za co?

- Nie wiem.

Otwieram drzwiczki, słyszę jego głos:

- No, wiem. - Stoję, czekając na wyjaśnienie, ale on dodaje tylko: - Powiem ci innym razem.



Jest wczesny sobotni ranek, obie z Lydią siedzimy przy śniadaniu, przeglądając ogłoszenia drobne w dziale „Osobiste”. Patrzymy, czy ktoś przedstawia się bardziej atrakcyjnie od Jonathana, z którym jestem umówiona dziś wieczorem na randkę w ciemno.

- O, tu mam coś - odzywa się w końcu Lydia, mrużąc oczy, by odczytać nonparel. - Czterdzieści trzy lata, finansowo niezależny, lubi kolacje w restauracjach, podróże i spacerowanie po plaży.

- Och, oni wszyscy tak mówią. Przysięgam. Przejrzyj inne ogłoszenia, przeczytasz to samo. Chciałabym wiedzieć, jak to jest, że gdy idę plażą, jakoś nie widzę setek atrakcyjnych mężczyzn, spacerujących tam i z powrotem w oczekiwaniu na odpowiednią kobietę? No wiesz, takie typy w drogich swetrach narzuconych na ramiona, a z kieszeni wystają im bilety lotnicze.

- Trudno byłoby ich spotkać teraz, mamy już prawie zimę.

- Zgoda, ale nawet latem nie zauważyłam ani jednego. Lydia zamyśla się nad moją odpowiedzią i wzdryga

się, ściskając w palcach uszko od filiżanki z herbatą.

- Jestem przekonana, że istnieją wolni mężczyźni, tylko ty pewnie ich nie szukałaś.

- Nie - mówię lakonicznie. - Nie było. Spotykałam tylko rodziny, które krzyczały na swoje dzieci, żeby się nie utopiły, i nastolatków, którzy wyglądają jak tablice

reklamowe i zachowujący się tak, jakby uważali, że ich ciała nigdy nie ulegną zmianie. Oni w ogóle nie są świadomi faktu, że też się zestarzeją. Niekiedy mam ochotę złapać taką dziewczynę, potrząsnąć nią i wrzasnąć: „Hej! Ja też kiedyś wyglądałam tak jak ty! Cha, cha, CHA!”.

- Owszem - dodaje Lydia. - Ja także chciałam ci to niekiedy powiedzieć. - Zbliży filiżankę do ust.

Mój Boże. Oczywiście, to prawda. Z pewnością! Czymże jest cellulitis na udzie w porównaniu z twarzą poraną zmarszczkami? A czymże są zmarszczki w porównaniu z niedołężnością? Kiedy nadchodzi czas, gdy stajesz przed lustrem i z odrazą przyglądasz się swemu odbiciu? I czy kiedykolwiek się to zdarza?

- No a spójrz na to - odzywa się Lydia, wskazując palcem kolejne ogłoszenie. - To naprawdę brzmi intrygująco: artysta, malarz. Ma karnet na występy baletu, lubi duże psy. Och, ale to mocno starszy pan. Już raczej partner dla mnie.

- Ty nikogo nie potrzebujesz - mówię z żalem. Lydia ma na sobie nowy strój, prezent od Thomasa:

granatowa podomka z supermiękkiego granatu, obszyta czerwoną lamówką. W kieszonce tej szaty znalazła sonet o śnie, jeden z ulubionych wierszy Thomasa, odręcznie spisany eleganckim charakterem pisma.

- Wiem. - Lydia się uśmiecha. - W istocie...

- Co takiego?

- No, może nie powinnam o tym jeszcze mówić. Nie jestem do końca pewna. Niemniej Thomas i ja rozważamy sprawę ślubu.

Siedzę na krześle jak zamurowana. Widzę Lydię przy ołtarzu, z odsuniętym do tyłu welonem. A obok stoi Thomas, z twarzą rozjaśnioną miłością i nadzieją. Pochyla się, żeby pocałować oblubienicę.

- O czym myślisz? - pyta Lydia.

- No, ja... (A co będzie ze mną???) - uważam, że to wspaniale. Lydio, ja właśnie... Cudownie! Kiedy?

- Z początku myśleliśmy oczywiście o czerwcu. Ale

gdysmy wzięli pod uwagę nasz wiek, Thomas doszedł do wniosku, że lepiej to załatwić jak najszybciej. - Patrzy teraz na mnie znacząco zza okularów.

- Ach, tak. Czyli wyprowadzasz się.

- Tak, przeniosę się do jego mieszkania.

Cholera. Będę musiała znaleźć inną współlokatorkę. Przypominam sobie, że wczoraj na tablicy ogłoszeń w księgarni przeczytałam: STUDENTKA POSZUKUJE POKOJU. MOŻE UCZYĆ JAPONSKIEGO. Wówczas przeszło mi przez myśl, że może warto by do niej zatelefonować, bo jakby to było miło mieć dwie sublokatorki; rachunek za ogrzewanie okazał się znacznie wyższy, niż sądziłam. Teraz doszłam do wniosku, że pobiegnę do księgarni, gdy tylko ją otworzą, spiszę numer tej studentki i od razu do niej zadzwonię, umawiając się na rozmowę. Właściwie byłoby bardzo fajnie mieszkać pod jednym dachem z Japonką. Te cudowne czarne włosy, ten miękki głos. Ach, zakładam okropne rzeczy, pewnie w głębi ducha jestem rasistką, ale nie mogę nic na to poradzić. Ta dziewczyna usiadła przy stole kuchennym we wspinałym turkusowym kimonie i przetnie pomarańczę na sześć równiutkich cząstek.

Ale kiedy spoglądam na Lydię, moje fantazje przemieniają się w żal. Uwielbiam dzielić z nią dom. Lubię, jak siedzi przy stole w kuchni i powoli składa ręczniki, podczas gdy ja przygotowuję kolację. Lubię pasek światła widoczny pod drzwiami jej pokoju, kiedy idę do siebie spać. W jakiś dziwny sposób sprawia to, że czuję się bezpiecznie. Niekiedy do późnej nocy oglądamy razem czarno-białe filmy, wzdychając z równą tęsknotą za młodym Robertem Mitchumem, za Clarkiem Gablem. Zaczęłyśmy gadać jak zaprzyjaźnione ze sobą dziewczyny, ujawniając małe sekrety, które układa się w ręce jak dobre karty. Zmierzałyśmy do prawdziwej przyjaźni. Wiem już, że Lydia lubi grochówkę gotowaną na kości od szynki, koktajl z dżinem, rozkoszny chłód prześcieradła wieczorem, pewien rodzaj okropnie obłędnie drogiego kremu na

noc, który sprzedają w słoiku z matowego szkła i różową zakrętką. Moja sublokatorka nosi wyłącznie jedwabną bieliznę. W jakiś sposób w krótkim czasie Lydia stała się dla mnie lepszą przyjaciółką niż Rita. I teraz zamierza mnie opuścić. Próbuję się uśmiechać, ale czuję się okropnie. Znowu porzucona. Może odtąd będzie to moja choroba, jak anemia: chroniczne porzucenie.

- Sam, to potrwa jakiś czas. Przynajmniej miesiąc z góry powiadomię cię o wyprowadzce. A zresztą, jak już wspomniałam, nie jestem jeszcze do końca pewna.

- Dlaczego? Czemu się wahasz? - pytam. Dzwoni telefon, ale nie reaguję.

- Dlaczego? Och, nie wiem. Raczej lubię własną niezależność. I, mówiąc prawdę, przyjemnie mi się z tobą mieszka. Czuję się jakby odmłodzona. A poza tym uwielbiam Travisa - zostaliśmy kumplami.

- Wiem. - Travis nauczył Lydię najnowszych gier komputerowych. Wczoraj wieczorem z zazdrością przyglądałam się im przez uchylone drzwi, podpierając biodrem kosz z praniem. Lydia siedziała obok mego syna, opowiadającego jej z zapalem rzeczy, z którymi ze mną nigdy się nie dzielił. Jedyne, co mi ostatnio zakomunikował, to fakt, że ptaszek Lydii poznaje go, i nawet potrafi wypowiedzieć jego imię, gdy się do niego mówi. Tymczasem gdy ja stoję przed klatką, ptak milczy jak zaklęty. Nie mogę sobie wyobrazić papużki, która wykrzykuje „Tra-vis”, ale mniejsza z tym.

Podchodzę do zlewu, spłukuję kubek.

- Zastanawia mnie - odzywa się Lydia - czy wychodzenie za mąż w tym wieku nie jest czymś bezdennie głupim.

- Jestem innego zdania - odpowiadam. - I liczę, że zostanę zaproszona na wesele.

- Oczywiście. Ty i Travis. I ten King, chętnie bym go widziała. Bardzo przyjemny człowiek. I doskonały kuchmistrz.

To prawda. Przy kilku okazjach King przyrządził nam

wszystkim kolacje. Niczego nigdy nie mierzył i nie ważył, a jednak zawsze udawało mu się zrobić coś, co nam smakowało, nawet Travisowi. Ostatnim razem popisał się kurczakiem marynowanym w egzotycznych ziołach, młodymi ziemniaczkami, fasolką szparagową i ciastem na kruchym spodzie z musem czekoladowym, którym nas oszołomił.

- Możesz go sama upiec - powiedział mi, gdy brałam solidną drugą porcję. - Nauczę cię.

Przez cały czas mi powtarza, że potrafię zrobić mnóstwo rzeczy. Niekiedy chciałabym mu odrzec: „W porządku, nie musisz stale tego mówić. Dzisiaj nie jestem smutna”. Ale w końcu trzymam język za zębami. Jego ciepłe słowa pod moim adresem kolekcjonuję jak srebrne monety, zawinięte w chusteczkę zawiązaną na supełek i ukrytą w głębi szuflady w komodzie.

Travis wchodzi do kuchni, ciągle senny, choć minęło już wpół do jedenastej i sięga do szafki z płatkami.

- Czy Mike Oberlin może dziś przyjść? - Kuca plecami do mnie, żeby wyciągnąć karton z cheerios. Powinien pójść do fryzjera, jego piżama się skurczyła, w przerwie między spodniami a górą dostrzegam białą jak śnieg skórę. Przypomina mi w tym momencie świeżo wyklute pisklą. Gdyby był młodszy, wzięłabym go na kolana i objęła, utkwiała nos w jego szyi, żeby wwąchać się w bogaty aromat snu dziecka. Jednakże teraz stawiam przed nim mleko, wydaję miseczkę i łyżkę, i zapewniam go, że oczywiście, Mike może przyjść. Cenię te małe powroty do normalności. Do Mike'a odniosę się z nadzwyczajną sympatią. „No no, twoja mama jest super”, powie pewnie Mike, kładąc się w butach na łóżku Trávisa, a ja nie odezwę się ani słowem. „Taa... chyba tak” - odpowie mu mój syn pełen dumy.

Travis bierze płatki i idzie z nimi do salonu, żeby jeść i jednocześnie oglądać telewizję. Jestem pewna, że zmieni kanał na MTV i odczuwam znane sobie ukłucie żalu, że nie ogląda *Króla niebios* lub *Furii* zamiast dziewczyn

wbitych w skórzane staniki i zniszczonych szybkim życiem młodzianów wyjących nienawistne społeczeństwu teksty, przechadzając się pośród dekoracji, które bez wątpienia zwiastują koniec świata. Postanowiłam pozwolić Travisowi na oglądanie od czasu do czasu takich programów, niż zabraniać mu ich, bo wtedy zdają się dużo bardziej ponętne. A zresztą, syn mój powtarza mi ciągle, że wszyscy je znają. Więc on też musi. Kiedy mi to zakomunikował, wyobraziłam sobie, że siedzi w szkolnej stołówce z innymi chłopcami, którzy omawiają ostatnie wideoklipy. „Widziałeś Madonnę skaczącą na linie?” -słyszę, jak pyta Travisa jeden z kolegów. „Jasne” - odpowiada moje dziecko i wznosi kciuk do góry. Tak mnie to zasmuciło, że postanowiłam dokonać rewizji wymaginowanej sceny. „Skoki na linie? A cóż to takiego” - założmy, że zapytałby mój syn i do ostatniego okruszka zjadł śniadanie, które mu własnoręcznie przygotowałam.

Lydia składa wysuszoną bieliznę, dopija resztkę herbaty.

- Muszę się pospieszyć. Idę z Katherine na małe zakupy do centrum handlowego. - Wolno zmierza do zlewu, zmywa filiżankę, wyciera ją i odstawia do kredensu.

Ja stawiam kubek pod kranem i podchodzę do telefonu, żeby odczytać wiadomość na automatycznej sekretarce. To Jonathan, z potwierdzeniem naszej randki wieczorem. Mówi, że restauracja, jaką wybrał, jest raczej wymyślna, więc uprzedza mnie o tym, abym wybrała stosowny strój. Nienawidzę tego.

Dzwonię do Kinga, nagrywam się na sekretarce, informując go, kiedy ma przyjść. Będzie opiekunem dla Travisa, bo Lydia wychodzi, a David wyjechał służbowo. Przypuszczalnie nie w pojedynkę.

- Tata ma dziewczynę - oświadczył mi Travis po powrocie z ostatniego weekendu z Davidem.

- Naprawdę? - spytałam, a Travis potwierdził skinieniem głowy.

- Widziałeś ją?

- Taa... Stąd wiem.
  - Jak wygląda? Wzruszył ramionami.
  - Nie mam pojęcia.
  - Zaraz, jak ona wygląda? - Na co Travis znowu odparł, że nie wie. I to takim nieobecnym głosem, że miałam ochotę nim potrząsnąć.
  - Blondynka?
- Zamyślił się przez chwilę, po czym orzekł:
- Ruda. Ma długie włosy.
  - Aha - rzekłam. - No cóż, w porządku. A co ty o tym myślisz? Że tata ma nową dziewczynę?
- Travis nie odpowiedział. A ja nie zadawałam więcej pytań.

O piątej po południu idę do pokoju Trávisa, żeby mu powiedzieć, że zaraz przyjedzie mama Mike'a. Niech lepiej czekają w holu na dole, bo jego matka oznajmiła mi przez telefon, że się spieszy. Pod drzwiami słyszę stłumione chichoty. Uśmiecham się, odczekuję chwilę. Mam ochotę podsłuchać. Czasami zapisuję śmieszniejsze uwagi mego syna w dzienniku, który prowadzę od jego narodzin.

Najwyraźniej obaj gadają z kimś przez telefon.

- Powiedz jej, że spotkamy się z nią w kinie - mówi Travis i słyszę, jak Mike odpowiada:

- Dobra, spotkajmy się przed wejściem do kina, o siódmej wieczorem. - Odkłada słuchawkę i obaj chłopcy wybuchają śmiechem.

Och, a co to? - myślę intensywnie. Oni są za młodzi na randki! I wtedy dochodzi do mnie głos Trávisa:

- Jak myślisz, jak długo będzie czekała?

- Pewnie z pięćset godzin - rzuca Mike. Zachłystują się śmiechem jak młode hieny. Teraz rozumiem, że Mike nie ma zamiaru iść i ta biedna dziewczyna będzie tam sterczeć, ściskając w ręce plastikową torebkę, nie rozglądając się wokoło. Będzie tam po prostu stać. Gwałtownie otwieram drzwi, komunikuję Mike'owi, że jego matka już tu jedzie i że powinien zejść na dół, by tam na nią czekać. Następnie, wskazując na torebkę pełną czekoladowych ciasteczek, pytam:



- Czy to te, które upiekłam?

- Taaa... - Jego kołnierzyk jest wywinięty na karku i siłą się powstrzymuję, żeby nie podejść i go nie poprawić.

- Proszę mi je oddać - rozkazuję.

- Mamo! - drze się Travis.

- Przykro mi. Ale są mi potrzebne.

Mike wręcza mi torbę. Szybko zerka na Trávisa, po czym spuszcza wzrok. Na pewno nagada na mnie swojej matce, nie mam co do tego złudzeń. „Znasz panią Morrow? - powie. - Tę, którą rzucił mąż? Teraz jej odbiło”. -A, do diabła z nim. I z jego matką.

Później zmuszę Trávisa do zawiadomienia tej dziewczyny, że Mike nie przyjdzie. I wtedy palnę mu mówkę na temat traktowania dziewcząt, począwszy od teraz. Nie mogę się wręcz doczekać, kiedy dam mu nauczkę. Jeśli mi przerwie, zabronię mu oglądania MTV przez następne sto lat. Cóż to będzie za uroczne stulecie.

- Fiuuu! Wyglądasz wspaniale - King nie kryje zachwyty, gdy otwieram mu drzwi.

- No... - odpowiadam. - Dzięki. - Włożyłam turkusową suknię, mocno ścisnęłam się paskiem w talii. Sukienka jest krótka, odsłania nogi, a w tym kolorze jest mi do twarzy. Prezentuję się nieźle, choć pasek, przez to, że przytyłam, stał się estetycznym instrumentem tortur. Po raz pierwszy od dobrych kilku tygodni umalowałam się i zakręciłam sobie włosy na gorące lokówki. W każdym miejscu, gdzie bije mi puls, skropiłam się perfumami Joy.

King, ubrany w bluzę i spodnie z polaru niesie dwie kasety wideo.

- *Terminator jeden* i *Terminator dwa* - komunikuje mi. -Czy masz coś przeciwko temu?

Nic mnie nie obchodzi, co on będzie oglądał. Jestem wściekła.

- Co się stało?

- Och... to długa historia - odpowiadam i patrzę w bok. Ponieważ prawda jest taka, jak sobie teraz uświadamiam, że poniosły mnie nerwy. Nie znam wszystkich okoliczności. Może chłopcy mieli uzasadnione pretensje do tej dziewczyny. Skąd wiem, czy nie zrobiła im jakiegoś okropnego numeru? A że jeśli nawet tak było, powinni zareagować inaczej. Ja natomiast karzę Davida, nie ich.

- Gdzie się wybierasz? - pyta King.

- O, do jakiejś eleganckiej restauracji. Nie chce mi się iść. Jestem strzępem nerwów. Czuję się idiotycznie. Randka. Co za głupie słowo.

- Odprężysz się, jak go zobaczysz. Wiem, to trudne, kiedy się czeka na dzwonek. Wcale nie lepiej czuje się człowiek po tamtej stronie drzwi - mogę ci coś o tym powiedzieć. Podejź tu i usiądź ze mną.

Idę do kuchni i siadam przy stole naprzeciwko niego. W tym najbardziej domowym miejscu czuję się niezręcznie w szpilkach, cieniutkich rajstopach i sukience, na którą muszę uważać, żeby jej nie popłamić. Liczę w duchu, że nic nie jest rozlane na siedzeniu, bo wyobrażam sobie, jak mój partner by na to zareagował: Mhm... jak by to powiedzieć, masz plamę z tyłu.

Lampa kuchenna daje takie miłe żółtawe światło, gdy na dworze jest już ciemno. Jak tu zacisznie. Dlaczego nie mogę zostać w domu, przebrać się w zwykłe ciuchy i obejrzeć film wspólnie z chłopakami, zrobić nam wszystkim prażonej kukurydzy, polać ją obficie masłem i posypać solą? Po co muszę wychodzić na zimno w pantofelkach na wysokich obcasach, czując, jak lodowaty listopad obwachuje mi nogi w kostkach, świszcząc: Czyś ty oszalała? Dlaczego nie włożyłaś skarpetek? Dziś ma spaść śnieg, pogoda może być okropna. Wolę zostać w domu.

- Niech zgadnę, o czym myślisz - wtrąca King.

- O czym?

- Zastanawiasz się, co byś mogła wykombinować, żeby zostać w domu.

- Wcale nie.
- Posłuchaj, daj sobie spokój. Przestań się gryźć tym, co się ewentualnie stanie. Posiedź tu ze mną, pogadajmy. O czymkolwiek.
- No dobrze. - Krzyżuję ręce, staram się wymyślić coś sensownego. Mam zupełną pustkę w głowie. Czuję się jak imbecyl. Kiedy mój nieznajomy rozpocznie rozmowę, będę siedziała z głupim uśmiechem, jak lalka ze strzechą piór sterczących z jej mózgu.
- Wreszcie King nie wytrzymuje ciszy i pyta:
  - A zatem. Masz jakieś szanse pracy, począwszy od poniedziałku?
  - Och, jak się cieszę, że o tym wspomniałeś. Właśnie miałam ci o tym powiedzieć. Tak, zatelefonowali do mnie, i wyobraź sobie, że mogę wybrać jedno z dwóch miejsc: przy obsłudze laundromatu albo w recepcji. I to na cały tydzień!
  - Zgłoś się do laundromatu.
  - Chyba żartujesz.
  - Nie.
  - Ale czy to nie jest... poniżające? Uśmiecha się.
  - A to dlaczego?
  - Nie wiem. Zajmowałeś się tym kiedy?
  - Nie, ale nie miałbym nic przeciwko temu. Lubię takie zajęcia.
- Kiwam głową, po czym pytam łagodnym głosem:
  - A nigdy nie myślałeś, żeby pójść na studia, zdobyć dyplom, dostać świetną pracę?
  - Byłem na studiach.
  - Och, przepraszam. Sądziłam...
  - Nie ma o czym mówić.
  - A na jaką uczelnię chodziłeś? - pytam jakby mimochodem, dając do zrozumienia, że przecież nie ma większego znaczenia, jakie kto ukończył studia.
  - Na MIT - pada odpowiedź. I w chwilę potem: -Masz trochę kukurydzy do prażenia?

- Tutaj znajdziesz. - Wskazuję na szafkę nad lodówką. - Na MIT?  
- No tak.  
- Masz na myśli Massachusetts Institute of Technology?  
- Taa... - Wyciąga paczkę kukurydzy, nastawia kuchenkę mikrofalową.  
- A co tam studiowałeś?  
- Astrofizykę.  
- I zrobiłeś dyplom?  
- Jasne.  
- No... to dlaczego wyprowadzasz cudze psy na spacer? Odwraca się twarzą w moją stronę.  
- Bo lubię.  
Do kuchni wchodzi Travis, siada przy stole.  
- Hej, King - wita go z uśmiechem. - Kiedy chce mi dogryźć, jest przesympatyczny do innych.  
- Hej, Travis - odpowiada mu King. - Zjesz trochę prażonej kukurydzy?  
- Jasne! - Wpatruje się we mnie z wyrzutem. Wytrzymuję jego wzrok, wreszcie robię minę. W tym jestem dobra. Kiedyśmy były małe z Louise, tłukłyśmy się przy stole kuchennym za plecami matki. Po cichu. O, jakie zatrute spojrzenia były nasze specjalnością, ile jadu potrafiłyśmy wyrazić w ułamku sekundy.  
Słysząc dzwonek do drzwi, zrywam się tak gwałtownie, że rękami muszę utrzymać równowagę.  
- Mamo! - karci mnie Travis.  
Zbiera mi się na wymioty. Natychmiast.  
- Otworzę - zgłasza się na ochotnika Travis. Po chwili krzyczy z holu: - Mamo! To ten facet do ciebie. Przyniósł kwiaty!  
O Boże - myślę w panice. Spoglądam bezradnie na Kinga.  
- No cóż - odpowiada. - Gdzie masz wazon?

Wchodząc z Jonathanem do restauracji, słyszę łagodne dźwięki fortepianu. W odległym rogu dostrzegam niedużego czarnego mężczyznę w smokingu, z przekrzywioną muszką, siedzącego za klawiaturą. Znać na nim wiek, włosy ma przyprószone siwizną, twarz pooraną zmarszczkami. Uśmiecha się - smutno, jak sędzę - i gra coś, co stanowi tło muzyczne. Zauważa mnie i kiwa w moją stronę głową. „Wiem - pragnę mu odpowiedzieć. - Ja też nie chcę tu być. Chodźmy tam, gdzie mogę się pokazać w dzinsach, a ty zagrasz coś, na co masz naprawdę ochotę”.

- Stolik na dwoje, zarezerwowany na ósmą - oświadcza Jonathan kierownikowi sali, który w wizytowym garniturze wygląda jak wypchany. Gdyby nie był taki nieskazitelny, poczułabym do niego litość.

- Tak jest, panie Schaefer - odpowiada, sprawdzając nazwisko w kremowej księdze. - Tędy proszę.

O, świetnie. Pan Schaefer. Jonathan musiał tu bywać setki razy. Nic dziwnego, że jest taki wyluzowany. Nigdy nie popierałam chodzenia do modnych restauracji. Nie dlatego, że nie umiem docenić dobrych potraw. Ale po co wkładać w to aż tak wiele wysiłku? Stroić się w wymyślne ubrania po to, żeby zjeść?

Idę za kierownikiem sali do stolika, Jonathan postępuje krok w krok za mną. Nie odpowiada mi, że jest tak blisko. Pewnie spinki sterczą mi z fryzury, a może poleciało oczko w pończosze; zapomniałam sprawdzić.

Nigdy nie nauczyłam się chodzić swobodnie na wysokich obcasach, zawsze trochę kuleję. Nie lubiłam się ubierać na specjalne okazje i teraz przysięgam sobie w duchu, że bez względu na powody nigdy więcej tego nie zrobię. To moje życie.

Ponadto nie trawię Jonathana. Który jest na tyle próżny, że unika „h” w swoim imieniu. Głupie snobistyczne imię. To dobre dla mężczyzny, który, odgarniając pukiel z czoła, bez przerwy konwersuje na temat jachtingu.

Kiedy Jonathan powtarza swój numer z odgarnianiem włosów, siadam przy stoliku z głuchą furią. Po co te całe ceregiele? Dlaczego ktoś ma odsuwać dla mnie krzesło? Czy wyglądam na taką, która sobie z tym nie poradzi? Dlaczego kierownik sali nie traktuje w ten sam sposób mojego partnera? Z jakiego powodu kobiety muszą podporządkowywać się temu cyrkowi? Ale kiedy widzę, że i dla Jonathana szef sali odsuwa krzesło, mówię sobie w duchu: Och, mniejsza o to.

No cóż, jesteście w modnej restauracji. Jeszcze tylko parę godzin do zabicia. Uśmiecham się nieszczercze do mego vis-à-vis, a następnie do kelnera w białym kitlu, który niczym łabędź podpłynął do mnie z prawej. Znam te typy. Będzie nalewał kawę najpierw powoli, a potem uniesie dzbanek i do filiżanki zacznie spływać niagara. Będzie nas obskakiwał, używając idiotycznych srebrnych szczypczyków, kładąc na talerzykach do pieczywa kosteczki masła. I wszystko będzie czynił z ledwie wyczuwalnym tonem wyższości.

- Dobry wieczór - wita nas. Na ten dźwięk podskakuję na krześle.

- Och! Dobry wieczór - odpowiadam i marzę, żeby w tym momencie układać się do snu we własnym łóżku.

- Czy ma pani ochotę na koktajl? - pyta kelner.

Czy mam ochotę? Na dziewięćdziesiąt koktajli, skromnie licząc.

- Tak, proszę o kieliszek białego wina - mówię z godnością. Nie cierpię białego wina. Lubię czerwone. Z mu-

sztardówek, jak pili je gangsterzy. Ale przychodzi mi do głowy, że może nie należy zamawiać czerwonego. Kelner z szybkością błyskawicy recytuje listę win. Popisuje się. -Pierwsze z wymienionych - przerywam mu. Kelner kiwa głową, zwraca się do Jonathana.

- Martini z ginem - odpowiada mój towarzysz wieczoru. - Tylko proszę o gin Bombay Sapphire, ekstra wytrawny, z zamrażalnika. Dwie oliwki. Bez lodu.

- Doskonale, proszę pana.

- Chwileczkę - wtrącam, a kiedy kelner patrzy na mnie, mówię: - Chciałabym zmienić zamówienie. Proszę o to samo.

- Oczywiście.

- Przepraszam.

- Ależ nie ma za co. - Odpływa. Uśmiecham się znowu do Jonathana.

- A więc - chrząkam. Gapię się na torebkę. Co w niej mam? Szminkę, chusteczkę, parę dolarów.

- Jesteś zdenerwowana? - pyta Jonathan.

Patrzę na niego przez moment, wybucham śmiechem po czym, o zgrozo, bekam. Jutro zabiję moją matkę.

- Ja też - oświadcza mój partner.

- Co takiego?

- Ja też jestem spięty.

- O nie, nie jesteś. Uśmiech.

- Zapewniam cię, potrafię tylko dobrze się maskować.

- A więc... dlaczego uważasz, że jestem zdenerwowana? Czy dlatego zadałeś to pytanie? Bo zakładasz, że jestem zdenerwowana?

- Za parę minut nastrój się poprawi - twierdzi Jonathan. - Daję słowo.

- Zgoda. - Pochyliam się nieco do przodu, próbując zapanować nad rękami, które ściskają się wzajemnie jak w *rigor mortis*.

Facet jest przystojny, co do tego nie mam wątpliwości. Chciałabym zatrzymać czas, by przyglądać mu się tak

długo, jak długo chcę. Dotychczas rzucałam mu grzeczne spojrzenia. Jest blondynem, włosy mają ładny połysk, a oczy interesujący ciemny błękit. Nosi okulary w szylkretowej oprawce, które bardzo mi się podobają. Wysoki, szczupły. Co, do cholery, jest w nim takiego, że musi chodzić na randki w ciemno?

Nasze drinki stoją przed nami, oboje sączymy je ze smakiem. Opieram się wygodniej.

- A widzisz? - komentuje Jonathan. - Już jest lepiej, prawda?

- Owszem - przytakuję. Czuję, jak w moich spiczastych pantofelkach palce u nóg zaczynają się rozkurczać.

Dopiero przy deserze Jonathan wspomina Veronicę.

- Zdaniem mojego ojca, to nadzwyczajna kobieta.

- O tak - zgadzam się. - Ona jest naprawdę niecodzienna. - Biorę na łyżeczkę kolejną porcję *crème brûlée*. Pyszne. Przepyszne! Skarmelizowana warstewka wierzchnia jest wyśmienita w połączeniu z delikatną kremową masą. Może zamówię następne. Skoro mogłam wypić dwa martini, równie dobrze mogę zjeść dwa desery. Srebrna łyżeczka, którą zjadam kremik, jest taka gustowna, taka odpowiednia. Popatrzcie na te mięsiste obrusy, na śliczne łososiowe świece z delikatnymi płomykami, które rozkosznie migocą. Powinnam pójść do Tiffany'ego i zamówić świeczniki. Miałam rację, że postanowiłam żyć w luksusie po odejściu Davida. Tak należy robić.

Znów wkładam do ust łyżeczkę pełną smakowitego kremu, który się po prostu rozplywa. Cudowne. Wlepiam oczy w wargi Jonathana. Och, są seksowne. W głębi czuję rozkoszne drżenie. Chcę go pocałować. O tak, marzę o tym. Później z pewnością zakosztuję jego ust.

Albo i teraz.

Wstaję, obchodzę stół.

- Chcę tylko coś zrobić - mówię. Pochylam się, lekko



całuję go w usta. I wracam na swoje miejsce. - Właśnie to. - Jestem dumna z siebie.

- Dziękuję - słyszę w odpowiedzi. - To miłe. - A po chwili dodaje: - Czy czujesz się... w porządku?

- Świetnie. - Wzdycham i kładę głowę na rękę. Zastanawiam się, gdzie są moje szpilki. Przecież nie odeszły za daleko.

- Obawiam się, że wypiliśmy trochę za dużo - powiada, ale jego głos jest łagodny, pełen wdzięku i ta uwaga na temat naszego nieumiarkowania brzmi elegancko.

- Tak - zgadzam się. - Masz rację.

- Ja zazwyczaj...

- O! Ja też nie! - Cóż za dobrana z nas para, która wkrótce będzie dogadywała się w pół zdania! - Wiesz, Jonathanie - mówię - jesteś bardzo przystojny. - Chciałabym cię pocałować jeszcze raz.

- No - odpowiada. - Ja też.

- Czy powinniśmy to zrobić tutaj? Czy też w samochodzie z ogrzewaniem na maks? - Jestem dumna ze swej bezpośredniości. Tak, powinnam ją częściej ćwiczyć.

- To może poproszę o rachunek - mówi on.

Och, on płaci. Cóż za wspaniały, wspaniały mężczyzna. Taki w stylu Gregory Pecka. Wymacuję buty, wślizguję w nie stopy, wreszcie wstaję, nieco chwiejnie.

- Skoczę tylko do łazienki.

Powinnam się wyrazić: „Do toalety”. To by wywołało w jego wyobraźni scenę, gdy siedzę przed cudownym lustrem w złoconej oprawie i poprawiam makijaż, a nie, że tkwię na sedesie. Chcę tylko przypudrować nos - dodaję na odchodnym, lekko dotykając jego ramienia. No. Wszystko w porządku. Widzisz? Życie jest proste. Tyle wyborów, tyle szybkich rozwiązań, wystarczy tylko się rozejrzeć. Nie ma powodu opłakiwać jednego związku, gdy drugi sam się nawija. Pomyśleć, że Jonathan czyta tę samą książkę co ja!

Po skorzystaniu z toalety staję przed lustrem, wyciągam szminkę, po czym rozmazuję ją na ustach. Poprawiam włosy palcami, aby spadały na jedno oko. Maluję

sobie na nowo kreski na górnych powiekach, dokładam różu na policzkach.

Zawsze byłam mistrzynią w całowaniu i podejrzewam, że trafił swój na swego. Nie mogę się doczekać powrotu do Jonathana. Jestem kobietą po czterdziestce i wiem, co się święci. Nabieram tchu, poprawiam pasek, ruszam z powrotem do stolika. Pożądanie świerzbii mnie z każdą chwilą coraz mocniej. To dobrze. Bardzo dobrze. Ha - myślałam, że życie mnie złamało. Bynajmniej. Jestem nadal atrakcyjną kobietą, na randce z moim nowym znajomym Jonathanem, baaardzo atrakcyjnym mężczyzną. Matka dobrze zrobiła, bawiąc się w swatkę. Tak, podziękuję jej, wyślę śliczny bukiet z kartką zawierającą tylko jedno słowo: Dziękuję.

Nie. Będzie ich więcej. Miałaś absolutną rację.

Nie, to przesada.

No cóż, muszę napisać na tej kartce coś, co zaświadczy, jaką dobrą stała się swatką. Albo może zatelefonuję do Stuarta Gardnera, faceta, który telefonował do mnie przedtem, tego,

o którym moja matka wyrażała się z takim uznaniem. Zacznę się umawiać z wieloma na raz, będę miała stado ogierów. Bruneta, blondyna i rudego. I żaden z nich nie będzie miał śladu łysiny. Nikt nie będzie musiał odwoływać się do viagry.

Kiedy wracam do stołu, Jonathan mierzy mnie wzrokiem.

- Gotowa?

- O tak - odpowiadam. - Jasne.

Oczywiście, nie robimy tego w aucie. Robimy to w jego łóżku. I on, i ja jesteśmy po czterdziestce, i już wyznaliśmy sobie nawzajem, że od dawna cierpimy na bóle kręgosłupa. A więc ja leżę pod spodem, on na górze, całuje mnie, i nie mogę narzekać. W weekendy, kiedy David zajmie się Travisem, będę tu sobie mieszkała,

i Jonathan poda mi szampana, gdy będę się moczyć w wannie po upojnych zmaganiach miłosnych. O, przy-

niesie mi pienisty płyn w długim kieliszku, z wrzuconą doń truskawką i będzie mi czytał poezje Pabla Narudy.

Teraz rozpina mi suwak sukienki, a ja przez moment wpadam w panikę, zastanawiając się, jaki stanik włożyłam. Uprzytamniam sobie, że jest to zgrabna bardotka i nabieram chęci, aby go ujrzał. Ma mnóstwo koronek.

Czuję, jak delikatnie ściąga ze mnie suknię. Następnie wstrzymuje akcję, całuje mnie w szyję, aby przedłużyć chwilę oczekiwania. Ten człowiek to mistrz. Powinnam mu płacić za usługi.

Zsuwa mi sukienkę niżej, wpija się ustami w obojczyki, posuwa się odrobinę w dół, wstrzymuje pocałunki nieco powyżej piersi. Lekko wicherzę mu włosy, niechcący wydaję z siebie jęk. On tymczasem wyzwala mnie z sukni do pasa, ślizga się wargami po staniku. I wreszcie jego zręczne palce odpinają haftki, usta dotykają nagiej skóry. Jego dłoń wędruję w górę uda i wydaję mi się, że pęknę z podniecenia. I wtedy, niespodziewanie, stanik ląduje mi na twarzy, drut mam wetknięty w prawą powiekę.

- Zaczekaj chwilę - mówię ze śmiechem i staram się odsunąć od niego.

- O nie - jęczy. - Nie ruszaj się.

- Nie, ja tylko chcę... wstrzymaj się na moment. -Chcę po prostu wszystko z siebie ściągnąć. No nie, może nie wszystko. Nie. Wszystko.

Ale on ściska mnie z całej siły, wklinowuje w materac, całuje coraz gwałtowniej. To nie jest zupełnie nieprzyjemne. Ale w końcu się staje.

- Jonathan - dyszę. - Wstrzymaj się!

Odsuwa się ode mnie, oczy ma zwężone z wściekłości.

- Co się, kurwa, dzieje? Chcesz tego tak bardzo jak ja. Wybucham nieoczekiwanym śmiechem, zepchnięta nagle w otchłań całkowitej trzeźwości.

- Ja tylko...

- Daj spokój. Do cholery z tym. - Siada na brzegu łóżka, zapala światło. Żałuję, że nadal jest całkowicie ubrany, podczas gdy ja jestem w negliżu, który przestaje

być seksowny. Zupełnie przestaje. Łapię stanik, nakładam go, zapinam, siadam, narzucam sukienkę na ramiona. Z pewnym trudem zaciągam suwak.

Jonathan rzuca na mnie szybkie spojrzenie, po czym spogląda w bok. Sięga po paczkę papierosów na szafce nocnej, zapala, zaciąga się.

- To ty palisz? - pytam i cały domek z kart wali się, wali, wali.

Na dworze patrzę w czarne niebo, połykając łzy. Jest za zimno, żeby płakać. Księżyc w pełni świeci mocno, gwiazdy wyglądają jak pineski wbite w aksamit. Na trawnikach przed domami, obok których przechodzę, dostrzegam cienie nagich gałęzi. Stąпам ostrożnie, bez przerwy się potykając.

- Przekleci mężczyźni - mówię głośno. - To same świny. Wszyscy.

Ale przypomina mi się Travis. On nie będzie świnią. Już ja tego dopilnuję. Może niewiele wniosę do tego świata, ale jednego jestem pewna: wychowam Trávisa na dżentelmena. Prawdziwie łagodnego mężczyznę. Od zaraz zacznę przykładac wielką wagę do jego manier i sprawię, że będzie się zachowywał jak pedał, ale pozostanie hetero. Chyba, że postanowi inaczej. Ale on na takiego się nie zapowiada. Oznaki jego charakteru są temu przeciwne. Wisi mu. Nie zważa na nic.

Znowu się potykam i tym razem bez gracji upadam na bok. Torebka wypada mi z rąk i sunie parę metrów, wreszcie zatrzymuje się i spogląda na mnie, jakby bawiła się moim kosztem. Chcę wstać, ale zamiast tego przewracam się na plecy. Nieźle mi tu na chodniku. Przyjemnie odpocząć. Poruszam kończynami, sprawdzając, czy mnie coś boli. Nie jest źle, chyba niczego sobie nie złamałam. Drzwi sąsiedniego domu otwierają się. Widzę żółty prostokąt światła, po chwili sylwetkę kobiety w szlafroku wychylającej się na progu.

- Halo! - krzyczy. - Czy coś pani dolega?

Z trudem staję na nogach.

- Nic mi nie jest - mówię. Kłamczucha. - Po prostu upadłam.

- Widziałam! Boże święty!

- Wie pani, jest ślisko! Pani też by się wywróciła, gdyby pani wyszła w szpilkach!

Baba zamyka drzwi.

Och, nie chciałam być taka agresywna. Powinnam być miłsza, poprosić ją o możliwość skorzystania z telefonu, zadzwonić po taksówkę. Strzepuję śnieg z palta. Zabawne, że nie jest mi już zimno. Ruszam w dalszą drogę.

Samochód jadący jezdnią zwalnia, a ja przyspieszam kroku. To Jonathan, błagający o przebaczenie. O nie, tego nie wybaczę. I wtedy auto mnie wyprzedza, a ja dostrzegam, że to wcale nie Jonathan, ale banda nastolatków. Pistolecik przy kierownicy spuszcza szybę i coś zagaduje. Przypatruje mi się przez chwilę, milknie i dodaje gazu.

Świnie.

Kiedy wreszcie docieram do domu, otwieram drzwi na tyłach, wchodzę do kuchni i wyrzucam róże od Jonathana do śmieci. Czerwone na znak uczuć. Akurat.

- Hej? - odzywa się King. Wchodzi do kuchni, opiera się o drzwi, bacznie mi się przygląda. Myję wazon, wciskam go do szafki.

- Poszło nie za dobrze, co?

- Ha! - Odgarniam mokry kosmyk włosów z twarzy, zrzucam szpilki.

- Co się stało?

- No cóż. Po pierwsze, wróciłam pieszo do domu.

- Coś podobnego!

- Taka jest prawda. Przeszłam się. I wyobraź sobie, że to była najbardziej udana część wieczoru.

- Szłaś cały ten szmat drogi z restauracji? Spoglądam na niego, rozpinając palto.

- Tak! No... nie. Szłam... z jego mieszkania, dobrze? Stamtąd. Ale to ciągle daleko.

- Sam, co się wydarzyło?

Wybucham szlochem. I kiedy King podchodzi do mnie, zasłaniam się jak tarczą rozmiękłą na deszczu torebką wieczorową, żeby się do mnie nie zbliżył.

- Nie - mówię. - Daj spokój. - Przez chwilę płaczę bezgłośnie, by nagle się uspokoić. - King - oświadczam. -Przykro mi to powiedzieć w twojej obecności, bo jesteś mężczyzną. Ale faceci to dupki. Każdy po kolei. I to się nigdy nie zmieni.

- No nie, nie każdy z nas.

- Ty też. Przykro mi, ale ty również.

- Pewnie strasznie zmarzłaś. Idź i przebierz się, a potem wróc tu. Ja tymczasem zrobię herbatę.

- Nie chcę żadnej herbaty. I nie łudź się, że mam ochotę na pogawędkę. Dzięki za opiekę nad Travisem. To znaczy, jestem ci wdzięczna. Ale nie chcę z tobą rozmawiać.

Wzrusza ramionami.

- W porządku. - Podchodzi do garderoby, żeby wyjąć płaszcz.

Natychmiast tego żałuję. King był wobec mnie zawsze pełen ciepła. To nie jego wina, że stało się to, co się stało.

- Poczekaj - mówię szybko. - Przepraszam, nie idź. Zaraz się przebiorę.

W sypialni zrzucam sukienkę na podłogę, jednym kopnięciem odsyłam ją do kąta. Wyciągam z bielizniarki spraną niebieską bluzę i dzinsy, wkładam je na siebie, po czym zdejmuję i również ciskam w róg pokoju. Na innej półce znajduję flanelowe spodnie od piżamy i podkoszulek z długimi rękawami. Tak ubrana, dodaję do kompletu grube skarpety i stary, znoszony ręcznik frotte. W łazience zmywam makijaż, wyjmuję szkła kontaktowe i zakładam okulary.

W drodze na dół zaglądam do pokoju Trávisa i podchodzę na palcach, żeby przyjrzeć się, jak śpi. Chcę pocałować go w czoło, z trudem się powstrzymuję, żeby go nie obudzić i nie wycedzić przez zaciśnięte zęby:

„Słuchaj, szczeniaku, nigdy nie traktuj tak kobiety, jak ja zostałam dziś potraktowana!", ale nie robię nic. Stoję tylko nad nim z pustą głową, uprzytamniając sobie, że alkohol jeszcze ze mnie nie wyparował.

W salonie na ekranie widzę fragment czarno-białego filmu. Dinozaur z otwartą paszczą szarpie drapaczem chmur, który wiruje w jego przepastnej szczęce. Ludzie przywarci do jego ścian wyglądają jak kleszcze. Kiedy King zauważa moją obecność, gasi telewizor, kładzie ręce na podołku. Czeka.

- Myślę - odzywam się w końcu - że miałam randkę z gwałcicielem. Prawie.

Chce coś powiedzieć, ale zmienia zdanie.

- Naprawdę!

- Przykro mi.

- No cóż, czego się mogłam spodziewać? Tak się zawsze kończą randki, w ten czy inny sposób.

- Sam, opamiętaj się. Wcale nie muszą się tak kończyć. Dobrze o tym wiesz.

Stoję przez moment bez ruchu, zastanawiając się, czy znajdę w sobie wystarczająco dużo energii na ostrą debatę. King tymczasem podchodzi, zdejmuje mi okulary i przeciera szkła rąbkiem swojej bluzy.

- Nawet źle widzisz - dodaje.

- Widzę, widzę. - Gapię się na niego. Pucuje szkła, ogląda je pod światło, poprawia i w końcu osadza mi okulary na nosie. Ten jego gest jest taki czuły, że ponownie zaczynam oplakiwać wszystko to, co na świecie nie jest łagodnością.

- Czy Travis był grzeczny? - pytam w końcu przez łzy.

- Tak - odpowiada King. - Zachowywał się bez zarzutu. - I dorzucę: - Wiesz, nigdy nie byłem dobry w bijatykach, ale chętnie bym tam poszedł i dołożył facetowi za ciebie. Gdzie on mieszka?

- To byłoby świetnie! - wykrzykuję i wybucham śmiechem, wyobrażając sobie tę scenę. Wytworny Jonathan splaszczony pod ogromnym cielskiem Kinga.

Przestaję się śmiać i czuję, jak lekkie upicie się ustępuje jak łagodny przypadek grypy.

- King? - pytam. - Mógłbyś zostać jeszcze chwilę, póki...

- Taa, jasne.

- To dobrze. Dzwoni telefon.

- Któż to może być o tak późnej porze? - mrużę do siebie i wtedy uprzytamniam sobie, że oczywiście wiem. To on, ten skurczysyn.

Wbijam wzrok w aparat.

King podnosi słuchawkę, odzywa się „Halo”. Wreszcie mówi:

- Tak, jest tutaj. - Patrzy na mnie. - Czy chcesz...

- Nie!

- Ona nie ma ochoty rozmawiać. - Po czym, odwracając się do mnie bokiem, dodaje stłumionym głosem: -Pan już raczej nie powinien jej nękać telefonami. - Pauza, wreszcie: - Kolega, jestem jej kolegą.

Czuję przyływ emocji gdzieś w środku, rozchodzącej się aż do czubków palców dłoni, do stóp. O, to jest poczucie bezpieczeństwa. I ulga, jaka temu towarzyszy, jest miękka jak dziecięcy kocyk.

- Wróciłaś PIESZO do domu? - Rita nie dowierza, dzwoniąc do mnie nocą.

- No, to nie było aż tak daleko. Kilka kilometrów. -Teraz, kiedy darzą mnie współczuciem, o które tak zabiegałam, mogę sobie pozwolić na pewną dozę nonszalancji.

- Przecież jest zima! Byłaś w szpilkach!

- Jaka tam zima! Mamy dopiero listopad.

- W stanie Massachusetts zawsze trwa zima. Prócz sierpnia, a wtedy jest piekielny upał.

- Nie miałam wyboru. Musiałam się szybko ewakuować.

- On był naprawdę taki koszmarny? - wypytuje Rita. - Może tylko sfrustrowany. Albo sądził, że się z niego nabijasz.



- Nie, on był naprawdę straszny. Nie tylko antypatyczny. Złękłam się go.

- No to już się z nim nie spotykaj.

Trzymam słuchawkę z daleka od ducha, przyglądam się jej. Nigdy więcej nie umawiaj się z nim. Świetna rada. Jasne, bo przecież miałam w planie zadzwonić do niego jutro i zaprosić go do siebie; może wtedy przyłożyłby mi nóż do gardła.

- Rita, jutro dokończymy rozmowę. Jestem już śpiąca.

- Zaraz, chwileczkę. Pomyślałam sobie, że do ciebie przyjadę. Co ty na to?

- To byłoby wspaniale, chyba nie wątpisz. Marzyłabym, żebyś znalazła się przy mnie! Kiedy?

- Sądzę, że w przyszłym tygodniu. Zaraz po święcie Dziękczynienia. Przyleciałabym w sobotę, a odleciała w następną niedzielę.

- Na cały tydzień?

- Taa... A co, wydaje ci się, że zostanę za długo?

- Nie! No... tak. Jednak nie.

- Nie obawiaj się. Będę ci pomocna. Wynajdę wszystkie skarpety do pary. Posiekam cebulę na kolację. Znajdę ci nową współlokatorkę.

- Uch, nie przypominaj mi.

- Może tym razem lepiej trafisz.

- Nikt nie będzie lepszy niż Lydia. Sama się przekonasz.

Gdy odkładałam słuchawkę, wpatruję się w sufit, rozmyślając. Rita nie odwiedzała mnie latami. Kiedy ostatni raz tu była, Travisowi dopiero wyrzynały się zęby. Teraz dziecko nie ma ojca, a jego matka zadaje się z psychopatami.

A jednak.

Gaszę lampkę nocną i uświadamiam sobie, że nic nie zdoła mnie zranić. Biorę głęboki wdech, jak gdyby powietrze w płucach mogło sprawdzać moje założenie i dawało mi znać, że to prawda. Tak, to prawda.

- Głównie rozmienia pani drobne - komunikuje mi łysiejący Chińczyk. Wpatruję się w niego przez chwilę, nie pojmując. Pewnie daje mi jakąś radę. Wreszcie dociera do mnie, o co mu chodzi: rozmieniam klientom banknoty na monety.

Jest poniedziałek, dziewiąta rano i pan Lee przygotowuje mnie do objęcia obowiązków w swoim laundromacie.

Prowadzi mnie wzdłuż lśniących białością maszyn do prania. Po jednej stronie ciągną się gigantyczne suszarki, ich szklane drzwiczki otwierają się jak bramy. Przy stole do układania bielizny stoi samotna postać - chudy starowina, który ma przed sobą stertę upranych rzeczy. Jego ruchy są powolne i metodyczne; jest w nich jakiś wdzięk. Dokładnie chwyta za rogi cienkie pasiaste ręczniki, które wyciąga z metalowego kosza.

- I pani również czuwa - podkreśla pan Lee, potrząsając palcem przed moimi oczami - że nie kradną! Próbują ukraść wózki, liczniki z pralek, i kto tam ich wie, co jeszcze! Nie patrzysz - wszystko zwędzą! - Rusza dalej przed siebie, a ja pokornie idę za nim. Pan Lee ubrany jest w dokładnie uprasowane beżowe spodnie, które kończą mu się tuż nad piętą adidasów, oraz błękitną koszulę z podwiniętymi rękawami. Ma na nosie okulary daleko-widza, a z jego ucha wydobywa się od czasu do czasu świst aparatu słuchowego. Wtedy pan Lee z irytacją go

poprawia, stając w miejscu, gapiąc się przed siebie i mruczając coś wściekle pod nosem.

- Też od czasu do czasu sprząta tu pani trochę. -Uśmiecha się do mnie, ukazując drobne ząbki zabarwione herbatą. Przybrał teraz łagodniejszy ton głosu. - Ludzie wyrzucają śmieci, zapominają. Trzymasz czystość, ludzie chcą przychodzić, prac. Okay? Okay?

- Tak - odpowiadam. - W porządku.

- Pranie nosisz? - pyta mój nowy pryncypał.

- Co takiego?

- Nosisz pranie?

- Czy ja przynoszę pranie?

- No tak!

- Nie... mam pralkę w domu.

Odwraca się, zmierza w stronę kantorku na tyłach.

- To źle. Przywilej pracowników. Zrób tu.

- Och, to miło z pana strony. Może jutro.

Idę za nim do kantorku, wieszam kurtkę, gdy widzę, że pan Lee zdejmuje z siebie kitel. Wskazuje na sterane biurko.

- Tu siedzisz. Zamykasz drzwi. - Potem wyciąga rękę w stronę niedużego kwadratowego otworu umieszczonego w ścianie nad blatem i objaśnia: - Cały biznes przez okienko, klientów tu nie! - I powtarza: - Biznes oknem. Profesjonalne podejście! Drzwi zamknąć na klucz! - Wręcza mi komplet kluczy. - Ty do domu, dajesz klucze popołudniowej osobie, ona tu o drugiej.

Przez chwilę jestem przestraszona, widząc jego upór co do zamykania się w kantorku na klucz. Czy bywa tu aż tak dużo pieniędzy? Może zdarzają się napady? Oddycham z ulgą na myśl, że wzięłam ranną zmianę. Pewnie większość kryminalistów lubi się dobrze wyspać. Pan Lee otwiera szufladę, pokazuje mi torebkę cukierków czekoladowych.

- Lubisz słodczy, co?

- No... tak. Pewnie!

- Ja to od razu widzę, pierwszy raz na oczy... Detektyw! To premia.

Następnie wskazuje na duże plastikowe pojemniki ze stosem ćwierćdolarówek i dziesięciocentówek oraz na tackę, gdzie odkłada się banknoty.

- To na rozmianę! - tłumaczy, ale mruży podejrzliwie oczy. - Wiesz, jak?

- Jak rozmieniać pieniądze? - upewniam się. - Tak. Uśmiecha się szeroko, błyskając złotymi zębami.

- Są ludzie, co nie umią. Głupi.

- Coś podobnego!

- Okay - mówi, zaciągając suwak kurtki. - Teraz drugie laundromaty. Mam więcej, idę sprawdzić. - Wyciąga portfel, wręcza mi białą karteczkę. - Masz pytanie, dzwoń. Odpowie moja żona, powie, co i jak.

- Dobrze, w porządku. A więc... niech się upewnię. Mam rozmieniać pieniądze i trochę sprzątać, tak? A o drugiej przyjdzie mój zmiennik? Na pewno? Muszę być w domu, kiedy mój syn wróci ze szkoły.

- Przychodzi, przychodzi! - rzuca niecierpliwie pan Lee. - Steven. Zawsze jest. Nigdy nie zawodzi.

- Zrozumiałam. - Tylko chcę być pewna.

Jest już prawie przy drzwiach wyjściowych, ale odwraca się i krzyczy w moją stronę:

- Farba nie! Nikt nie używa farby!

- Tak jest. Wisi tabliczka.

- Nie dosyć! Ty patrzysz!

- Będę pilnować.

Wsiada do starego białego cadillaca. Ledwie widać jego głowę znad deski rozdzielczej, ale auto pasuje do niego. Siadam przy biurku, rozkładam gazetę, nalewam sobie kawę z termosu, który przezornie przyniosłam z domu. Słyszę jakiś dźwięk i dostrzegam w okienku tego staruszka, który porządkował pranie.

- Może mi pani zmienić dolara? - Ma silny południowy akcent.

- Na ćwierćdolarówki czy dziesięciocentówki? -upewniam się. Działam profesjonalnie!

- I to, i to - słyszę w odpowiedzi, więc przesypuję

błyszczące monety ze swojej dłoni do jego. Ta prosta czynność sprawia mi frajdę. - Dziękuję - odpowiada staruszek. - Pani jest nowa?

- Tak, będę tu pracowała przez cały tydzień.

- Proszę się nie martwić - dodaje mi otuchy staruszek. - Chętnie pani pomogę. - Przysuwa głowę bliżej, chrząka. - Nazywam się Branch Willis i wiem o tym miejscu wszystko. Przychodzę tu od lat.

- A ja mam na imię Sam.

- Aha. - Po chwili: - Ale pani jest kobietą, prawda?

- Prawda. To skrót od „Samantha”.

- Och, przepraszam, przepraszam. Pani wygląda na kobietę, proszę mnie źle nie zrozumieć. Ale nigdy nie wiadomo. Szczególnie teraz. Nie chciałem pani obrazić.

- Wcale nie czuję się urażona. Rusza, człapiąc, ale zawraca.

- Pani głównie siedzi w kantorku, jak powiedział właściciel. Ale wolno pani stamtąd wyjść. To już do uznania, pani tu rządzi.

- Okay - odpowiadam. - Dzięki za rady. - Siadam za biurkiem, wyglądam dolarówkę, którą rozmieniał Branch, wsuwam ją do szuflady. Drzwi otwierają się i wchodzi nowa klientka: kobieta z małą dziewczynką.

- Przyszła Mary! - woła do mnie Branch. - I jej mała, która ma na imię Lisa. Jak się macie?

Wstaję, wychylam się, uśmiecham. Dziewczynka ma ze cztery lata, poważną śliczną buzię i dwa ciasno zaplecione warkoczyki. Przyciska do piersi lalkę, na ramieniu zawiesiła torebkę z malutkimi pieluszkami.

Kilka minut później przez szeroko otwarte drzwi wkracza niewiarygodnie wysoki i równie przystojny Murzyn w okularach przeciwsłonecznych, taszcząc dzinsowy wór pełen prania i ryczące radio. Rozgląda się, wybiera pralkę, stawia worek na podłodze i jeszcze głośniejsz nastawia tranzystor.

Lisa zatyka uszy i chowa się za matkę; ta odwraca się. Branch zajmuje się swoim praniem.

- Proszę pana! - krzyczę. I po chwili wzmacniam głos: - Proszę pana!  
Facet unosi głowę, opiera okulary na czubku głowy.  
- Co? - Nawet z daleka zauważam, że ma przekrwione oczy.  
- Czy mógłby... pan przyciszyć tę muzykę? Bardzo proszę!  
- Pani się odpiardoli. - Wysypuje wór z praniem. Czarne bokserki zsuwają się ze sterty, obok upada wzorzysta powłoczka. Mój Boże. W końcu wszyscy robią pranie.

Siadam w kantorku tak, że nie widać mnie przez otwór. Rozmieniać pieniądze i trochę sprzątać. Tak brzmi opis obowiązków. Ale nie popełniać samobójstwa. Duszę w sobie impuls ponownego rzucenia okiem na brudy nowego klienta, wkładam do ust cukierka czekoladowego i nerwowo go ssę. Przyciągam do siebie aparat telefoniczny. 911 to numer wezwań. Chyba się nie mylę? Na pewno. 411 to informacja, a 911 dzwoni się, by wezwać policję, straż, pogotowie. „Zastanawiam się, czy możecie mi pomóc - odbywam imaginacyjną rozmowę. - Jestem w laundromacie i jeden z moich klientów morduje pozostałych”.

Lecz kiedy znowu wyglądam przez okienko, widzę, że czarny przystojniak siedzi na krzeselku obok Lisy i pomaga zmienić jej lalce pieluszki.

- Wiesz co? - mówi do dziewczynki, śmiejąc się radośnie - Taak, trafiło ci się bardzo dobre dziecko.

Wracam do domu na całe czterdzieści pięć minut przed nadejściem Tralisa. Gdy wieszam palto, dzwoni telefon.

- To pani telefonowała do mnie w sprawie pokoju do wynajęcia? - słyszę łagodny dziewczęcy głos. - Ja jestem tą, która zostawiła kartkę na tablicy ogłoszeń.

Och! Japońska panna. Ta, która tak pięknie obiera pomarańcze.

- Tak - potwierdzam. - Dzięki za telefon. Zastanawiam się, jak możemy się spotkać. Żeby... no wie pani, porozmawiać.

- Kiedy?

- Chyba... jak najszybciej.

- Nie jestem teraz zajęta. Jeśli można, możemy się spotkać od razu. Gdzie pani mieszka?

Gdy podaję jej adres, dziewczyna odpowiada:

- O, to blisko. Mogę przyjść w ciągu pięciu minut. Idę do kuchni i stawiam na stole dwa kubki. Będziemy

piły herbatkę ziołową. Dostrzegając na stole paterę pełną owoców, przysuwam ją bliżej kubków. To na wszelki wypadek.

Gdy otwieram drzwi, widzę na progu dziewczynę, która nie ma w sobie ani kropli krwi azjatyckiej. A na dodatek, króciutko obcięte jasne włosy.

- Wyobraź sobie - opowiadam Travisowi - że znalazłam nam nową lokatorkę. Wprowadzi się do nas pierwszego grudnia.

- A niech to - mówi zniechęconym tonem.

- Bardzo miła. Spodoba ci się.

- Tak? A co za jedna?

- Jest studentką, kochanie. Zna japoński! Ma na imię... aha, zmieniła je. Przedtem nazywała się Elaine, a teraz Błękitna Lawenda.

Travisowi oczy wychodzą z orbit.

- Lawenda? - pyta z niedowierzaniem. - I to Błękitna?

Wzruszam ramionami.

- Nie wiem, mamo, gdzie ty je wynajdujesz.

- Travis, zadzwoniłam do ludzi, którzy ją polecają. Jest bardzo spokojna - zajmuje się swoimi sprawami, nie będzie z nią problemów. Przedtem mieszkała na fermie w Indianie, a teraz jest studentką Uniwersytetu Bostońskiego.

- I ma mieszkać w suterenie?

- Tak.
- To jej nie przeszkadza?
- A to dlaczego? Przecież nasza suterena jest ładna. To nie piwnica. Ma wykładzinę dywanową, osobną łazienkę. I znajduje się tam wystarczająco dużo miejsca, by się czuć swobodnie.
- Musi być nienormalna, skoro zgodziła się mieszkać w suterenie.
- Kochanie, jest studentką. Kiedy ty pójdziesz na studia, nie będziesz narzekał, jak ci przyjdzie mieszkać w czymś takim.
- Akurat. Ja nie zamierzam mieszkać w norach podczas studiów.
- No, ty może nie. Ale ona nie ma nic przeciwko temu. I liczę, że dasz jej szansę. Popatrz, jak polubiłeś Lydię.
- Zgoda, ale ona nie ma na imię Błękitna Lawenda.
- Och, jestem pewna, że możesz się do niej zwracać po prostu... Lawenda.

Kręci głową, wzdycha, ale nagle zmienia nastrój, zmierzając w kierunku lodówki. Znowu dzwoni telefon, podnoszę słuchawkę, zarazem obserwując, jak Travis uchyla plastikowe wieczko i zagląda do pojemnika. Spaghetti na zimno, jego ulubione danie.

- No? Jak lubisz? - odzywa się głos w słuchawce.
- Pan Lee! - Ale po chwili przypominam sobie, że agencja pośrednictwa ostrzegła mnie, żebym nie pertraktowała sama z pracodawcami. Pytam więc:
  - Jak pan zdobył mój numer?
  - Książka telefoniczna! Tylko trzy „Morrow”. Pani numer trzy! Lubi pracę?
  - Tak, w porządku... Owszem.
  - Jak lubi, dam pełny wymiar godzin. To między tobą a mną.
  - Och, dziękuję! Ale myślę, że na razie starczy mi ten tydzień. Jak pan wie, nie mogę się angażować na pełny etat, pan wie dlaczego.



- O! - W jego tonie znać rozczarowanie. Ale chwilę potem następuje poprawa nastroju: - Okay! Ale pracujesz cały tydzień. Każdy dzień!

- Tak, zgoda.

- Kto dzwonił? - pyta Travis, gdy odkładam słuchawkę.

- Pan Lee. To mój szef, dla którego dziś pracowałam. Chciał mnie zatrudnić na cały etat.

- No, no! - Mój syn odzywa się do mnie z podziwem, co sprawia, że chciałabym się rozplakać. - To szef zatelefonował do ciebie od razu pierwszego dnia?

- Tak jest.

- To dobrze, nie?

- Jasne - odpowiadam. No pewnie.

Późnym popołudniem w przeddzień święta Dziękczynienia podjeżdżam pod dom, w którym teraz mieszka David. Trochę błądziłam, mimo jego objaśnień. W końcu Travis podpowiedział mi, gdzie na koniec trzeba skręcić. Krótka i wąska zadrzewiona uliczka ma wygląd artystyczny -odnotowuję z zazdrością. Oświetlają ją stare lampy gazowe przerobione na elektryczne. Gdy na nie spoglądam, właśnie się zapalają, jakby czekały na odpowiednią chwilę, żeby się popisać. Staję, wyłączam silnik, zwracam się do Trávisa:

- Jesteś gotów?

- Taa, chyba tak.

- Na pewno będzie sympatycznie. Wzrusza ramionami.

Równocześnie otwieramy drzwiczki auta. Idę ścieżką za nim, patrzę, jak naciska dzwonek u wejścia. Zastanawiam się, czy kiedykolwiek będzie normalne takie dzielenie syna, z dostawą to do jednego, to do drugiego domu, jakby był paczką z pokwitowaniem odbioru. Odgarniam mu z czoła gładkie włosy. Nie oponuje. A więc on też jest zdenerwowany, mimo pozorów obojętności.

- Nie musisz zostawać - odzywam się niespodziewanie. - Równie dobrze możesz tu posiedzieć parę godzin, a potem cię przywiozę do domu.

- Nie, w porządku. Chcę się zobaczyć z tatą. - Ktoś w środku nacisnął klawisz domofonu. Travis pcha ciężkie drzwi.

To ciekawy budynek: stary, lecz doskonale zakonserwowany. W holu boazerie z jasnego dębu, ładne okna z szybkami w ołowianych ramkach, na podłodze mozaika z kafelków, urocza drewniana winda. Jedziemy w górę bez słowa, tylko Travis szybko przytupuje lewą nogą; czuję, jak serce wali mi w tym samym rytmie.

Gdy David otwiera drzwi, energicznie kiwam głową, jakbym się absolutnie zgadzała z jego opinią na jakiś temat.

- Oto twój syn - mówię, gdy tymczasem Travis znika w głębi znanego sobie mieszkania.

- Wejdz. - David chrząka, wpuszcza mnie do środka. Ma na sobie ciemnoniebieski sweter w serek, mój ulubiony. Skropił się wodą kolońską, którą również dobrze pamiętam.

Kładę na podłodze nylonową torbę Trávisa.

- Ma tu rzeczy na cztery dni - wyjaśniam i w tym momencie czuję żalobne prądy w mózgu. Cztery dni! Aż cztery! Co będę robiła sama? Lydia i Thomas wyjechali na cały tydzień z wizytą do jego siostrzenicy. King na pewno spędzi święto u rodziców. Zostanę sama jak palec po raz pierwszy od... I wtedy sobie przypominam: Rita przyjeżdża w sobotę. Racja - czyli sama zostanę tylko przez dwa dni.

- Chodź zobaczyć mój pokój! - krzyczy Travis z głębi korytarza, a ja zwracam się do Davida z niemą prośbą o zgodę.

Kiwa głową, wskazuje gestem drogę.

Mijam salon, przez otwarte drzwi rzucam szybkie spojrzenie. Porządne meble, biała (!) sofa, nieco współczesnych obrazów na ścianach. Zawsze chciałam mieć białą sofę, ale on stale się wzbraniał. Dlaczego teraz ma taką? Jaka zmiana w nim nastąpiła? Przyjemna sofa, zachęcająca do odpoczynku. Warto by jednak położyć na niej jakiś pled. Albo parę poduszek, by wprowadzić nieco koloru. Na przeciwległej ścianie stoi szafka z aparaturą stereo, która wygląda na Darth Vader. Za to na oknach wąziutkie żaluzje, których nie trawię. No, trochę mi ulżyło.

Pokój Trávisa jest nieduży, ale naprawdę sympatyczny. Piętrowe łóżko zasłane intensywnie czerwoną narzutą. W rogu żółty fotel wypchany ziarnami fasoli, obok czarna lampa. Dużo modeli samolotów zawieszonych pod sufitem. To nić do czyszczenia zębów - zauważam, gdy podchodzę bliżej. No, sprytne. W drugim rogu, na biurku, stoi mały telewizor i przenośny komputer. Aha, i telefon z przezroczystą obudową - taki, jakiego Travis domagał się od dłuższego czasu. Tak, to rzeczywiście miłe wnętrze. Zasłony są w lepszym gatunku niż te, które wiszą w oknach jego pokoju w domu. Dywan też ładniejszy. Zgoda, meble porządniejsze. Ale ukochana zabawka naszego syna - pluszowy miś - jest u nas.

Travis podskakuje, gdy wchodzę do jego pokoju.

- Widzisz? - pokazuje palcem. - Mam piętrowe łóżko.

- Świetnie! - Czy przypadkiem nie dostaję grypy? Czuję się tak, jakby nadchodziła.

- Chcesz na nim usiąść?

- Jasne.

- Na górnym czy na dolnym?

- A które polecasz?

- Pewnie, że górne. No, chodź.

Wspinam się po drabince, podciągam na łóżko, siadam na skraju. Kątem oka dostrzegam Davida, stojącego tuż za progiem. Dlaczego on to robi? Czemu nie wchodzi do pokoju? Czy musi stale podkreślać, że już nie jest częścią rodziny?

Patrzę w dół na Trávisa, widzę jego podekscytowaną minę.

- Ach, jak tu wysoko! - krzyczę do niego.

- Jasne!

- Czy to standardowa wysokość? - pytam Davida.

- Nie obawiaj się, nie spadnie.

- Wcale się tym nie martwiłam - odpowiadam, choć prawda jest taka, że ujrzałam oczami wyobraźni Trávisa leżącego nieruchomo na podłodze, z szyją wykręconą pod jakimś zabójczym kątem.

- Chodźcie, napijemy się kawy - zaprasza David. Oboje z Travisem rozumiemy, co nam chciał przez to zakomunikować.

- Ja raczej zostanę tutaj - oznajmia Travis i włącza telewizor.

W kuchni David odsuwa dla mnie krzesło, dopiero potem sam siada.

- Chcesz kawy?

- Nie - odpowiadam. - Dzięki. - Zakładam nogę na nogę, wytrzeszczam oczy, zmuszam się do uśmiechu. -A więc!

On też się uśmiecha, lekko zażenowany, a ja chciałabym dotknąć jego nadgarstka, by dodać mu otuchy. Ciągle coś do niego czuję. Nadal pragnę się nim opiekować; to odruch. Siedzimy bez słowa. Zza okna słyszać, jak ktoś uruchamia silnik, potem odjeżdża.

- Ja mam się świetnie - mówię w końcu - jeśli to cię interesuje. Naprawdę, daję słowo.

Kiwa głową.

- To dobrze. I jesteś pewna, że wystarcza ci pieniędzy?

- Tak. Nie pamiętasz, że to już omówiliśmy?

- Ale Travis powiedział, że będziecie mieć kolejną współlokatorkę.

- Owszem. Lydia się wyprowadza.

- Och. No, to jej pobyt u ciebie nie trwał długo.

- Jednak nie dlatego, że jej się u mnie nie podobało - tłumaczę. Zbyt szybko.

- Tak, wiem - dorzuca również zbyt pośpiesznie. Znowu zapada cisza. Dzwoni telefon, ale David nie

wstaje, żeby podejść do aparatu. A ja nie mogę podnieść słuchawki. Świadomość tego faktu sprawia, że czuję straszny ucisk w brzuchu. Rozwód jest serią wewnętrznych wstrząsów tektonicznych, które następują jeden po drugim.

- Wiesz, Davidzie, to jest takie...

- Wiem.

- No cóż, najważniejsze jest to, czy uważasz, że Travis jest w dobrej formie.

- Tak, a ty?

- Chyba tak. Chociaż...

- Co?

- Nie jestem pewna. Nic. To znaczy nie wiem już, co mam mu mówić. David, czy mamy go informować o wszystkich drobnych sprawach? Czy... no wiesz, o zasadniczych?

- Co rozumiesz przez „zasadnicze sprawy”? Czy coś się stało?

- Nie, w istocie nic takiego. - Zapragnęłam mu opowiedzieć o rozmowie telefonicznej chłopców z koleżanką, ale dałam temu spokój. Dlaczego?

Znowu dzwoni telefon.

- Odbierz - mówię.

- Słyszę. Mogą się nagrać na automatyczną sekretarkę. „Oni”. Czemu nie powiedział „ona”? Poprawiam się na krześle. Coś boli mnie w plecach.

Na pewno zapalenie płuc, założę się.

- Travis powiedział mi, że miałaś randkę. - Mówiąc to, David patrzy nie na mnie, lecz w okno.

- Owszem. A mnie oświadczył, że masz dziewczynę. Teraz spogląda na mnie z irytacją.

- Tak, chciałem ci o tym wspomnieć. Ale naprawdę nie wiem, co mam więcej powiedzieć.

Nagle moja skóra staje się dla mnie za ciepła. Dłonie, które ściskam, wydają się parzyć. Pewnie mam gorączkę. Czterdzieści jeden stopni z kreskami, albo nawet czterdzieści dwa. Też z kreskami.

- Wiesz, Davidzie, nie czuję się zbyt dobrze. Sądzę, że lepiej pójdę do domu.

- Jesteś chora?

Co za fałszywa troska. Niemal wybucham głośnym śmiechem. Chcę mu powiedzieć, żeby sobie nie zawracał mną głowy. Pragnę walnąć go w twarz. Marzę, aby mnie objął i błagał o przebaczenie, wrócił razem ze mną do

domu i przestał się wygłupiać! Czy nie rozumie, że jeśli dłużej będzie się tak zachowywał, to będzie za późno?

Ale już teraz jest za późno. Za późno.

Wstaję.

- Nie wiem, czy coś mi jest. Ale nawet gdyby się okazało, że zachorowałam, to co z tego? Masz Trávisa u siebie, więc przynajmniej nie będę się musiała o niego martwić. A więc wszystko jest ustalone. Zajmę się sobą. Psychiczenie jestem w porządku, naprawdę. - Zaciągam suwak kurtki, zmuszam się do uśmiechu, choć dostrzegam kątem oka wiszący na drzwiach łazienki jedwabny szlafrok dziewczyny Davida. Jestem pewna, że to jej. Prawdziwy jedwab. I z pewnością pachnie jej perfumami. Oraz zapachem mego męża.

- Ładnie tu u ciebie.

- No, to tylko... na teraz. Sympatyczne mieszkanie. Dzięki.

Zaglądam do pokoju Trávisa, żeby się z nim pożegnać. Dziecko leży na górnym łóżku, słucha taśmy z walkmana.

- Coś się stało? - pyta, ścigając słuchawki.

- Nic! Chciałam ci tylko powiedzieć do widzenia.

- Płakałaś?

- Nie! Jestem tylko zmęczona, wiesz? Pójdę do domu i wezmę sobie długą, pianistą kąpiel, potem przeczytam grubą książkę i zjem duży baton czekoladowy. Myśl

o tym wydaje mi się ekscytująca.

- Jaki baton?

- Zatrzymam się po drodze w sklepie CVS i coś wybiorę.

- Tak, tam mają dużo towaru.

- Może ekstra długiego snickersa...

- E, nieciekawe.

- No cóż. - Całuję go w czubek głowy. - Ja je lubię.

I gdybym go teraz chrupała, na pewno byś chciał, żebym się z tobą podzieliła.

- Tak, ale nadal są nieciekawe.

- Do zobaczenia. Zjedz dużo indyka i koniecznie polej wszystko sosem, nawet borówki.

- Tak zrobię. Mamo? Zrobisz placek z dynią?

- Jasne, że zrobię. Zostawię ci kawałek.

- To świetnie. Możesz zamknąć drzwi, wychodząc? Zamykam, wolno idę holem. Travis nigdy nie spędził

święta Dziękczynienia z dała ode mnie. Ale wydaje się zadowolony. Chyba tak. I sama już nie wiem, czy poczuć z tego powodu ulgę, czy popaść w depresję.

David odprowadza mnie do drzwi wejściowych.

- Dbaj o siebie - rzuca.

- Będę dbała. - Nikt inny tego nie robi. Uchylam drzwi i naraz gwałtownie się odwracam. - Wiesz co, Davidzie? Nadal nie wiem, czego właściwie chciałeś. Po prostu nie mam pojęcia, czego chciałeś.

- Ja... my jesteśmy po prostu różni - mówi łagodnym tonem.

Z trudem przetykam ślinę.

- Posłuchaj, Sam. Chcę, abyś wiedziała, że w tobie nie doszukałem się niczego złego. Ale nasze wspólne życie nie było tym, czego pragnąłem. Niekiedy czułem się tak, jakbym miał w brzuchu stale płonący ogień, domagający się ciągle paliwa. A świeżej podpałki nie było.

Ogień w brzuchu? Ogień w jego trzewiach? Och, nie mogę się doczekać, kiedy powiem Ricie, co on wygadywał. To naprawdę wielkie. Biała sofa i nagła przemiana w Roberta Blya z jego filozofią samca. Bez wątplenia musi być to wpływ jego dziewczyny. Może razem zapisali się na kurs komunikowania się wedle zasad New Age. Każdej nocy trzymają się za ręce i sprawdzają stan emocji, zanim odpłyną w krainę snów, skrupulatnie je zapisując następnego ranka w swoich dzienniczkach i odczytując sobie przy śniadaniu.

Jakby wyczuwając moje myśli, David wzrusza ramionami tym swoim starym gestem znamionującym rezygnację.

- To zabrzmiało dość głupio, zdaję sobie sprawę. Ale



nie wiem, co mam więcej powiedzieć. Chciałem ci przekazać, że zawsze była we mnie jakaś... tęsknota, podczas gdy ty byłaś ze wszystkiego zadowolona. I to doprowadzało mnie do szaleństwa. Nie oskarżam cię, Sam. Nie zrzucam na ciebie winy. Nigdy jednak nie mieliśmy głębokiego związku. To znaczy, ty chyba też nie myślisz, że istniała silna więź?

- Nie!

Uśmiecha się.

- No właśnie.

- Przekaż Travisowi, że może wrócić do domu, kiedy tylko zechce. Pogodnych świąt.

- Wzajemnie - odpowiada i dyskretnie zamyka za mną drzwi.

Idę korytarzem w stronę windy i czuję, że ktoś gotuje jakąś potrawę z curry. (Sąsiadka, wychylając się zza drzwi, z puklem blond włosów spadających na jedno oko: Och, David! Hej! Słyszałam twoje kroki! Chcesz się ze mną czymś podzielić dziś wieczorem? Znowu?). Naciśkam guzik, odczekuję chwilę, po czym pędzę w dół schodami. To, co czuję, przerasta mnie. Muszę być w ruchu, nie stawać, nie czekać. Ciągle... jak to nazwać? Kocham go? Czyżby o to chodziło? Potrzebuję? Chcę?

Brak mi go. Uwielbiam jego wygląd, jego ubiór, jego zapach.

Wsiadam do auta, gapię się we wsteczne lusterko i na ułamek sekundy widzę w nim twarz Veroniki. To wszystko jej wina. Podłoże tego wszystkiego stanowi fakt, że jestem nieodrodną córką swojej matki, zawsze skłonną do wyolbrzymiania drobiazgów, w istocie najbardziej lubiącą zapach świeżo położonej politory i widok wysprzątanej łazienki. Jestem więźniem genów w domowych fartuchach.

To racja, wystarczało mi do szczęścia nasze domowe ognisko. Może na tym polegał mój błąd; powinnam chcieć więcej. Ale nie chciałam. Wiedziałam, że sprawy były dalekie od doskonałości, ale radowałam się siedze-

niem w wiosenne ranki w ogródku, gdy popijając kawę, podziwiałam żonkile, które zasadziliśmy wspólnie z Travisem. Rozmyślałam wówczas, co przyrządzić na kolację. Z radością chodziłam na wywiadówki i przysłuchiwałam się ubranym odświętnie nauczycielom, chwalcącym naszego syna. W każdą sobotę lubiłam zaglądać do sklepu z artykułami żelaznymi i mieszać się z tłumem klientów, tak jak ja ubranych w dzinsy i podkoszulki. A w każdy niedzielny wieczór szykowałam się do oglądania filmu z wypożyczalni wideo, jedząc chińskie dania z kartonowych pojemników, przyniesione z pobliskiej restauracji. Do tego stopnia lubiłam te nasze wieczory, że już w niedzielę rano wstawałam lekko podekscytowana, szykując się w myślach do przyjemności, powtarzanej co siedem dni. Może dlatego robiliśmy stale to samo. Wystarczyło zimą rozpalić w kominku, by przypiec nasadzoną na kijki pańską skórę, latem wyglądać przez okno, by zobaczyć, jak David kosi trawnik, a Travis jeździ w kółko rowerkiem - brudny po łokcie, myślący o niebieskich migdałach. Kiedy rano nakrywałam stół do śniadania i czułam pierwszy zapach świeżo palonej kawy, a potem prostowałam gazetę, którą wrzucono mi zrolowaną do skrzynki pocztowej, i kładłam przy talerzu Davida (dział z komiksami przy miseczce Trávisa), mnie to wystarczało. Co we mnie takiego jest, że wystarcza mi niewiele?

Trzęsą mną dreszcze, przykładam rękę do czoła. Gdzież jest ta gorączka? No gdzie jest ta przeklęta wysoka temperatura? Muszę ją mieć. Muszę ją strasznie mieć, jak by powiedział Travis.

On nadal jest moim synem. Bez względu na to, gdzie w tej chwili przebywa, należy do mnie.

O drugiej po południu w święto Dziękczynienia kartkuję magazyn mody, przyniesiony z drogerii. Kupiłam przy okazji jedenaście innych kolorowych pism, trzy popołudniówki, snickersa, pudełko wisien w czekoladzie, cztery cienie do powiek, trzy szminki, torbę chipsów, płyn do kąpieli, wosk o zapachu kwiatowym do polerowania mebli, wymyślną maszynkę do golenia nóg - bardzo ładna, świetnie pasuje do ręki. No cóż, markowy produkt. Oblizuję wargi i przeglądam pismo, delikatnie ujmując w palce dolny prawy róg. Louise tak oglądała żurnale, a ja siedziałam na sofie obok niej. To był dla mnie królewski rytuał. I proszę, do czego doszłam: cała sterta pism tylko dla mnie. Pomogą mi nie myśleć o Travisie jedzącym obiad świąteczny z Davidem i jego dziewczyną. Przynajmniej trochę mi ulżą.

Większość ubrań w tych żurnalach wygląda jak kiepski żart. A jeśli styl jest w porządku, to cena zawrotna. Napotykam saszetkę perfum - reklama. Rozrywam ją, wcieram jej zawartość w skórę nadgarstka. Nieźle. Kupię je sobie, jeśli w moim życiu kiedykolwiek powróci zwyczaj skrapiania się perfumami.

W piecyku tkwi dziewięciokilogramowy indyk. Ze stereo płynie *Kule i łańcuch* z repertuaru Janis Joplin. Zawsze uwielbiałam tego bluesa. Kiedy należałam do kapeli, chłopaki i ja zbieraliśmy się w piwnicy domu naszego klawiszowca i słuchaliśmy tam płyt przez apar-

ture nagłośniąca. Nie tylko Janis Joplin, lecz i Tholoniusa Mońka, Vivaldiego, Hanka Williama i Keitha Jarretta. Nastawialiśmy płyty Earla „Fathy” Hinesa i standardy Dinah Washington, bluesy Jamesa Browna i Howlin’ Wolfa. Gdy rozglądałam się wtedy wokół, u moich kumpli dostrzegałam częściej napięcie niż zwykłą radość. Wszystkie niuanse tej muzyki widać było na ich twarzach; rytm ujawniał się w marszczeniu brwi, grymasie ust, pulsie na skroni. Palce uderzały o kolana, stopy podskakiwały. Oczy mieli zamknięte; rzekłabym, że robili wrażenie przybyszów z innej planety. Którejś nocy, po koncercie, gdy jedliśmy hamburgery w całodobowej knajpce, chłopaki doszli do wniosku, że z dwojga złego lepiej być ślepym niż głuchym. Ja jedna zaprotestowałam: jeśliby miało dojść do kalectwa, wołałabym widzieć. Ale często, gdy stałam na estradzie i śpiewałam, mnie też unosiły jakieś potężne siły. Czułam się spełniona, nie pragnęłam niczego więcej.

Byłam naprawdę dobra, zapowiadałam się na świetną wokalistkę. Pewnego razu zwrócił się do mnie facet ze znanej agencji wyszukiwania talentów i chciał, abym występowała solo. Zapewnił, że wszystko sfinansuje, łącznie z moją garderobą. - Muszę wziąć ze sobą moją kapelę - odpowiedziałam, a facet się sprzeciwił: - Nie, ich nie potrzebuję. - Wobec tego oświadczyłam, że nie jestem zainteresowana. - Czyś ty oszalała? - zapytał agent. - Załatwię ci kontrakt płytowy! Będiesz w trasie przez sześć miesięcy w roku i gwarantuję ci niezłą kasę! Do dziś pamiętam każdy szczegół naszej rozmowy - siedzimy naprzeciwko siebie na ławach obitych czerwoną skórą w klubie, gdzie graliśmy, on pochyla się w moją stronę. Odsuwa gniewnym gestem szklankę z whisky, podciąga rękawy swetra. Ma kosztowny złoty zegarek. Przystojny, trochę łysiejący, ale ciągle jest na kim oko zatrzymać. A ja się nie zgadzam - odpowiadam mu na ofertę nie do odrzucenia. Facet mruga oczami: - Lepiej się zastanów, bo drugi raz ci tego nie zaproponuję. Czy masz pojęcie, co odrzucasz? - Gapię się

na swoje dłonie, wzruszam ramionami. - Co, pewnie sypiasz z jednym z nich? - Unoszę powieki, zaprzeczam. Ale ma rację. Sypiałam z gitarzystą solowym, miał na imię Stevie. I za nic bym go nie opuściła. Później, gdy mu o tym opowiedziałam, wyzwiał mnie od wariatek. Tym sprawił mi ból. Nie chciałam niczego podpisywać bez ciebie - tłumaczyłam, a Stevie odparł: „Sam, taki kontrakt wziąłbym w jednej chwili”. Na pewno by tak zrobił. A zresztą, był wtedy zainteresowany inną dziewczyną, co wyszło na jaw po kilku tygodniach.

Nigdy więcej nie spotkałam się z podobną ofertą. Występowałam z kapelą, póki nie zaręczyłam się z Davidem, a potem rzuciłam śpiewanie.

Biorę do rąk okładkę płyty, patrzę w oczy Janis. Była geniuszem muzycznym, ale nigdy nie zaznała miłości. Nigdy. Janis stanowiła piękność, która nigdy nie rajcowała facetów. Ważne było, jak odczuwała, a nie jak wyglądała. Chociaż było w niej również surowe piękno. Ale mężczyźni przychodzili i równie szybko odchodzili. Przez cały czas. Przynajmniej doświadczyła cierpienia -nikt nie śpiewał o bólu tak jak ona.

Zerkam za zegarek. Trzeba znowu podlać indyka. Uwielbiam to zajęcie. Ilekroć otwieram klapę piecyka, wyjadam nieco nadzienia. Dziś rano, kiedy ledwie wzeszło słońce, przyrządziłam nadzienie wedle starego przepisu. Najpierw wymoczyłam bułkę we wrzątku, potem ją porwałam palcami, dodając nieco aromatycznych listków szałwii i posiekaną cebulę podduszoną w kostce masła. Następnie wzięłam się do sosu borówkowego, a kiedy był gotów, przelałam go do ciemnoniebieskiej majoliko-wej salaterki, by cieszyć się kontrastem barw. Zajęta gotowaniem rozmyślałam nad dawnymi formami wdzięczności: Indianie dziękujący bóstwom za jelenia, którego upolowali, odmawianie modlitwy przed kolacją, klęczenie przy łóżku przed pójściem na spoczynek. Zastanowiło mnie, że dziękczynienie jest teraz głównie nieobecne w naszym życiu, a przecież jest nam niezbędne, nawet

jeśli przybiera formę przelania sosu z czerwonych borówek do niebieskiej misy.

Upiekłam już pataty, zrobiłam piure z ziemniaków, zieloną fasolkę, zapiekanekę ze szpinaku z pieczarkami i placek z dynią, i jabłecznik z kruszonką. W zamrażalniku umieściłam miskę do bicia śmietanki wraz z trzepaczką, żeby krem dobrze wyszedł.

Wstyd powiedzieć, ale stałam wczoraj długo w supermarkecie i gapiłam się na półkę z przepiórkami. Dopiero po dłuższym czasie oprzytomniałam. No i co z tego, że jestem sama? Co z tego? Spędzę ze sobą miłe chwile, tak właśnie. Jestem zadowolona, że okłamałam matkę, odmawiając przyjścia na obiad, na który oczywiście zaprosiła swoją nową sympatię. Powiedziałam, że obiecałam zajrzeć do sąsiadów.

Polewam indyka, wyjadam trochę nadzienia. Och, świetne. No to skubnę jeszcze raz. I jeszcze.

Wracam do pokoju dziennego, rozciągam się na sofie, zamykam oczy. Zaczynam pojmować, że samotność jest cudownym stanem. Można robić, co się chce! Na przykład i Travis, i David nie znoszą Janis Joplin. A teraz mogę sobie jej słuchać na pełen regulator przez cały boży dzień. I właśnie to czynię. Nastawiam inną jej płytę, przekręcam potencjometr do końca skali. Teraz dopiero rozumiem, dlaczego należało odpowiedzieć dźwiękowcowi za pulpitem „Odpierdol się”, gdy domagał się, żeby nie grać na ful.

Gdy płyta się kończy, idę do jadalni nakryć stół białym lnianym obrusem. Kładę na moim miejscu zastawę od Tiffany'ego, umieszczam świece w świecznikach. A teraz pójdę się przebrać na świąteczny obiad. Znowu zrobię sobie kąpiel, choć wczoraj wieczorem siedziałam w wannie, bezmyślnie przerzucając gazety. Nastawiam Janis, chwytam „Vogue” i idę na górę.

Puszczam ukrop, siadam na brzegu wanny i otwieram pismo. Spostrzegam reklamę: prześliczna modelka pokazuje wspaniałą bieliznę barwy pianistego błękitu, tu pe-

rełka, tam falbanka. Dokładnie przyglądam się dziewczynie. No cóż. Bardzo piękna.

Nie jestem dziewczyną. Jestem kobietą w sile wieku, której ziemia usunęła się spod nóg. Próbuję zachować równowagę w tej nowej sytuacji, ale ciężko mi idzie. Duchy nie odstępują mnie ani z przodu, ani z tyłu. Strzępy dawnego życia. Obrazki ilustrujące to, co było: David podchodzi do drzwi frontowych; właśnie wrócił z pracy. Travis pokazuje mu odrobione lekcje, opierając się o poręcz krzesła. W piątek wieczorem kino, w towarzystwie męża. A moje nowe życie? Przez cały dzień odpycham od siebie ból, a kiedy opuszczam ręce, wchodzi we mnie i rozsiada się w najlepsze.

Rozbieram się i przez dłuższą chwilę przyglądam się sobie w lustrze. Następnie wrzucam pismo do kosza na śmiecie, wchodzę do wanny, opieram głowę na krawędzi, zamykam oczy. Robię wdech, wydech. I jeszcze raz to samo: wdech, wydech. To już nie jest czas, bym mogła wyglądać jak modelka. W tym wieku wypada się zająć czymś innym. Janis śpiewa w pokoju na parterze o tym, że trzeba się bardziej starać.

No dobrze: zorza poranna - błękit z różem. Zapach karmelu z piekarni. Śliskość tkaniny sunącej w moich rękach pod igłę maszyny do szycia. Odpływy i przyływy oceanu, horyzontalne pasemko światła każdego ranka, każdego świtu.

- Hej - mówię do siebie cicho, by usłyszeć dźwięk własnego głosu. Zastygam w bezruchu, dobiega mnie odgłos kropli spływających z kranu. - Hej! - krzyczę. - Jestem tu!

Zaczynam mydlić sobie nogi. I śpiewać - z początku nieśmiało, potem coraz głośniej. Czuję przyływ siły, coś zbliżonego do pożądanego. Ale lepszego. Wreszcie wybucham płaczem. Ale te łzy są inne.

O czwartej po południu zapalam świece, a następnie idę do kuchni, żeby nałożyć na talerz solidną porcję. Wracam do jadalni, siadam na honorowym miejscu przy

stole. Należało do Davida. A teraz jest moje. Chrząkam. Rozkładam serwetkę na kolanach, biorę do rąk widelec i nóż. I robię przerwę. Travis, David i ja zawsze wyliczaliśmy trzy rzeczy, za które jesteśmy wdzięczni Bogu (któregoś roku Travis rzekł: „Puszczanie bąków”), ale nie sądzę, abym miała je teraz wypowiadać sama. Raczej więc odmówię modlitwę, coś na kształt modlitwy.

Pochylam głowę, zamykam oczy.

- Dzięki - odzywam się. - Dzięki Ci. - I po długiej pauzie dodaję: - Wiem, że mogłoby być dużo gorzej. -A potem: - Jeśli istniejesz... jeśli coś istnieje, jak mam nadzieję... No, kimkolwiek jesteś, cokolwiek się stanie, dzięki Ci za Travisa. Za całe dobro, które spotkało mnie w życiu. Nawet teraz.

Otwieram oczy, nakładam sobie kawałek białego mięsa obficie polanego sosem - najlepszym, jaki kiedykolwiek zrobiłam. Potem sięgam po ziemniaki piure. Udały się. Fasolka szparagowa też doskonała. Biorąc solniczkę, przypadkowo trącam kryształowy kielich z wodą. Kryształ wydaje przeczysty dźwięk, który roznosi się po całym wnętrzu.

Idę do salonu, nastawiam radio na stację nadającą muzykę poważną. O to chodzi.

Siadam ponownie przy stole i gapię się w talerz. Właściwie najlepiej mi będzie smakowało, jak wszystko zmieszam. Dlaczego by nie? Któż mnie obserwuje? Czy nie jest to jeszcze jedna przyjemność wynikająca z samotności? Robię packę, próbuję jej. Świetna, ale nie mogę na nią patrzeć. Jadło dla pokreconych. Albo jak z ogrodu zoologicznego.

W kuchni wyrzucam zawartość talerza do śmieci. Teraz mogę zacząć od początku. Z powrotem nakładam sobie na talerz kopiastą porcję, zanoszę do stołu i dziobię widelcem. Rozglądam się po jadalni.

Ona jest dla mnie zbyt wielka.

Zanoszę wszystko do stołu w kuchni. O, dużo lepiej. Biorę do ust kolejny kęs i uprzytamniam sobie, że jestem po prostu nażarta. Ile razy kosztowałam nadzieję? Głę-



boko oddycham i rozpinam guzik odświętnej bluzki, która zrobiła się za ciasna. Zmuszam się do następnego kęsa, ale nic z tego. Nie jestem głodna.

Przebieram się w dzinsy i sprzątam, co zajmuje mi sporo czasu. Zwłaszcza blacha do pieczenia indyka. Zmywania po uczcie Dziękczynienia nie należy robić samotnie. Powinna mu towarzyszyć grupa gości, paplających trzy po trzy - krewnych, którzy znają się od zarania dziejów, mężów i żon, którzy przepadają za swoim towarzystwem, starych przyjaciół, nowych przyjaciół. Kogokolwiek. Lepiej by było, gdybym zjadła świąteczny obiad z matką i jej durnym facetem.

Zostało mi sporo resztek. Wystarczy ich na jakieś trzydzieści osób. Z trudem wpycham je do lodówki. W końcu nawet nie ubiłam śmietanki. Po co? Nie mam ochoty na skosztowanie żadnego z placków, które upiekłam. Widzę, jak stoją rzędem na blacie kuchennym, robiąc do siebie miny. Eee, lepiej wyjdę na spacer.

W telewizji nie ma nic. Bruce Springsteen ma stuprocentową rację; pięćdziesiąt siedem kanałów i nic do obejrzenia. Pięćdziesiąt siedem? A może sześćdziesiąt siedem? Równie dobrze mogłoby być sześćset siedem i nadal nie byłoby czego oglądać. Gaszę telewizor i zerkam na zegarek. Wpół do dziewiątej. Chyba pójdę do łóżka. Zanim się umyję i zetrę makijaż, będzie dziewiąta.

Nie chce mi się czytać. Wczoraj wieczorem skończyłam powieść i kiedy doszłam do ostatniej strony, zapatrzyłam się na zdjęcie autorki na tylnej okładce, i poczułam ochotę, by do niej zatelefonować i powiedzieć: „Naprawdę podobała mi się twoja książka. Tu jest napisane, że mieszkasz z dwiema córkami. Czy to znaczy, że też jesteś rozwiedziona?”.

Mogłabym zadzwonić do Rity. Ale po co ma mi rosnąć rachunek? Za parę dni się zobaczymy. A poza tym Rita jest na pewno zajęta, bo założę się, że je obiad w towarzystwie

czterdziestu kalifornijskich typów o łagodnych manierach. Każdy z nich jest twórcą, nosi ultranowoczesną biżuterię, hołduje zdrowej żywności i sący wino z Napa Valley, cholernie dumny z miejscowego trunku. Nie znoszę jeść w asyście kalifornijczyków, kiedy oni nie są u siebie. Przez cały czas chwalą się wyższością swoich produktów rolnych, jakby to było ich osobistą zasługą, a tymczasem jedyne, co robią, to podjeżdżają na schludny parking supermarketu swoimi nieprzerdzewiałymi kalifornijskimi kabrioletami i napełniają je owocami awokado. Kiedy jedzą w restauracjach poza swoim stanem, stale powtarzają: Bo w Kalifornii... - i to tak głośno, żeby wszyscy naokoło słyszeli, dowartościowując się tym adresem przed kelnerem i pozostałymi gośćmi. I dlaczego? Bez względu na porę roku ta banda darmozjadów snuje się u siebie z przejawami takiej błogości, że z furii ma się ochotę ukręcić im łby. Wszyscy są tam szczęśliwi. Zadzwoń pod numer informacji, a usłyszysz jakiś zachwycony głos, dający ci do zrozumienia, że życie w Kalifornii jest cudowne, że praca w Kalifornii to raj. Kogo to obchodzi? Kto chce tam mieszkać? Może ja.

Wzdycham, mocniej opieram się na krześle, zamykam oczy. Jak to się stało, że Rita dostała w prezencie od losu takie dobre życie, a ja takie parszywe? Jak to jest, że ona nigdy nie odgarniała śniegu i ma etui na książeczkę czekową z prawdziwego zamszu? Na czym to polega, że mąż Rity ją uwielbia, patrzy na nią z zachwytem i śmieje się z jej dowcipów? Któregoś razu, kiedy do nich pojechałam, szliśmy jedną ze spadzistych ulic San Francisco. Lawrence odwrócił się z nienacka i pocałował Ritę prosto w usta. Następnie spojrzał na mnie i rzekł: „Kocham moją żonę!” - A ja na to odparłam: - „To widać” - czując w żołądku ssanie, bo wiedziałam, że David nigdy by czegoś takiego nie zrobił, a co gorsza, byłby przeciwny takiemu zachowaniu. Na coś takiego jest odpowiedni czas i miejsce - wyjaśniłby sucho.

Jak to się stało, że Rita jest producentem telewizyjnym - twórczą, dobrze płatną i szanowaną osobą, gdy

tymczasem jedynym ujściem moich zdolności jest klops, a miejscem zamieszkania - pieprzony dom na prowincji? Przychodzi mi do głowy, żeby zajrzeć do maturalnej księgi pamiątkowej. Zadzwońię po kolei do kolegów i zapytam: „Pragnę tylko zaspokoić ciekawość. Odpowiedz, jak ci się wiedzie?”. Może ktoś wylądował w więzieniu, wtedy bym się trochę lepiej poczuła.

Biorę do ręki katalog Marthy Stewart, wykręcam numer z kierunkowym 800 i pytam kobietę po tamtej stronie, czy mogłaby mi podać telefon Marthy. Ona odpowiada, że przykro jej, ale to niemożliwe.

- Mam ochotę z nią pogadać - ciągnę. - Muszę z nią omówić parę spraw. Osobistych.

- Przykro mi, proszę pani.

- Chodziłam z nią do szkoły - łzę. - Przyjaźniłyśmy się ze sobą. Ale straciłyśmy się z oczu.

- Nie mam jej numeru domowego - upiera się baba. - Nie mogłabym go pani podać, nawet gdybym chciała. Czy pani chce zamówić coś z katalogu?

- Zastanawiam się... czy mogłaby pani wziąć mój numer i poprosić, żeby do mnie oddzwoniła?

- Jasne. Proszę go podać. Dyktuję jej, po czym pytam:

- Na pewno pani nie zanotowała, prawda?

- Ależ nie, zapisałam. Już to widzę.

- To smutne, że musi pani pracować w święto Dziękczynienia - rzucam.

- O, mnie to nie przeszkadza.

- Czy pani została poinstruowana, żeby tak odpowiadać?

- Nie, naprawdę nie robi mi różnicy.

- Bo pani wie, co ludzie rozpowiadają o Marcie, jaka ona jest upierdliwa.

- Czy pani pragnie coś zamówić z katalogu?

- Niech pomyślę - mówię, kartkując księgę. - Czy pani zdaniem jest tu coś super?

- Zaproponuję pani coś - odpowiada tamta. - Niech pani przejrzy katalog w skupieniu i zatelefonuje potem, dobrze?

Rzucam słuchawkę, ciskam katalog w kąt i patrzę na zegarek. Minęło pięć minut. Świetnie. Idę spać.

Na górze przysiadam z ponurą miną na brzegu łóżka. Może powinnam się trochę pomasturbować. Problem, jeden z wielu, polega jednak na tym, że od dawna nie czułam na sobie dotyku mężczyzny. To okropne. Słyszałam o pewnej kobiecie, która się rozwiodła i przez trzy lata żyła w celibacie. Chodziła do masażystki, żeby zaznać dotyku, i któregoś razu wybuchnęła płaczem, prosząc ją: „Czy nie mogłabym pani szepnąć «Kocham cię»?”. Najgorsze w tym wszystkim było to, że masażystka komuś to powtórzyła, a ten ktoś powiedział innym.

No cóż, miłość z samą sobą. To całkiem bezpieczne. Mam mnóstwo czasu, a jakże. I jestem sama, a jakże. I to wcale nie jest grzech, naprawdę żaden grzech.

Zasuwam story i zastanawiam się, jak zrobić to w ekscytujący sposób. Może włożę na siebie jeden z tych negliży, które wspomagały erekcję Davida? A czemu nie? Leżą pod skarpetkami w szufladzie. Jeśli nie będę ich nosiła, oddam do Armii Zbawienia. Dopiero by mieli radochę, wyjmując je z kosza! „Hej, popatrz na to! - krzyknąłby facio ubrany w bluzę z kapturem, wyciągając moje małżeńskie koronki. A drugi, starszy, odpowiedziałby: „Taaa, ciągle dostajemy takie gówno. Wycień to na dolara i ćwiartkę, dolara pięćdziesiąt, wszystko jedno”.

Nie, to nie jest myślenie erotyczne. Powinnam się skupić na seksie. Przewracam rzeczy w szufladzie, znajduję czerwoną koszulę nocną z wielkim dekoltem, rozciętą z boku aż po półdupek. Szybko się rozbieram, wciągam koszulę przez głowę i wskakuję do łóżka. Dygoczę z zimna. Ta cholerna koszula nie daje żadnego ciepła! Niby dlaczego nie mogę się masturbować we

flanelowej pizamie? Nie, w ten sposób nie można, czułabym się tak, jakbym się kochała z jakimś prostakiem. Moja koszulka jest seksowna. Muszę tylko odrobinę odczekać. Zaraz się rozgrzeję. Zamykam oczy, drzę, rozcieram ramiona. No, trochę lepiej. Otwieram oczy i gapię się na własny biust.

Jak się macie, starowiny. Sflaczałe bliźniaczki. Siadam, podpieram je z boków ramionami. No, lepiej. Wkładam rękę przez dekolt, masuję je łagodnie. Nic. Przez głowę przelatuje mi myśl - jakiś przepis, widziałam go kątem oka w supermarkecie. Zapiekanica, ładnie wyglądała na zdjęciu. Potrzeba na nią szpinaku, sera feta, ryżu i... cytryny? Czy dobrze pamiętam?

Nie, żadnych przepisów. O czym mam więc myśleć? O mężczyznach, jasne, że o nich. Wyobrażam sobie nagiego mężczyznę. Tylko nie David a. Kogoś nowego, kogo nawet nie znam. O, już go sobie uzmysławiam - ładna pierś, piękne, muskularne ramiona, O, a tutaj widzę ten obrzydliwy aparacik, wisi mu w kroku. Wstręt mnie ogarnia, gdy na niego patrzę, kobiece ciała są dużo ładniejsze. Te wisiory w wiadomym miejscu. Żyłasty penis, który wije się w powietrzu, gdy powstaje na baczność. I te pomarszczone jądra, które kolebią się w dłoni jak bańki mydlane. Muszę powiedzieć, że samo słowo „jądra” jest po prostu obrzydliwe. Klitoris - to ładne słowo. Brzmi jak nazwa kwiatu. Albo jak imię ciotki, która przyjeżdża z Anglii z pudełeczkami kruchych ciasteczek i szpulkami ozdobnych wstążek.

Wróć. Skup się. Żadnych jaj. Wyobraź sobie innego mężczyznę, w kąpielówkach. Niebieskich albo - jeszcze lepiej - turkusowych. Śliczne oczy, potężna klata, piękne plecy. Cudowne, cudowne ręce. Zamykam oczy, głaszczę piersi. Nic!

Otwieram oczy, z niesmakiem spuszczam ramię, żeby przyjrzeć się mojej pierś i znowu biorę się do masowania. Mocno, mocniej. Nic. A do cholery z tym wszystkim! Wciągamy na siebie dzinsy, schodzę na dół do pokoju

dziennego i skaczę po kanałach, żeby znaleźć następny odcinek *Tata wie najlepiej*.

O dziesiątej czuję głód. Nie mam jednak ochoty jeść w samotności. Nakręcam numer Kinga. Podnosi słuchawkę po pierwszym dzwonku.

- To ja, Sam - mówię. - To ty jesteś w domu!
- Taaa, właśnie wszedłem.
- Czy przyniosłeś ze sobą smaczne resztki?
- Co proszę?
- No, czy wziąłeś ze sobą resztki? Indyka? Długa cisza, a potem:
- Nie. - A później. - Och! To dziś jest święto Dziękczynienia!
- No... tak. Nie byłeś na obiedzie?
- Byłem. W Taco Bell.
- O, King, jaka szkoda, że nie wiedziałam. Zaprosiłabym cię do siebie.
- W porządku. Nie lubię być na proszonym obiedzie z mnóstwem gości. Nawet nie wiem, dlaczego. Nie przychodzi mi to do głowy nawet w okresie świątecznym. Zajmuję się czymś i...
- Ależ byłam sama! Byłbyś tylko ze mną.
- Och! Dlaczego nie zatelefonowałaś?
- Byłam przekonana, że poszedłeś do rodziców. Albo gdzieś indziej.
- Zostało ci coś?
- Boże, King! Przyjdź, dobrze?
- Daj mi dziesięć minut. - Natychmiast odkłada słuchawkę, rozlega się ciągły ton. W tej chwili najśłodszy dźwięk dla moich uszu.

W piątek wieczorem myję zęby przed pójściem do łóżka. I nagle wybucham płaczem. W odruchu trwogi chcę się odwrócić, żeby sprawdzić, kto jest tego sprawcą. Ale przecież robię to sobie sama. Próbuję zignorować rozpacz, ze szczoteczką w ustach cofam się do holu, idę parę kroków. Łzy jednak nie ustają i kiedy wracam do łazienki, żeby wypluć pastę, mieszają się ze śliną i spływają do umywalki. To takie niewłaściwe. Kalanie świętości. Mogłabym przynajmniej oddzielić cierpienie od pospolitej czynności.

- Pogódź się ze swoim bólem - poradziła mi kiedyś pewna kobieta, gdy byłam jeszcze na studiach. - Ucz się od niego. On sprawi, że staniesz się silniejsza. - Już nie pamiętam, co mnie wtedy dręczyło. Nie wiedziałam, że to, co mnie teraz spotyka, wywoła tyle cierpienia. I sądzę, że nigdy nie pozbędę się bólu. Niektóre przeżycia robią z człowieka psychiczną kalekę; to właśnie jedno z nich.

Schodzę do kuchni, otwieram lodówkę, zamykam. Zaglądam do salonu, włączam telewizor, wyłączam. Podchodzę do regału, żeby zobaczyć, jakie mam kasety wideo. Dużo filmów o Bożym Narodzeniu. Mnóstwo Disneya dla małego Trávisa. A tutaj są normalne filmy -dla Davida, Trávisa i dla mnie. Wyciągam jedną z kaset, po chwili odkładam ją na półkę. Ale wreszcie biorę ją, owijam się kocem i oglądam. Kiedyś, gdy Travis miał

osiem miesięcy, wybuchnęłam śmiechem, widząc, jak pełza po podłodze w kuchni z rogalem w ręczce.

- Och, popatrz na jego minę! - krzyczę głośno, przypominając sobie tę scenę. Krzyczę do Davida. Nie, właściwie do nikogo.



Rita siedzi przy kuchennym stole, nogi w rajstopach położyła na oparciu krzesła.

- Nie wiem, o czym mówisz - powiada. - Ja widzę masę świetnych ogłoszeń drobnych! Sama miałabym ochotę się umówić. - Przegląda grube pismo, które znalazłyśmy w lodziarni. Uprzedzałam ją, żeby nie zwracała sobie głowy, bo nic ciekawego nie znajdzie. To takie smutne - oglądać ogłoszenia ludzi, którzy reklamują siebie jak używane samochody. A mimo to coraz częściej zaglądam do takich publikacji.

Jest niedzielne popołudnie. Topię masło do prażonej kukurydzy. A potem obejrzymy pornosa, którego Rita zamówiła z ogłoszenia w piśmie kobiecym. Nosi tytuł *Jedwabne noce*, Boże, zlituj się. Moja przyjaciółka powiedziała, że nie mogła się powstrzymać - Ten film jest zrobiony przez kobiety dla kobiet - zakomunikowała mi - więc na pewno nie będzie w nim żadnych wytrysków jak z Wezuwiusza, co tak bardzo kochają chłopcy. - Czekala aż do przyjazdu tutaj, żeby obejrzeć pornosa ze mną. Dziś King przychodzi na kolację.

- O, tu jest następne dobre. - Rita unosi głowę znad pisemka.

- Przeczytaj na głos.

- No to słuchaj: „Mam czterdzieści pięć lat, bardzo dobrą prezencję, jestem niezależny finansowo, szukam

kogoś, kto tak jak ja interesuje się Bachem i sójkami. Lubię tańce towarzyskie, gotuję wykwintne potrawy, uwielbiam teatr, przejażdżki za miasto, antyki, i szczerze rozmowy. Bądźmy wobec siebie ostrożni, zaczynajmy powoli, a zobaczymy, do czego to doprowadzi". - Patrzy na mnie. - To znaczy, trochę naiwne, ale... miłe. No, co tam dalej mają...

Obserwuję, jak Rita przegląda szpalty, szarpiąc mimochodem kołnierzyk u bluzy. Jak to dobrze, że przyjechała. Jej obecność pozwala mi pamiętać, kim jestem, to, że w ogóle jestem. W ciągu ostatnich dwóch dni uśmiełam się więcej niż w ciągu minionego roku. A śmiech ma moc ozdrowieńczą.

- Naprawdę to mi się podoba - odzywa się znowu Rita. - Słuchaj uważnie: „Czy nie czujesz się dziwnie, gdy to czytasz? Ja, pisząc to, z pewnością czuję się dziwnie. Szukam uczciwej osoby - kogoś, kto wie, co to zaufanie i odpowiedzialność, ma świadomość wrażliwości partnera. Wygląd i wiek nie mają znaczenia, ważna jest dusza".

- Daj mi to! - krzyczę i wrywam Ricie pisemko. - Wczytuję się w ogłoszenie, żując kukurydzę, którą wsypałam do ust. - Niesłychane! - Przewracam stronę, rzucam okiem na dalsze ogłoszenia. - Coś podobnego, są całkiem atrakcyjne! - Wszystkie je przeczytam. Wreszcie, tknięta jakimś przecuciem, wracam do początku kolumny ogłoszeń. Zauważam tytuł rubryki złożony wytłuszczonym drukiem. - Och! - wrywa mi się z gardła i wręczam pisemko Ricie.

Mruży oczy, wpatrując się w tytuł: „MĘŻCZYŹNI SZUKAJĄ MĘŻCZYŹN". No tak. Nic dziwnego. Dobrze, popatrzmy, jakie mamy opcje w dziale MĘŻCZYŹNI SZUKAJĄ KOBIET.

Polewam kukurydzę masłem, mieszam ją rękami, sykam, dotykając rozgrzanego ziarna.

- Powiem ci, co oni tam ogłaszają. Piszą na przykład tak: „Jestem zwyczajnym dupkiem rozglądającym się za

nadzwyczajną kobietą, by móc być dla niej podły. Musi być piękna i sprzątać po mnie".

- Taaa... - mruczy Rita. - Pewnie masz rację. -Zamyka pisemko, odsuwa je od siebie. - No więc zapomnij o chłopach. Nie są ci potrzebni. Zajmij się ogrodem.

- Jest zbyt zimno.

- Na razie zamów kilka katalogów, zacznij planować. Tylko, broń Boże, nie idź do terapeuty.

Siadam przy stole, stawiam między nami misę z popcornem.

- Mówisz jak moja matka. Właściwie dlaczego miałabym nie pójść?

- Och, wiem, wszyscy chodzą. Ale zapewniam cię, że to strata czasu, chyba że jesteś psychiczna. Lepiej przeznaczyć pieniądze na jakiś inny cel. Każdego tygodnia wydaj na siebie paręset dolców, ale za każdym razem na co innego. Mam znajomą, która rzuciła terapię i tak właśnie robi. Któregoś tygodnia kupiła pisma za stówę i przytaszczyła je do poczekalni w szpitalu, bo kiedy tam kiedyś była, nie znalazła nic prócz „Tygodnia Biznesowego” i „Mechaniki Popularnej”. A następnym razem wydała stówę na szminki do ust.

- Ale mi sztuka! Pewnie dostała za tę sumę dwa etui.

- Nie, poszła do taniego supermarketu, mogła więc wybierać garściami. Opowiedziała mi, że wreszcie wypróbowała ostry koral, który zawsze za nią chodził, ale przedtem obawiała się go kupić. A teraz stale go używa, i świetnie jej w tym. A teraz uważaj: pewnego razu zrobiła naprawdę super rzecz: rozmieniła setkę na czterysta ćwierć-dolarówek i zostawiła ją przy automacie, gdzie można dostać piłeczki gumowe, pierścionki z drutu i inne głupstwa - no wiesz, takie prezenciki. I tę masę monet położyła w koszyczku z napisem: „Weź sobie jedną”.

- To dość głupie. Pewnie ktoś zaraz podszedł i zgarnął całą forszę.

- Nie! To właśnie było terapeutyczne. Stała obok przez dłuższy czas i patrzyła, jak podbiegały dzieci, brały po ćwierćdolarówce i odchodziły, zostawiając resztę

monet. Wyobrażasz sobie? Moja znajoma oświadczyła, że to całkowicie odmieniło jej pogląd na życie, przywróciło jej wiarę w ludzi.

- Rita, ja nawet przez chwilę nie myślałam o wizycie u terapeuty. Ale gdy słyszę, że tak gwałtownie jesteś temu przeciwna, nabieram ochoty.

- To raczej obejrzyjmy ten film - kończy sprzeczkę moja przyjaciółka.

Biorę misę z kukurydzą i idę za Ritą do salonu. Patrzę, jak się schyla, żeby wsunąć kasetę do odtwarzacza wideo, a potem przesuwam fotel. Obie zdejmujemy nasze okulary dla dalekowidzów. W takich razach ona zawsze powtarza: Nie założę ich z powrotem, póki nie nadejdzie policja okulistyka.

Dobrze jest widzieć adidasy Rity ciśnięte w kąt, jej płaszcz wiszący w garderobie i mieć pewność, że mogę bez pytania szperać w jej torebce, a nawet wypytywać o każdy drobiazg, który mnie tam zaintryguje. Rita też może zrobić inspekcję mojej torby. Nagle własne życie wydaje mi się całkiem interesujące. „To Travis, zeszłego lata” - powiem, gdy Rita wyciągnie z mego portfela jego zdjęcie. I będę patrzyła przez jej ramię na zdjęcie, uprzytamniając sobie, jaki miał wtedy podkoszulek, w jakim był dokładnie wieku, zamiast mieszać daty i gapić się na zdjęcie jak matka-posiadaczka. Nic dziwnego, że dziecko jest zrozpaczone moim zachowaniem. Będzie nade mną stał w butach już męskiego rozmiaru i sprzeczał się, słusznie, o prawo do późniejszego pójścia do łóżka. A ja będę patrzyła, jak siedzi w swoim fotelu, czytając *Dobranoc, Księżycu*. Tylko trzyma książkę do góry nogami.

- To nie chce wejść - skarży się Rita, wpychając kasetę w szczelinę. A kiedy wchodzi gładko, dodaje: - Och, mniejsza z tym. Wreszcie się udało. - Odwraca się, robi minę. - Teraz wiem, co czuje facet.

- Gdy ma zbyt wielkiego - mruczę z ustami pełnymi kukurydzy.

- Chcę cię po prostu wprowadzić w odpowiedni na

strój przed seansem. - Rita podchodzi do okna, zaciąga zasłony. Popołudniowe promyki słońca padają na końce jej spalonych trwałą włosów. To naprawdę okropna trwała, przypomina mi produkty z lat pięćdziesiątych, z serii „Zrób to sam”. Włosy po tamtym zabiegu wyglądały tak, jakby się miało wypadek z prądem. Rita zakomunikowała mi, że rozważa wniesienie sprawy przeciwko salonowi fryzjerskiemu. Przybyło jej na wadze, ale wciąż jest piękna, a na dodatek seksowna. Teraz zapada się w fotel Davida, ustawia go w pozycji leżącej i naciska klawisz pilota. „Zapnij pasy” - rzuca do mnie.

Film zaczyna się od sceny przedstawiającej kobietę w ogrodzie. Płatki kwiatów płyną na wietrze. Kamera tak długo je pokazuje, że obie z Ritą patrzymy na siebie i wybuchamy śmiechem.

- Czy to Mozart? - pytam.

Rita kiwa głową, wyraźnie zniesmaczona.

- Przejeżdż szybko do przodu - mówię i Rita wykonuje moje polecenie. Oglądamy teraz scenę, w której mężczyzna ubrany w dżinsy i flanelową koszulę rozpina białą bluzkę naszej heroiny.

- Stop! - krzyczę. Rita zerka na mnie. - Ja wiem!

I obie gapimy się na film, jedząc popcorn, zlizując sól i masło z palców, oglądając sceny, w których jedna natura ludzka styka się z drugą. Kiedy mężczyzna i kobieta na zmianę wydają z siebie jęki, zmierzając do nieuniknionego końca, słyszę pukanie. Po chwili drzwi się uchylają.

- Szybko, szybko! - rzucam zduszonym szeptem. Rita naciska guzik, film znika z ekranu, pojawia się na

nim mecz futbolowy, a wtedy do pokoju wkracza King.

- Hej! - odzywa się. - Czy przeszedłem za wcześnie? I widząc mecz, pyta: - Och, wy oglądacie Patriotów?

- Kogo? - pytam zaskoczona.

Po kolacji siedzimy we trójkę w salonie. Travis poszedł do siebie i gada przez telefon. Ostatnio bardzo go to

wciągnęło. Pewnie niedługo będę mu musiała założyć osobną linię. I własną sekretarkę osobistą z nagrany jego głosem.

Rozmawiamy o Davidzie, o tym, dlaczego wyszłam za niego za męża.

- O, ona wszystko zrobiła zbyt szybko - mówi Rita. - Spanikowała i przyjęła pierwszego, który się jej oświadczył, bo się bała, że nikt lepszy się nie trafi.

Wolałabym wprawdzie, żeby Rita nie nadawała komunikatów na ten temat, ale tym, co naprawdę cenię w mojej przyjaciółce, jest jej szczerłość; trzeba ją lubić z wszystkimi wadami i zaletami.

- Ale to ja mu się pierwsza oświadczyłam. Rita zastyga z kieliszkiem w ręku.

- Naprawdę?

- No, to znaczy, rozmawialiśmy o tym. Ja byłam tą, która... no wiesz, formalnie o to zapytałam.

- O Chryste! - krzyczy Rita. - Tego nie wiedziałam!

- I co z tego? - odpowiadam. - Co się takiego stało? Oboje to omawialiśmy.

- Widzisz, King - powiada Rita. - Musiałam stać i patrzeć, jak ona rujnowała sobie życie. Była cholernie uparta, świecąc mi tym pierścieniem w oczy. Próbowałam to jej wyperswadować.

- Nic takiego nie zrobiłaś - wtrącam. - Szkoda.

- Ależ starałam się, przynajmniej z początku. Sądziłam, że nawet docierało to do ciebie. W końcu jednak się poddałam. Patrzyłam z trwogą jak... zstępujesz w otchłań.

- Teraz natomiast się wynurzam. - Mówiąc to, zastanawiam się, czy naprawdę w to wierzę. Może tak.

- Ona nawet z nikim przedtem nie spała. Ona nie...

- Nic podobnego - bronię się. - Przed Davidem spałam z dziewięcioma chłopakami.

Rita kręci głową.

- Czy możesz sobie wyobrazić, King? Na początku lat siedemdziesiątych? Z dziewięcioma facetami?

- Nie uważam, aby było aż tak źle - odpowiadam. -A z iloma ty spałaś?

- Ja? Boże, musiałabym sięgnąć po kalkulator. Zaraz, zaraz. - Siada głębiej, zastanawia się. - Musiało ich być... no powiedzmy... koło pięćdziesięciu.

- Chryste! - wykrzykuję.

- Ależ to było normalne! Co ty o tym myślisz, King? Dla kobiety? Bo faceci mieli dużo wyższe wyniki. Dla chłopca normą było chyba ze sto pięćdziesiąt dziewczyn. Z iloma kobietami spałeś na początku lat siedemdziesiątych? Jeśli mogę cię o to zapytać?

- Na początku lat siedemdziesiątych? - King się upewnia. - Z jedną. Tylko raz.

- Och - wrywa się Ricie. - No tak. Ale ty... ty musisz być od nas młodszy o parę lat. Więc, powiedzmy, pod koniec lat siedemdziesiątych. A wtedy z iloma kobietami się przespałeś?

- Z żadną.

Zapada grobowa cisza, po czym King dodaje:

- W latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych też z żadną.

- Zaraz, czy chcesz przez to powiedzieć... - bąkam.

- Nie jestem pedałem.

- Raz? - upewnia się Rita, a ja z trudem się wstrzymuję, żeby jej nie walnąć. - Ho ho! To właściwie jesteś dziewicą!

King wzrusza ramionami.

- Rita - mówię ostrzegawczo.

- Mnie to nie przeszkadza - wyjaśnia King.

Cisza aż dzwoni w uszach. W końcu słyszę jego głos:

- A więc, Rito, gdzie dokładnie mieszkasz w dolinie Mili Valley?

- Wprost nie mogę uwierzyć - odzywa się Rita po wyjściu Kinga. Zmywamy w kuchni kieliszki po winie. -Czy znałaś faceta, który nie robiłby tego miliony razy? To znaczy, mówiąc w zaokrągleniu, ale...

- Myślę, że postawiłaś go w niezręcznej sytuacji.  
- Wcale tak nie uważam. On sam powiedział, że mu to nie przeszkadza.

- Może po prostu był uprzejmy.

- Nie, to nie to.

- Skąd wiesz? Przecież go nie znasz.

Płuczę ostatni kieliszek, zaczynam czyścić zlew. Rita siedzi na brzegu stołu, obserwuje mnie.

- No to przepraszam - oznajmia mi. - Choć naprawdę nie wiem, dlaczego tłumaczę się przed tobą.

- Ja też nie wiem. To raczej jemu należą się przeprosiny.

- Ale ja nie myślę, żeby on czuł się urażony. Sam! Nie zauważyłam, by był zażenowany. To ty tak gwałtownie zareagowałaś. Dlaczego?

- No, może w jego imieniu. To znaczy, on powinien się być obrazić. Tyś się tak zachowywała, jakby był zboczony czy coś w tym rodzaju!

- Nic podobnego. Moja reakcja była właściwa po wysłuchaniu takiego niecodziennego wyznania. Bo ono jest niezwykle!

Wycieram mokrą szmatką drzwiczki zmywarki, płuczę gąbkę, poleruję blat. Ile dni zostało do jej wyjazdu?

- Jesteś taka wściekła! - odzywa się Rita.

- Nie, nie jestem!

- Ależ jesteś. Dlaczego jesteś tak cholernie zła? Przerywam porządki, wyprostowuję się.

- Nie wiem.

Mija długa chwila. Wreszcie Rita pyta łagodnym tonem:

- To znaczy, powiedz jasno: czy przypadkiem nie masz na niego ochoty? No wiesz, nauczyć go paru rzeczy? Tak, kochana, tu cię mam.

Coś we mnie pęka i wybucham śmiechem, wracając do czyszczenia blatu. Następnie biorę się do kuchenki.



- Nie.
- Naprawdę?
- Nie! Kto by chciał się wystawić na taką... niezdarność?

Rita kręci głową.

- Ja bym nie odmówiła. Dałoby mi to poczucie mocy.

- No cóż, zostało ci jeszcze pięć dni. Może ci się uda -komentuję. Zawzięcie skrobię druciakiem brud, który nigdy nie dawał się usunąć. I dobrze o tym wiem.

20

Poniedziałek rano. Podczas śniadania wszystkie miejsca przy stole kuchennym są zajęte. Lydia i Rita jedzą racuchy z jagodami, a Travis i ja smażyjemy dalsze.

- Dlaczego nie pozwolisz mi dokończyć? - zapytuje Rita. - Musisz pospieszyć się do pracy.

- Nie ma sprawy - odpowiadam. - Mam jeszcze trochę czasu. - Podrzucam racuch, który opada na patelnię drugą stroną. Jest doskonały.

- Daj spokój - ciągnie Rita, podchodząc do kuchenki. - Pękam w szwach. Teraz ty zjedz. - Wyjmuje mi łyżkę z ręki.

Idę do stołu, nalewam sobie trochę soku pomarańczowego.

- Przepraszam, że muszę dziś pracować przez cały dzień.

- Mnie to nie przeszkadza - odpowiada moja przyjaciółka. - Niczego nie potrzebuję. Chcę po prostu poczytać sobie, odpocząć. Może gdzieś wyjdziemy z Lydią.

- Ja dziś mam w planie wycieczkę do muzeum. Ale możesz się dołączyć - wyjaśnia Lydia.

- Możesz pójść ze mną do szkoły - wtrąca Travis. -Albo pójść zamiast mnie.

- Nie, dzięki. Nie znoszę matmy - odpowiada Rita.

- A ja angielskiego.

- Taaa, tego też nie trawiłam.

- Naprawdę? - dziwi się Travis.

- No! Nienawidziłam wszystkich lekcji prócz gimnastyki.

- Ja też! - wykrzykuje Travis.

No tak, zostają dożywotnimi kumplami. Dziś wieczorem mój syn poprosi, abym porozmawiała z nim na osobności i zapyta, czy mógłby przenieść się na zawsze do Rity, która nigdy nie będzie go zmuszała do odrabiania lekcji i pozwoli mu mieć domek na drzewie. Gorzej, zgodzi się, żeby go sam zbudował za pomocą narzędzi, które mu kupi, łącznie z piłą tarczową, jaką ujrzał parę dni temu w sklepie Searsa i spędził dobre dwadzieścia minut na dokładnym jej oglądaniu. Ja tymczasem stałam w sąsiednim butikiu z bielizną i zastanawiałam się, które majtki z trzystu tysięcy par będą na mnie dobrze leżeć.

- Kupisz mi to? - zapytał, gdy wreszcie po niego przyszłam.

- A co to jest?

- Piła tarczowa.

- Po co ci ona?

Travis wznosił oczy ku niebu, a następnie spojrzał na klienta obok, szukając w jego wzroku współczucia. Tamten stał nieruchomo, miłosnym wzrokiem ogarniając wiertła elektryczne. Zdążyłam spojrzeć na cenę, zanim odmówiłam synowi kupna piły.

Zerkam na zegarek, szybko kończę z racuchami.

- Muszę już iść, ale wracam do domu dość wcześnie, około drugiej.

- Gdzie dzisiaj pracujesz? - pyta Lydia.

- Odbieram telefony w biurze prawniczym. Pewnie będę miała obowiązki recepcjonistki.

- Tylko nie rób kawy! - krzyczy Rita. - Nie rób kawy! Powiedz, żeby sami sobie zaparzyli tę przeklętą kawę.

- Nic nie mam przeciwko temu - odpowiadam. - Dlaczego wszyscy nienawidzą parzenie kawy? Ja akurat to lubię. Sprawia mi to przyjemność. Lubię zapach kawy. A poza tym ruszasz się, odchodzisz od biurka.

- To jest symbol - prawi mi morały Rita. - Nie chcesz

chyba, żeby cię traktowali jak mamusię, jak żonę. Oni tak właśnie odnoszą się do kobiet.

- W tej firmie pracują same kobiety - wyjaśniam.

- Och. No, w takim razie przynieś im jakąś delikatesową kawę. I na dodatek z tuzin pączków.

- Tego właśnie potrzebuję - odpowiadam, klepiąc się po brzuchu. Dziś rano się zważyłam. Przybyło mi cztery kilo. Niedługo nie będę się mogła przewiązać paskiem od szlafroka.

O wpół do trzeciej wchodzę do domu przez drzwi kuchenne, głośno obwieszczając przybycie.

Czuję się winna, bo wróciłam pół godziny później, niż zapowiadałam. Po drodze jednak zatrzymałam się w sklepie spożywczym. Dziś wieczorem zrobię lasagne. Dołożę trochę szpinaku i będę mistrzynią rondla. A Lydia obiecała, że upiecze swoją sławną szarlotkę z karmelem.

Kładę na blacie torbę z zakupami.

- Halo? - krzyczę.

Cisza. Dochodzę do schodów, drę się.

- Rita? - Po chwili: - Lydia? - Nic.

Pewnie gdzieś się razem wybrały. I bardzo dobrze. Teraz Rita się przekona, co tak lubię w Lydii, zrozumie, dlaczego uważam się za wybrankę losu, mając ją za współlokatorkę. Chociaż ona wkrótce się wyprowadzi, bo za dwa tygodnie bierze ślub z Thomasem. Wzdycham na myśl o tej dacie. Powinnam szybko rozejrzeć się za inną sublokatorką. Czysz od panny Blue nie wystarcza. A poza tym ona jest zbyt cicha i dość dziwna. Często wychodzi z domu, a kiedy wraca, siedzi sama w suterenie. Pragnę mieć kogoś, z kim można by pogadać, jak z Lydią. Rozlepiłam kilka ogłoszeń, ale na razie nikt się nie odezwał.

Rozpakowuję końcówkę zakupów, gdy drzwi się otwierają i wkracza Rita z Kingiem.

- Hej! - wita mnie moja przyjaciółka. Zauważam jej błyszczące oczy i zaróżowione policzki.

O mój Boże, ona to zrobiła. Przespała się z nim.

- Hej, Rita - cedzę obojętnym tonem. - Hej, King. King kiwa głową, zdejmując szalik.

- Poszliśmy na łyżwy. No wiesz, na to lodowisko które jest przy Dziewięćdziesiątej Czwartej.

- Tak, wiem. To nie pracowałeś dzisiaj?

- Dziś mam dyżur nocny. W ochronie przy centrum handlowym. Chcesz pojeździć na łyżwach? Przyszliśmy po ciebie i po Trávisa.

- Nie. Ja... nie umiem jeździć na łyżwach.

- My też! - krzyczy Rita. My. - Dlatego to taka zabawa. Wciąż łądownaliśmy na tyłkach.

- Dla mnie to mało zabawne, ale jeśli macie ochotę, nie mam nic przeciwko temu. Idźcie sobie.

Widzę, jak Rita i King wymieniają spojrzenia. Wreszcie moja przyjaciółka komunikuje mi:

- W gruncie rzeczy mamy chyba dosyć. King patrzy na mnie, okręca szyję szalikiem.

- No, ja mam coś do załatwienia. Sam, zobaczymy się później.

Sztywno kiwam głową.

- Cześć, Rita.

Ona odprowadza go do drzwi, ściska na pożegnanie.

- Cieszę się, że się spotkaliśmy - mówi. Jasne. Wyciągam blachę z piekarnika.

- Chcesz lasagne na kolację?

- Sam, co się dzieje?

- Chcę tylko wiedzieć, czy masz ochotę na lasagne.

- Jesteś na mnie wściekła? Znowu? Wyjmuję oliwę i czosnek.

- Sam, opamiętaj się. To ja. Gapię się na nią.

- Ja tylko... To jest mój nowy kolega. I ty...

- Co? Wykorzystuję go? Niszczę? Przepraszam, ale on tu zatelefonował, szukając ciebie. Ja nie miałam nic do...

- W porządku - ucinam. - Jestem po prostu zmęczona. Dajmy sobie spokój. - Aha, jednak zadzwonił, pragnąc rozmawiać ze mną.

- Pójdźmy gdzieś na kolację - decyduje Rita. - Wszyscy. Ja stawiam. I tak chciałam was zaprosić do restauracji, więc niech to będzie dzisiaj wieczorem.

- Dobrze. - Siadam przy stole. - Rita? Chyba nie próbowałaś go uwieść?

- Och, Sam. - Pochylona nad blatem, wpatruje się w czubki butów. - Chryste.

- Przypominasz sobie, co powiedziałaś o sile, jaką byś wtedy poczuła w sobie? Jak byś chciała...

- Tak, pamiętam.

- A więc mów prawdę. Próbowowałaś? Patrzy w bok, zastanawiając się.

- Nie, raczej nie. To znaczy tak naprawdę się nie starałam.

- A co zrobiłaś?

- Tylko spytałam... czy chciałby to zrobić.

Jestem jak postać z komiksu, której ze zdumienia opada szczęka. Wiedziała!

- Ale nie traktowałam tego zbyt serio!

- Czyżby?

- No... nie! Gdyby on powiedział, że tak, ja...

- No? Co byś zrobiła?

- Och, nie wiem. Może bym i zrobiła. Siadam na krześle oszołomiona.

- A Lawrence?

- Daj spokój, Sam. Od tylu lat jesteśmy super małżeństwem.

- Co przez to rozumiesz?

- No, od piętnastu. To długo, nie sądzisz?

- Wcale nie chodzi mi o to, od ilu lat jesteście małżeństwem - mówię z godnością. - Chodzi mi o to, jak to rozumiesz. Jesteś zamężna od wielu lat, a więc uważasz, że to w porządku, żeby mieć przygody?

- Ależ Sam! To nie byłaby przygoda! To byłby... no

wiesz, przyjacielski gest, to wszystko! Usługa społeczna. Nie, raczej usługa prywatna.

- I nie obawiałabyś się... choroby? - Nie o to mi chodzi. Zupełnie nie o to.

- Ależ on jest praktycznie dziewicą, Sam.

- A Bóg nam świadkiem, że ty nią nie jesteś. Punkt dla mnie. I wtedy Rita się odzywa:

- Sam, pójdźmy do restauracji. Myślę, że znasz mnie na tyle dobrze, że... Słuchaj. On nie chciał. A przecież ty nie jesteś nim zainteresowana w ten sposób. A może jednak jesteś?

- Nie! Już ci mówiłam!

- Taaa - odpowiada wolno Rita. - Już mi to powiedziałaś. - Dostrzega, że Travis pojawia się w drzwiach, właśnie wrócił ze szkoły.

- Hej, koleżko, chciałbyś pójść na kolację do restauracji?

- Ale nie do wymyślnej - podkreśla Travis.

- To jest kumpel, jakiego mi trzeba. - Rita się śmieje.

Na lotnisku Rita ściska mnie tak mocno, że aż boli.

- Przepraszam - szepcze. - To nie była udana wizyta. Jestem złym człowiekiem.

- Nieprawda. Jesteś tylko patologicznie uczciwa. Przeważnie cenię to u ciebie. Ale teraz nadal jestem spięta, to ciężkie czasy dla mnie. Czuję się jak porąbana. Tęsknię za Davidem, nienawidzę go... Myślę, że odbijam sobie na wszystkich innych.

- Czy rzeczywiście chciałabyś, żeby wrócił?

- Powinnam powiedzieć, że nie, prawda?

- Powinniśmy mówić sobie prawdę.

- No... nie wiem. Pod pewnymi względami moje życie jest teraz lepsze. Ale David. Zdaję sobie sprawę, że go nie cierpiałam. Jednakże ja nadal coś do niego odczuwam. Może przywiązanie. Albo coś w tym rodzaju.

Rita patrzy na zegarek, bierze teczkę.

- Wiem. I rozumiem.

- Nie, nie rozumiesz.
- Posłuchaj, myślę, że całkiem dobrze sobie radzisz. Podoba mi się twoje obecne życie. Wydaje mi się... prawdziwsze. Uczciwsze. Lubię twoją współlokatorkę, twoich nowych przyjaciół.
- Masz na myśli Kinga.
- Taa, Kinga. I naprawdę nie...
- Wiem.
- Czy już ci mówiłam, że na lodowisku opadły mu portki?
- Co? Nie, o tym nie wspomniałaś.
- To dlatego, że... no wiesz, kiedy wróciłam do domu. Ależ tak, spadły mu spodnie! Na samym środku lodowiska!
- Pewnie je sama ściągnęłaś - wtrącam.
- Eee, co ty gadasz, to było... spontaniczne! Na szczęście King miał na sobie długi płaszcz, który go, no wiesz, zasłonił. I błyskawicznie je podciągnął. A ja wtedy znowu upadłam, bo tak się strasznie śmiałam.
- Był zawstydzony?
- Pewnie trochę. Ale nie sądzę, żeby inni zauważyli ten jego wypadek. Chyba zwróciłaś uwagę, że schudł. Stracił prawie dziesięć kilo.
- Taa, odnotowałam. - Jego twarz wydała mi się ostatnio trochę odmieniona, zwłaszcza w okolicy oczu.  
Wzywają pasażerów na pokład.
- Będę dzwoniła - mówi Rita, idąc w stronę wejścia do samolotu. -  
Ciągle.
- Wiem.
- Cieszę się, że przyjechałam.
- Ja też.
- Jutro włożę nową koszulę. Masz zrobić to samo.
- Jasne. - Nabyłyśmy niebieskie flanelowe bluzy. To nasz stary zwyczaj: za każdym razem, gdy się spotykamy, kupujemy sobie taką samą rzecz. Zastanawiam się, na co się zdecydujemy, gdy przekroczymy osiemdziesiątkę. Wyobrażam nas sobie, jak stoimy

w domu towarowym i trzęsącymi się rękami macamy nocne koszule z ciepłego materiału. I pewnie przy okazji pytamy się nawzajem, czy wizualnie dodadzą nam tuszy.

Patrzę przez okno, jak samolot Rity startuje. Przez dłuższą chwilę leci w jednym kierunku, a potem zawraca pod kątem stu osiemdziesięciu stopni, jakby zmienił zdanie.



W sobotę późnym popołudniem siedzę w suterenie i tnę materiał na kołdrę dla Trávisa. Ma być prosta, na szerokość dziewięciu kwadratów, ale robię ją z najcieńszej flaneli, jaką mogłam znaleźć, w stonowanych barwach odpowiednich dla mężczyzny. Czuję, że wychodzi mi śliczna rzecz. Dzwoni telefon, nie chce mi się podnieść słuchawki. Po chwili Travis woła, że to do mnie.

- Możesz zapytać, o co chodzi? - krzyczę.

Chwila ciszy. Potem Travis schodzi na dół i komunikuje mi:

- To Martha Stewart.

Gapię się na niego bez słowa z nożycami w ręce.

- Słyszałaś, co powiedziałem?

- Ja... Tak!

- To ta, z której wszyscy sobie drwią.

- Szs!

- Przecież stąd nie dojdzie do niej, co mówię!

Idę do kuchni i wtedy dociera do mnie, kto naprawdę dzwoni.

- Hej, Rita - mówię do słuchawki. - To głupi dowcip.

- Co takiego? - odzywa się nie znany mi głos.

- Och, przepraszam, myślałam... Tu Samantha Morrow.

- Tak, wiem, przecież dzwonię do pani. Tutaj Martha Stewart.

- No, ja... ja...
- Otrzymałam wiadomość od pani. Podobno chodziłyśmy do jednej szkoły i pani chciała ze mną rozmawiać?
- O, nie. Ja tylko... ja byłam... Wie pani, miałam ciężki dzień i zapragnęłam z panią pogadać. Nie wiem dlaczego. Przepraszam. Nie chodziłyśmy razem do szkoły.
- Wiem o tym, oczywiście. Travis, stojący obok, szepcze głośno:
- To naprawdę ona?
- Kiwam głową, daję mu znać gestem, aby odszedł. Nie rusza się.
- Samantho, co mogę dla pani zrobić?
- Och, proszę mi mówić Sam.
- Dobrze, Sam. A więc?
- Zerkam na Travisa, który celowo patrzy w bok, wreszcie staję do niego tyłem.
- No, Martho, właśnie... chciałam zadać parę pytań o... - Chrząkam. - Możesz poczekać przez sekundę? - Odwracam się do Travisa i groźnym szeptem mówię: - Idź do swego pokoju. I to już!
- Wzrusza ramionami, biegnie na górę. Po chwili słyszę, jak zatrzaskuje za sobą drzwi.
- Przepraszam - tłumaczę się do słuchawki. - Wiesz, Martho, jak to miło z twojej strony, że zatelefonowałaś. Miałam takie pragnienie... Chciałam cię zapytać o coś na temat rozwodu. Ja...
- Czy jesteś dziennikarką?
- Ja? O, nie. Jestem nikim.
- Nikim?
- No, to znaczy, ja jestem... Chciałam cię spytać, czy ty... to jest... czy rozwaliło cię po rozwodzie. O to właśnie chciałam cię zagadnąć. Pomyślałam sobie, że jeśli nawet ty, to ja mogłabym...
- Nie sądzę, abym chciała dyskutować na ten temat.
- Och, wiem. Przecież wiem. Przepraszam. Jestem tak zawstydzona.

- I to była ta sprawa, o której chciałaś ze mną porozmawiać?
  - Tak. Ale skoro już do mnie zadzwoniłaś... Robię kołdrę, z flaneli, dla mojego syna. To ten, który podniósł słuchawkę. Zastanawiam się, jaki zrobić spód - z czerwonej flaneli czy z niebieskiej?
  - Ile on ma lat?
  - Jedenaście.
  - Z szarej, czerwona lamówka. Jaki wzór?
  - Dziewięć kwadratów.
  - Dobrze. Pamiętaj, żeby koło szarego wprowadzić trochę żółtego.
  - Tak, mam tu trochę materiału w żółtą kratkę.
  - A na spodzie wszyj jeden kwadrat nisko po prawej.
  - Och, to świetny pomysł! Tak zrobię! Dziękuję!
  - Muszę już kończyć.
  - Martho, zanim się rozłączysz, muszę ci powiedzieć, że kiedyś spotkałam na przyjęciu bardzo atrakcyjnego mężczyznę psychiatrę, który oświadczył, że chętnie by się z tobą ożenił.
  - Ach tak...
  - Naprawdę, bardzo przystojny facet.
  - No cóż, dziękuję za wiadomość.
  - Okay. To ja dziękuję!
  - Samantha?
- Wypowiedziała moje imię.
- Tak?
  - Nie rozpadłam się. Spędziłam wieczór nad książką Bernsteina *Kadysz* i z butelką wina Montrachet, rocznik osiemdziesiąt sześć. A potem postanowiłam zająć się pracą. Ty też spróbuj.
- Odłożyła słuchawkę. Siedzę przy stole kuchennym, zastanawiając się, któż to mógł być. A może naprawdę to ona. Travis schodzi na dół, siada przy mnie.
- Podśluchiwałaś? - pytam.
  - Nie!
  - Tylko trochę?

- No, Boże, mamó, to była Martha Stewart! Przecież to gwiazda!
- Travis, nie mów „Boże”. Wznosi oczy ku niebu.
- No Chrys... to była...
- I jest gwiazdą.
- Niekoniecznie, bo wszyscy jej nie znoszą.
- Nie wszyscy. A w każdym razie nie wiemy dokładnie, kim była. -  
Wracam do sutereny. Szary spód. Jeden naszyty kwadrat po prawej stronie na dole. Mówiąc żartem lub serio, coś się wydarzyło. Żyjesz sobie, prosisz o rady i niekiedy otrzymujesz odpowiedź.
- Właśnie kładę się do łóżka, gdy dzwoni telefon. Ledwie się odzywam, słyszę jak moja matka krzyczy do słuchawki:
  - Martha Stewart dzwoniła do ciebie? - Travis. Zastanawiam się, komu jeszcze o tym opowiedział. Davidowi? Liczę na to.
  - To był chyba żart.
  - Och, wcale tak nie uważam. Mówią, że ona nie ma poczucia humoru.
  - Mamó, ja nie myślę, żeby to była ona.
  - O! Kto więc telefonował?
  - Nie wiem.
  - No cóż, ja uważam, że to była ona. Żeby ci pokazać, jaka jest łaskawa.
  - Świetnie. W porządku.

Thomas unosi welon Lydii niemal dokładnie tak, jak sobie wyobrażałam, a potem całuje ją z wielką tkliwością. Oczy zapuchły mi z tęsknoty i rozpacz, moich typowych reakcji w czasie ślubów, a tym razem jest gorzej niż zazwyczaj. Sięgam do torebki po chusteczki jednorazowe i widzę, że Travis coś sobie rysuje na ręce. Najprawdopodobniej gra ze sobą w szubienicę. Kładę dłoń na jego dłoni i macham stanowczo głową. On wzdycha i patrzy na mnie szeroko otwartymi oczami. Niemal słyszę, co myśli: To takie nudne! Daj mi rysować! Dlaczego mi nie pozwalasz? Wpatruję się w niego z surową miną, aż w końcu wkłada długopis do kieszeni. Po raz pierwszy marzę, żeby był teraz ze swoim ojcem. Ale to mój weekend. David wyjechał. Podał mi swój numer w Nowym Jorku na w razie czego. Muzea, wyobrażam sobie ich oboje, jak spacerują po muzeach. Kolacje, teatry. Elegancki pokój w hotelu z widokiem na park.

Travis nie ożywia się na przyjęciu weselnym, nawet gdy tańczy z Marie. Wreszcie daję za wygraną, żegnam się i maszeruję z nim do auta. Śnieg pada leniwie, duże płatki wyglądają jak strzępy koronki z welonu panny młodej.

Przez dłuższy czas nie odzywamy się do siebie. Wycieraczki na szybie piszczą i skrobą. Wreszcie mówię: - Jestem niezadowolona z twego zachowania, Travis.

Lubisz Lydię. Lubisz także Thomasa. To był ich ślub! Bardzo ważny dzień w ich życiu. Zasłużyli na większą uprzejmość z twojej strony.

Travis nastawia radio, ja je gaszę.

- Chryste Panie - mruczy pod nosem.

- O mój Boże! Zakazuję ci tak mówić. I byłabym wdzięczna za grzeczną odpowiedź. Próbuję z tobą rozmawiać.

- Wrzeszczysz na mnie.

- Nic podobnego.

- Owszem, w środku krzyczysz. No tak. Ma rację.

- Och, Travisie. Ja tylko... Czy nie uważasz, że to było... poruszające?

Nie odpowiada.

- Travis?

- Co?

- Zadałam ci pytanie.

- Dopiero się wściekniesz, jak ci odpowiem. Zatrzymuję się na światłach, patrzę na niego.

- Powiedz.

- Myślę, że to było głupie. To znaczy, czy oni nie czują się zażenowani?

Uśmiecham się.

- Niby dlaczego mieliby się tak czuć?

- Bo oni są jak... no, starzy!

- I?

- O co ci chodzi? - pyta zdesperowany.

- O to mi chodzi, co z tego, że są starzy?

- No wiesz! Przecież to beznadziejne oglądać ją w sukni ślubnej i w tym wszystkim!

Samochód za nami trąbi, więc ruszam. Przygotuj się do walki - myślę. Poczekaj, aż zapomni o urodzinach swojej żony. Wtedy daj mu klapsa.

- W każdym razie - dodaje Travis - nie powinno się pozwalać, żeby ludzie żenili się po raz drugi.

Aha.

- Nie powinno się zezwalać ludziom na powtórny ożenek? -  
upewniam się.

- Nie powinno.

- No, a jak mąż umrze? Milczy, gapiąc się przed siebie.

- Mąż Lydii zmarł, Travis.

- Taa - odpowiada - ale twój nie. Spoglądam na niego.

- Czy... czy tata ci coś mówił? O tym, że chce się ponownie ożenić?

- Nie wiem.

- Travis? Powiedział?

- Nie wiem! - Naciska klawisz w radiu. - Daj mi posłuchać muzyki,  
dobra? Nie mam ochoty na rozmowę.

- W porządku - mówię. - Świetnie. - I ja również nie mam ochoty na  
dalszą rozmowę. Ani z Travisem. Ani tym bardziej z Davidem. Nie  
chcę o tym słyszeć, dopóki nie muszę.

Moja matka odmawia dolewki kawy i prosi o rachunek. Poszliśmy razem na lunch, podczas którego oświadczyła mi, że ojciec Jonathana przeprosza mnie w jego imieniu. Zarazem pyta, czy mimo wszystko nie spróbowałabym jeszcze raz się z nim umówić.

- Nie - odpowiadam. - Nie ma mowy. - Dopijam do końca coca-colę.  
- Kategorycznie nie.

- A może w następną sobotę?

- Chryste, mamó. Proszę. Nie wiesz, co się wydarzyło.

- No... co się stało?

- Nie chcę oglądać na oczy tego lubieżnika. Nigdy więcej.

Patrzy na mnie, wytrzymuję jej wzrok.

- Może za kilka tygodni. - Wzdycha i grzebie w torebce, szukając puderniczki. Maluje sobie usta, poprawia lok nad uchem. - Tak więc! - obwieszcza wreszcie. - Miły był ten ślub Lydii, co?

- Był piękny.

- Zastanawiam się, jak to jest, kiedy ludzie w takim zaawansowanym wieku znowu się pobierają.

- Czemu? - pytam. - Czyżbyś chciała ponownie wyjść za mąż? O Boże.

- Czy ja o tym myślę? Och nie, nie.

- Niby dlaczego nie? Byłaś szczęśliwa za pierwszym razem, prawda?

- Tak. Byłam bardzo szczęśliwa. Ale nie spodziewam



się powtórki. Wiesz, że zanim przyszłyście na świat, spędzaliśmy z waszym ojcem cudowne weekendy. Tylko... rozmawialiśmy ze sobą. Czytaliśmy... Słuchaliśmy radia w nocy i tańczyliśmy. Nigdy nie odbieraliśmy telefonów. Było tak spokojnie!

- Ale kiedy się urodziłyśmy, musieliście je odbierać?

- Naturalnie, kochanie. To jasne. Kiedy przychodzą dzieci, trzeba odpowiadać na telefony. I... odpowiadać za wszystko. One są najważniejsze. Ale chcesz, żeby tak było. Pragniesz troszczyć się o nie. Prawda?

- Prawda. - Przypomina mi się nagle, jak ojciec wynosi mnie z samochodu. Jest późny wieczór, właśnie zajechaliśmy pod dom. Udawałam, że śpię. Miałam wtedy siedem lat, byłam już za duża, żeby mnie noszono na rękach, ale właśnie dlatego to uwielbiałam. Ojciec położył przednie siedzenie, żeby po mnie sięgnąć. Pamiętam, że wpatrywałam się spod zmrużonych powiek w rondo jego kapelusza na tle ciemniejącego nieba, poły płaszcz rozwiewał wiatr, ukazując garnitur z tweedu, który zawsze lekko pachniał tytoniem fajkowym.

- Może nie powinniśmy jej budzić. - Mama jęknęła z troską, gdy ojciec delikatnie podnosił mnie z tylnego siedzenia.

- Już jesteśmy w domciu, kochanie.

- Szsz! - szepnął. - Daj jej spać.

- Ha! Ona wcale nie śpi! - wtrąciła Louise. - Założę się o dziesięć milionów dolarów, że tylko udaje! Popatrzcie, uśmiecha się!

- Nic podobnego! - Ojciec się zachnął i popatrzył na moją twarz. Ujrzał na niej uśmiech. - Śpi mocno - oznajmił, a ja się uśmiechnęłam jeszcze bardziej.

- Do dziś tęsknię za tatą - mówię.

- Tak, kochanie? Czy dobrze go pamiętasz?

- Tak. To znaczy, tak sędzę. W każdym razie przypominam sobie, jak z nami był. I wiedziałam, że ty go bardzo kochałaś.

- O tak. Czy wiesz, kiedy to sobie uświadomiłam?

Kręcę głową.

- Kiedy pierwszy raz prasowałam jego koszulę. Naprawdę! Zajrzał po mnie do domu, mieliśmy razem wyjść. Szliśmy do kina, do dziś pamiętam, na jakiś film z Joan Crawford. A jemu się zdarzył jakiś mały wypadek, rozlał na siebie wodę, w każdym razie miał pogniecioną koszulę. Więc zaproponowałam, że mu ją uprasuję. Oczywiście, babcia była niezadowolona, że jakiś mężczyzna rozbiera się w jej domu, ale on był bardzo dżentelmeński, jak zawsze, więc poszedł do łazienki i podał mi koszulę przez szczelinę w drzwiach. Bardzo mi się to spodobało. To było takie... osobiste. Wydało mi się, że ten gest świadczył o jego zaufaniu do mnie. A kiedy uprasowałam mu tę koszulę, to poczułam, jak... - Patrzy na mnie, uśmiecha się. - No, myślę, że jesteś już wystarczająco duża, żebym ci mogła powiedzieć. Boże, Sam. Masz czterdzieści dwa lata!

- Tak, doskonale o tym wiem.

- Aż nie mogę w to uwierzyć!

- Zapewniam cię, że to prawda. Ale co się stało, kiedy prasowałaś jego koszulę?

- No, jak by to powiedzieć... Poczułam się nagle tak seksownie, wiesz? Pamiętam, że zaczęłam od rękawów, i chciałam je uprasować super, więc bardzo, bardzo uważnie manewrowałam żelazkiem. I nagle poczułam się tak dobrze, gdzieś w brzuchu. Potem prasowałam górę, dotykając jego ramion i... och, Boże! - Zamyka oczy, na jej ustach widać uśmiech błogości. - W każdym razie miałam poczucie, że prasowanie męskiej koszuli to najcudowniejsza rzecz pod słońcem. I wtedy zrozumiałam. Człowiek, którego kocham - mówiłam do siebie. I wyobrażałam go sobie, jak siedzi w tej ciupce, która nam służyła za łazienkę, w podkoszulku, czekając, aż skończę. - No, to mi dało wiele do myślenia! - Śmieje się w głos. - Wiem, że w twoich uszach brzmi to pewnie głupio.

- Nie, wcale nie - odpowiadam. - W tym coś jest -w drobnej czynności, jaką wykonujesz dla osoby, którą

kochasz. Pamiętam, jak kiedyś zwracałam do biblioteki książkę w imieniu chłopaka, na którego punkcie miałam w gimnazjum hyzja. Lubiłam sobie myśleć, że jego ręce przewracały kartki. Odczuwałam przyjemność, oddając książkę bibliotekarce, i powtarzałam sobie w duchu: dla niego, od niego, przeze mnie.

Prawdę mówiąc, podobają mi się wszelkie widoczne dowody miłości wśród ludzi. Wiem, że istnieją tacy, którzy rozkwitają w samotności, ale jak to robią? Jak to się dzieje, kiedy orientują się, że karton płatków jest tylko wtedy pusty, gdy oni je zjedzą? A co czują, kiedy wchodzą do domu i nie słyszą żadnych odgłosów życia zbiorowego? Jest tylko ślad obecności jednej istoty? Mam kasztanowe włosy, jestem praworęczna, potrafię zwinąć język w trąbkę i muszę mieć kogoś, kogo mogłabym kochać.

Veronica zakłada palto, towarzysząc jej do drzwi.

- Masz jakieś widoki na podnajem?

- Wreszcie tak. Tylko jednego chętnego. Zobaczę się z nim w sobotę.

- Jednego?

- Dobrze słyszysz. Jest homo.

- O mój Boże. - Staje w pół kroku.

- Chodźmy - mówię. - Porozmawiamy o tym strasznym doświadczeniu, jeśli zdecyduję, że facet może się wprowadzić. Niemniej muszę kogoś znaleźć, i to szybko.

Wsiadam do samochodu i rozmyślam o dzisiejszym ranku, kiedy weszłam do pustego pokoju Lydii, zastanawiając się, kto będzie tu teraz mieszkał. Pragnę kogoś, kto nie okaże się takim niewypałem, jak Błękitna Lawenda. Ta dziewczyna ma głęboką depresję. Ostatnio wymyka się ze swojego pokoju tylko po to, żeby coś zjeść i pójść do ubikacji. Kiedy w zeszłym tygodniu zaproponowała, że zacznie uczyć Travisa japońskiego, co z początku uzgodniłyśmy, odmówiłam. Złękłam się, że jej stan fatalnie wpłynie na jego światopogląd, jeśli będzie spędzał z nią więcej czasu.

Niedawno moja współlokatorka oświadczyła, że życie jest wyłącznie jednym wielkim rozczarowaniem. Pochyliła się nad kubkiem gorącej czekolady, którą jej zaoferowałam, licząc na przyjemną pogawędkę; wyobrażałam sobie, że będzie to tak, jakby postać z bajki rozmawiała z dziećmi króla. Niestety, dziewczyna siedziała z tymi swoimi sterzącymi włosami, ze spojrzeniem pustych oczu utkwionych w moim ramieniu i monotonicznie klepała:

- To jest tak jak wtedy, gdy byłam dziewczynką i strasznie chciałam przejechać się na kucyku. Prosiłam bez końca rodziców, żeby mi pozwolili. Wyobrażałam sobie siebie z grzywką i w kapeluszu kowbojskim, konik miał być śliczny i czysty, w łąty, potrząsający piękną uprzężą i różnymi ozdóbkami, a ja wyprostowana w siodle, trzymałam w rękach uzdę, galopowałam na nim. Kiedy jednak wyprosiłam tę jazdę, trafił mi się smutny stary kasztanek na ponurym klepisku, a facet w podkoszulku, z tłustymi włosami, trzymał go na brudnej lonży zrobionej ze sznurka. Co parę kroków kucyk stawał, wydmuchiwał nozdrzami jakąś wstrętną ciecz, a wtedy facet go bił, żeby ruszył dalej. I wtedy zrozumiałam, czym będzie życie. Fałszywe obietnice. Wszystko... czarne. Piszę na ten temat wiersz na zajęciach z angielskiego. Nosi tytuł *Prawda na padoku*. - Westchnęła, zerknęła na kubek z czekoladą, popatrzyła na mnie. - Wiesz, o co mi chodzi? Taki mam stosunek do życia. Nic dobrego mnie nie spotka. - Miała podkrążone oczy, a na podbródku świeżą krostę.

- No, czasami człowiek tak się czuje - odparłam. - To znaczy, kiedy byłam w twoim wieku. Ale, Lawendo... - Pochyliłam się i uśmiechnęłam. - Wiesz, zastanawiam się, czy... Wspomniałaś, że naprawdę masz na imię Elaine?

- Taa...

- A mogłabym się do ciebie tak zwracać?

- Nie, proszę tego nie robić. Nienawidzę tego imienia. Dlatego je zmieniłam na takie, które mi bardziej pasuje. Błękitna Lawenda mi odpowiada.

- Dobrze - mówię. - To się tak... No. Chciałam powiedzieć, że z czasem życie staje się lepsze. Uwierz mi!

- A ty jesteś teraz szczęśliwa? Chcę coś odpowiedzieć, ale milknę.

- Widzisz? Każdy, kto jest prawdomówny, odpowie, że nie jest. Nikt nie jest szczęśliwy. Tak naprawdę to nikt. Nawet na krótko.

- No, ja...

- W porządku - burknęła Lawenda. - Przywykłam do tego. A więc dość! Dobranoc!

Kładę się wcześniej spać i nagle się budzę. Jest siedem po jedenastej. Wpatruję się w sufit, wzdygam. Wyciągam spod poduszki telefon i wykręcam numer Davida. Słyszę jego głęboki baryton.

- Przepraszam, spałeś? - pytam.

- Nie. Nie ma sprawy. Co jest?

On zawsze tak mawia, kiedy chce, by ludzie się streszczali. Co jest? Patrzył na mnie, gdy odbierał takie telefony, przewracał oczami.

- Muszę cię o coś zapytać - odzywam się w końcu. - Czy ty przypadkiem wspomniałeś Travisowi o zamiarze ponownego ożenku?

- O zamiarze ożenku?

Tu utknął. Zawsze tak robi, kiedy pytanie mu nie odpowiada - powtarza je.

- Tak, dobrze słyszysz.

- Nie, niczego takiego nie powiedziałem. To było bardziej... No cóż, może Vicky wspomniała w ogóle o ludziach, którzy się pobierają, a on pewnie doszedł do wniosku, że oboje rozmawialiśmy już na ten temat.

- A rozmawialiście?

- Och, nie. No wiesz, bardzo ogólnikowo.

- Jak w...? Wzdycha.

- Sam? Nie sądzę, aby to była sensowna dyskusja.

Dość powiedzieć, że na razie nie mam żadnych planów co do powtórnego ożenku.

- Sądzę, że nie powinienes, skoro jeszcze nie jesteś rozwiedziony.

- Na pewno dam ci znać. Powiem o wszystkim, czego sobie życzysz.

- Ona tam jest? Cisza.

- No, jest? Westchnienie.

- Naprawdę nie uważam, żeby to była twoja sprawa. Czuję skurcze brzucha. Ponieważ, niestety, on ma rację.

- Chciałam tylko porozmawiać z nią przez chwilę. Pragnę ją poinformować, że to nie najlepszy pomysł, by płeć Travisowi o wyjściu za mąż za jego ojca.

- Ona zdaje sobie z tego sprawę.

- Najwyraźniej nie zdaje.

- Sam...

- Nie chcę o tym więcej słyszeć, David. Tylko... bądź inteligentny, dobrze? I powiedz swojej dziewczynie, by też zachowywała się właściwie.

- Masz do mnie coś jeszcze?

- Nie, nie mam.

- To w porządku. Dobranoc.

Odkładam słuchawkę. Przetykam ślinę. Raz, drugi. Nienawidzę myśli, że teraz on opowiada Vicky o moim telefonie. Są tam oboje, leżą obok siebie. Ona już dobrze zna jego ciało. Zapalam lampkę nocną. Gaszę ją.

Podchodzę do okna i wpatruję się w ogród. Parę centymetrów śniegu. Puste karmniki dla ptaków. Gołe krzaki rododendronów, czarne gałęzie. Ale wiosną zakwitną. A latem kto zetnie trawę? Opieram się czołem o szybę i na mgielce, która powstaje wskutek mego oddechu, piszę palcem swoje inicjały.

- Halo, czy to pani Gibbons? - pytam.
- Tak! - Kobięcy głos po tamtej stronie jest nieco podejrzliwy.
- Tu pani Morrow. - Przedstawiam się tak, jak mnie poinstruowano - „Pani” sprawia, że ci bardziej ufają, Używaj „Pani” nawet jeśli jesteś panną, są jakieś pytania?). Następnie, patrząc na instrukcję, mówię: - Dzwonię z biura obsługi klientów z Supersave.

Kłamstwo. Telefonuję z Pierwszorzędnej Dostawy Żywności do Domu Klienta. Od czterech dni pracuję tu jako tele sprzedawczyni, siedzę na składanym niebieskim krześle przy czymś w rodzaju plastikowego kontuaru, w jednym rzędzie z innymi zatrudnionymi. Po obu stronach niedużego pokoju znajduje się po pięć stanowisk, ale dziś stały się tylko trzy osoby, jak zresztą każdego dnia przepracowanego przeze mnie tutaj. Mamy kabinki, których ścianki są zrobione z grubej płyty paździerzowej z wyborowanymi otworami. Spędziłam sporo czasu, gapiąc się na fragmenty ciała koleżanki siedzącej obok. Jest nią biuściasta podstarzała kobieta, której oprawki od okularów są wysadzone sztucznymi brylancikami. Baba nosi spódnice w kratę, półprzejrzyste bluzki z koronką i używa w nadmiarze perfum, jak sądzę „Powiewu Młodości”. Przypomina mi przedszkolankę, która przekwalifikowała się na prostytutkę.

Moja sąsiadka, jak sądzę, nie cierpi mnie z powodu, którego nie potrafię pojąć, niemniej upiera się, żeby co

dziennie siedzieć obok. Podglądam więc ją przez dziurki, czekając, aż ktoś, do kogo dzwonię, podniesie słuchawkę. Przy okazji zbieram dowody, które by świadczyły o tym, dlaczego baba odczuwa to, co unaocznia. Dotychczas nie odnotowałam niczego szczególnego, prócz tego, że ma problemy z woszczyzną w uszach. Z tego zapewne powodu wrzeszczy do słuchawki: Co proszę? Czy może pani mówić głośniej? Chyba ma pani uszkodzony aparat!

Drugim telesprzedawcą w pełnym wymiarze godzin jest kościsty szpakowaty facet, śmierzący piwem. Pochyla się, ściskając słuchawkę, jakby to była kochanka, którą przyparł do muru, żeby skraść pocałunek. Codziennie ma na sobie białą koszulę z podwiniętymi rękawami i błyszczące granatowe spodnie, które sięgają mu powyżej talii. Od czasu do czasu długo kaszle, wypluwając na koniec flegmę do chusteczki, którą następnie wpycha do kieszeni.

Nasze biuro mieści się nad pralnią chemiczną, więc słyszę z dołu stłumione rozmowy latynoskich pracowników, przerywane chichotem. Zazdroszczę im. Tu nie mam żadnego powodu do śmiechu. Przynosiłam rzeczy do tej pralni, nie mając pojęcia, że nad nią coś się mieści, a już do głowy mi nie przychodziło, że któregoś dnia będę tu zatrudniona. Bardzo miłe miejsce, ta pralnia. Czysta, słoneczna, na ladze stoją kwiaty w wiklinowych koszykach. A tutaj promienie słońca z trudem przebijają się przez brudne szyby, padając na sfatygowane linoleum. W rogu stoi zaśniedziały dzbanek do kawy, a obok zwisa smętnie półuschnięta roślina.

- Droga pani, ostatnio wzięła pani udział w konkursie, którego wygraną była darmowa ćwiartka wołowiny, nieprawdaż? - zapytuje potencjalną klientkę.

- Tak?

- Pragnę zakomunikować, że losowanie nagrody odbędzie się w przyszłym tygodniu.

- Oooch! - Tamta wydaje z siebie jęk. - Myślałam, że już wygrałam!

- No, nie, losowanie tej nagrody odbędzie się w przy-



słym tygodniu. Ale chciałabym również poinformować panią, pani Gibbons, że Pierwszorzędna Dostawa Żywności do Domu Klienta oferuje pani za darmo przywóz jarzyn na cały tydzień, pod warunkiem że nasz wysłannik odwiedzi panią w domu. Wyjaśni pani wtedy, jak można oszczędzić czas i pieniądze na dostawach mrożonej żywności pod pani próg. Powodem mego telefonu jest ustalenie przez panią najbardziej odpowiedniej dla pani pory wizyty naszego przedstawiciela. Cisza.

- Pani Gibbons?

- Taaa?

- Jaka byłaby najdogodniejsza pora wizyty naszego sprzedawcy u pani?

- Och, nie wiem. - Moja rozmówczyni wzdycha. - Nie wiem. Chyba wpół do ósmej, coś koło tego.

- Siódma trzydzieści dzisiaj wieczorem?

- Chyba tak.

- Świetnie! - wykrzykuję. - I pani mieszka przy 311 Walnut Street?

- Tak. - Dodaje ściszym głosem: - O Boziu, mój mąż mnie zabije.

- Słucham?

- Powiedziałam, że mąż mnie zabije. On nie lubi sprzedawców.

- O, coś takiego?

- Tak, a zwłaszcza takich, co przychodzą do domu. Pani wie.

- Tak, rozumiem.

- Ale pani mówiła, że dostanę za darmo jarzyn na cały tydzień?

- Tak, dostanie pani. - Zaczynam się denerwować. Instruktaż nie przewiduje takich rozmów.

- Konkretnie jakich jarzyn?

- Myślę... no, to są mrożone warzywa. Trzy pudełka. Kukurydza, fasolka szparagowa i coś jeszcze. Zdaje się, że jakaś inna fasola.

- To przecież nie wystarczy na tydzień.
- No, pudełka są spore.
- A poza tym nie lubię fasoli.
- Ja też - mówię. - Ale słyszałam, że jest dobra na zupę.
- Czy to są produkty Zielonego Olbrzyma?
- Nie, nasze, firmowe.
- Dobre?
- Mówiąc prawdę, jeszcze ich nie próbowałam. Ale ładnie się prezentują. Na razie widziałam tylko opakowania, na przykład na pudełku z kukurydzą jest widoczek pól. Pewnie są smaczne.
- Och. - Kobieta ciężko oddycha do słuchawki, wreszcie mówi: -  
Dzięki, kochanie.
- Co takiego?
- Przepraszam, mówiłam do mego synka. Właśnie mi coś dał. -  
Słyszę gaworzenie małego dziecka.
- Ile on ma? - pytam.
- Półtora roczku. - Wyczuwam uśmiech w głosie kobiety. I nagle znajduję się w jej kuchni, podpieram się łokciem o blat, pijemy razem kawę i patrzymy na bobasa, który ściska przez rajstopy matczyną nogę. W jasnych loczkach na jego głowie dostrzegam okruchy ciastka, na stopach pajacyka ma przyszyte dzwoneczki.
- Wszystko złapie, prawda? - pytam, przypominając sobie Travisa, jak stawiał pierwsze kroki. Siadł na pupie zdumiony, gdy wrzeszcząc, wrywałam mu z rączek pojemnik ze sztucznym nawozem. Jeszcze go nie wziął do buzi, więc rozplakałam się z ulgi, co spowodowało, że i mały się rozryczał. Pocieszaliśmy się wzajemnie, przytulałam go mocno do siebie, uszczęśliwiona, że nic mu się nie stało.
- No nie uwierzyłaby pani - odzywa się kobieta. - Już trzy razy zapchał ubikację, wrzucając do muszli różne rzeczy. Ostatnim razem, kiedy było kiepsko z kasą, musieliśmy odłożyć kolejną wizytę hydraulika na cały tydzień. Korzystaliśmy z toalety u sąsiadów. Czy pani sobie wyobraża!
- Tak, mogę to sobie wyobrazić.

- No, w każdym razie... pani mówiła, że ten sprzedawca zajrzy do mnie o wpół do ósmej?

O, taaak. - Myślę i gapię się na instrukcję.

- Zgadza się. Siódma trzydzieści.

- Mogę panią o coś spytać? - odzywa się kobieta.

- Jasne.

- Czy ja to muszę robić?

- No... Nie. Oczywiście, że nie.

- I nadal wezmę udział w losowaniu ćwiartki wołowiny?

- Bezwzględnie!

- Okay, to proszę skreślić moje nazwisko z listy czy z czegoś tam. Mój mąż i tak mnie zabije.

- Dobrze. W porządku, Życzę miłego dnia, pani Gibbons. I całuski dla bobasa.

Odkładam słuchawkę, drę ankietę, wrzucam ją do kosza. I wówczas czuję za plecami czyjaś obecność. To mój zwierzchnik - łysiejący facet pod sześćdziesiątkę z dziobatą twarzą. Robi wrażenie człowieka traktującego bardzo serio swe obowiązki.

- Pani Morrow, czy mogę prosić do mego pokoju? - pyta. Idę za nim do jego klitki.

- Proszę zamknąć za sobą drzwi, dobrze? - poucza mnie.

Przysiadam na brzeżku krzesła przed jego biurkiem, kładę ręce na podołku. On rozpiiera się na swoim fotelu, kładzie dłonie na głowie, odchyła się do tyłu. Przez dłuższą chwilę przygląda się czemuś za oknem, po czym odwraca się w moją stronę:

- Jest pani zwolniona.

- Tak, wiem - odpowiadam. - Wcale nie mam do pana pretensji.

- To znaczy, pani wydaje się nie rozumieć tej pracy.

- Zgoda. Ma pan rację. - Chwytam torebkę.

- Dzwoni pani do klientów i ucina sobie pani pogawędkę! To nie jest pani zadanie. Pani jest tu po to, by odczytać im dany tekst i przekonać do złożenia zamówień. W ciągu czterech dni uzyskała pani jedno zamówienie!

- No... tak, to prawda. - Rzucam spojrzenie na drzwi. Facet nie musi tak wrzeszczeć. Założę się, że wszyscy go słyszą. Pewnie nawet w pralni przestali pracować i gapią się bez ruchu w sufit.

- Proszę pana - odzywam się. - Zdaję sobie sprawę, że jestem po prostu okropna w tym, co tu robię. Gdybym była na pana miejscu, też bym siebie wylała. - Wstaję, wygładzam spódnice. Uśmiecham się. - A zatem, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, po prostu...

- Pani Morrow, dowiedziałem się, że we wtorek polecała pani komuś dentystę.

- Owszem... to fakt. Jakoś tak wyszło. W trakcie rozmowy. - Teraz pojmuję, dlaczego Powiew Młodości pchał się, żeby siedzieć koło mnie.

- Na czym polega problem? Pani wydaje się inteligentną kobietą. Co takiego trudnego jest w tej pracy?

Siadam z powrotem.

- Wie pan, co jest trudnego? Kłamanie. Łgarstwa! To znaczy, ja wcale nie dzwonię przecież z Supersave.

- Ale stamtąd dostajemy numery do klientów. To wystarczy.

- I ci ludzie myślą, że muszą pozwolić sprzedawcy na przyjście do nich. Każecie mi pytać, kiedy on ma ich odwiedzić, a nie czy może złożyć im wizytę.

- Bo kiedy zapyta ich pani, czy może, odmówią.

- Właśnie. - Pochyliam się nad biurkiem. - Widzi pan? Po co to robić? Dlaczego nie być uczciwym i od razu informować ich o waszej ofercie? Przecież można telefonować do ludzi i opowiedzieć im o usługach w sposób rzeczowy, a potem zapytać, czy wyrażają zgodę. Przez telefon! Wcale nie trzeba wysyłać do nich sprzedawcy. W ten sposób oszczędziłby pan sporo pieniędzy.

Facet siada, kładzie ręce na blacie i patrzy na mnie zza szkieł. Kręci głową.

- Proszę iść do domu. Zapłacę pani za dzisiejszy dyżur, ale niech się pani nie pokazuje jutro, zgoda? - Przysuwa stertę papierów, zaczyna je czytać.

- Tak, no... w porządku. Dzięki. Nawet nie podnosi oczu.

Późnym wieczorem, kiedy wszyscy już śpią, owijam się kołdrą na sofie i dzwonię do Kinga.

- Wylali mnie dziś - mówię.

- O, tak? Skąd?

- Zajmowałam się telesprzedażą.

- Gdzie?

- Pierwszorzędna Dostawa Żywności.

- Okropnie ubrana baba i facet z gruźlicą płuc? - pyta King.

- Tak!

- Byłem tam. Też mnie wyrzucili. Odrzucam pled, siadam prosto.

- Naprawdę? Dlaczego?

- Za mało zamówień.

- Mnie wylali z tego samego powodu!

- No widzisz. Bądź z tego dumna! Od czasu do czasu należy być wyrzuconym. To jest uczucie wyzwolenia. I daje ci możliwość załatwienia bieżących spraw.

- Ale... ja muszę pracować.

- Agencji pośrednictwa to nie obchodzi. Dadzą ci inne zajęcie.

- Na pewno?

- Ależ tak!

- Och.

Cisza. Wreszcie mówię.

- No to... dzięki, King.

- Proszę uprzejmie.

Odkładam słuchawkę, opieram się na poduszkach i czuję, że mój wstyd przemienił się w satysfakcję. Leży na mojej piersi jak mruczący kot.

Może usmażę sobie jajecznicę. Należy mi się nagroda.

- Owszem, przyznaje - powiada Edward. - W dużej mierze jestem chodzącym stereotypem. Ale jest mi z tym dobrze. Znam siebie. Jestem porządnym człowiekiem i nie potrzebuję się przed nikim usprawiedliwiać. - Siedzi przy moim stole kuchennym, doskonale prezentując się w tweedowych spodniach i pięknej, kremowej koszuli. Założył nogę na nogę, popija kawę. Przypomina mi młodego Freda Astaire'a: wąska, szczupła twarz, włosy nieco przerzedzone, jakby uciekały mu z głowy. Kiedy Edward oświadczył, że zna siebie, położył rękę na sercu. Lubię ludzi, którzy wykonują takie gesty. Czuję, że mogę im ufać.

- No cóż, King dobrze się o panu wyraża - wtrącam. Edward unosi oczy ku niebu.

- Czy on nie jest rozkoszny? Po prostu go uwielbiam. Przystojny, zauważyła pani. Pod tym całym... cielskiem. Ilekroć go strzygę, myślę sobie: O Boże, jaką różnicę sprawiłoby zrzucenie paru kilogramów.

- On już schudł, i to całkiem sporo.

- Tak właśnie myślałem. Ale mówię o... To znaczy, widziałyby go pani w reklamie Gucciego?

Uśmiecham się.

- Och, wiem - ciągnie Edward. - Mam ogromną wyobraźnię. Moja mamusia ciągle na mnie krzyczała za leżenie w łóżku i marzenie o różnych rzeczach. Chciała, żebym wychodził na dwór, rósł duży i silny oraz żebym

był heteroseksualny. Przypomina mi Betty Davis w *Późniejszych latach*, tyle że ona była taka przez cały czas.

- Naprawdę?

- O tak. Przychodziła do mego pokoju i straszyla mego przyjaciela Martina Harrisa. Sądzę, że byliśmy w sobie zakochani, ale to była dopiero czwarta klasa. Naturalnie, ona go nie znosiła, bo na przykład on chodził na lekcje baletu. Otwierała drzwi i wybałuszała na nas oczy z tą swoją niesamowitą miną. Usta pomalowane krwistą szminką. Opierała się ramieniem o framugę, w ręce z grubą bransoletą trzymała papierosa, niewiarygodnie głęboko się zaciągała i mówiła - tu Edward zniżył głos - „A cóż wy tu chłopcy robicie? Jak można marnować taki piękny dzień?” - i przez następne półtorej godziny wydmuchiwała dym. Więc wychodziliśmy przed dom na kilka minut, a potem wracaliśmy i bawiliśmy się żołnierzami jak lalkami. - Edward wzrusza ramionami. - Ale trudno jej było nie lubić. No, ja przynajmniej ją lubiłem.

- Edwardzie - mówię. - Mam nadzieję, że moje pytanie cię nie urazi. Powiedz mi jednak, dlaczego chcesz tu mieszkać?

- Nie mam nic przeciwko takiemu pytaniu. Lubię rodziny. Nie znoszę mieszkać sam. A z drugiej strony, nie przepadam za życiem w... w branży. To dla mnie trochę za intensywne.

- O?

- O tak. Cisza.

No to w porządku. Umieram z ciekawości, ale skoro on nie chce mi powiedzieć...

- Możesz na mnie liczyć - powiada. - Ja wiem, że ten układ jest niecodzienny. Ale jestem bardzo dobrym współlokatorem. Sprzątam, gotuję, jestem cichy. A poza tym... absolutnie dyskretny. A na dodatek będę cię strzygł za darmo. Myślę, że się nie obrazisz, jak ci powiem, że przydałaby ci się farba.

Zanurzam ręce we włosach.

- Naprawdę? Widać siwe? Edward z powagą kiwa głową.

- Tak są widoczne? Energicznie kiwa głową.

- No, mnie to nie przeszkadza. To znaczy, one wyglądają naturalnie.

Tak się dzieje, jak wiadomo, gdy człowiek się starzeje.

- Kochana, możesz sobie pozwolić na siwe, jak masz sześćdziesiąt lat. Teraz jesteś na to zbyt młoda i za atrakcyjna. Polecałbym ci kasztanową bazę i miedziane pasemka. W ten sposób twoje oczy stałyby się bardziej zielone.

Potakuję, zamyślam się przez chwilę.

- Dobrze, dam ci znać.

Edward zdejmuje płaszcz z wieszaka, staje gotowy do wyjścia.

- Możesz do mnie zadzwonić, kiedy chcesz. I nie będę miał żalu, jeśli dojdiesz do wniosku, że nie chcesz wziąć mnie za współlokatora.

- Och, nie. Ja myślałam o kolorze włosów. Możesz wprowadzić się pierwszego.

Siada na powrót.

- Naprawdę? - Jego szczęście jest takie rozkoszne, takie przezrocyste. Oboje siedzimy teraz naprzeciwko siebie, uśmiechając się z zawstydzieniem. I wtedy Edward przerywa ciszę:

- A nie sądzisz, że powinnaś, no wiesz, sprawdzić mnie? Zatelefonować do ludzi, którzy dali mi referencje?

Och. Pewnie powinnam coś takiego zrobić. Ale po co? Przecież on nie dałby mi listów od ludzi, którzy by się o nim źle się wyrażali.

- Nie ma takiej potrzeby - odpowiadam. Wyciąga rulon papierów ze swojej męskiej torebki.

- No, w każdym razie masz je tutaj: od mojego dawnego chlebodawcy, od rodziny, z którą kiedyś mieszkałem, od paru klientów.



- Dlaczego się wyprowadzasz? - pytam. - To wydaje mi się właściwym pytaniem - takim, które zadałby ktoś odpowiedzialny. Może należy go też zagadnąć, jak sobie wyobraża swoje życie za pięć lat.

- Oni przenoszą się do Arkansas - odpowiada Edward. - Zaproponowali, żebym pojechał z nimi. Wyobrażasz sobie?

- No...

Edward owija szyję eleganckim szalem, zarzuca płaszcz na ramiona.

- Kłaniam się nisko.

Patrzę przez okno, jak odjeżdża. Ma małą granatową toyotę. Wyczyszczoną do połysku. Pewnie, że może się wprowadzić. Może nawet pożyczę sobie od niego coś z ubrania. Idę do łazienki, gapię się w lustro i staram się ujrzeć siebie jako świetnie ubraną rudowłosą piękność.

- Mówisz o TYM koledze Kinga? - Travis wypytuje mnie po południu, po powrocie ze szkoły. - O tym Edwardzie? - Wyciąga karton mleka z lodówki, pije prosto z pojemnika.

- Co ci o tym mówiłam? - pytam.

- O czym?

- O picciu z kartonu.

- Żebym tego nie robił. - Wciska mleko do lodówki, zatrzaskuje drzwiczki.

- No to dlaczego to robisz?

Wzrusza ramionami, przysiada na blacie stołu kuchennego.

- Zapomniałem.

- No, mniejsza o to - mówię. - A więc mamy nowego lokatora!

- A z czego ten facet żyje?

Z czego ten facet żyje? Wyczuwam wpływ Davida.

- Jest fryzjerem.

- Żartujesz?

- Nie, mówię poważnie. Ma własny salon. Travis prycha.

- A może jest jeszcze gejem czy kimś w tym w rodzaju?

- W istocie jest gejem.

Mój syn przestaje się uśmiechać, zeskakuje ze stołu.

- Gdzie idziesz?

- Do mego pokoju.

- Travis! - wołam za nim. - Wróć na chwilę! Zawraca, z wyraźną niechęcią.

- Co się dzieje?

- Mamo, stajesz się naprawdę dziwna.

- Co to ma znaczyć?

Kręci głową, wspina się po schodach, zatrząskuje za sobą drzwi.

Przysuwam krzesło do stołu. Czy ja rzeczywiście staję się dziwna? No dobrze, a któż by to miał zamieszkać? Księgowy ze swoją żoną i ich 1,4 statystycznego dziecka? Biorę tego, kogo mogę dostać za współlokatora. Otwieram drzwiczki zamrażalnika i zaglądam do wnętrza. Co by tu wybrać na kolację? Kurczaka. Czy to również jest dziwne?

Nieco później Travis woła, żebym przyszła do niego. Zamykam drzwi od pokoju, przysiadam na łóżku i uśmiecham się do syna siedzącego przy biurku.

- Co jest? - pytam.

- Chcę mieszkać z tatą.

No tak, tego się mogłam spodziewać.

- Dobrze?

- Travisie, kto wyszedł z tą propozycją?

- Nie chcę tu mieszkać. Za dużo tu ludzi.

- No cóż, muszę mieć tu ludzi, żeby utrzymać dom. Chyba chcesz, żebyśmy zachowali ten dom?

- Mnie nie zależy.

- Ale mnie zależy.

Odwraca się, grzebie w papierach, mruczając coś pod nosem.

- Co powiedziałaś? - pytam.

- Nie umiesz oceniać sytuacji. Wybucham śmiechem.

- Kto ci to powiedział? Tata? On się tak wyraził? Travis wzrusza ramionami.

- Synu, posłuchaj. Nie lubisz Lydii?

- Nie, lubiłem, ale ona się wyprowadziła.

- To nie moja wina! Wyszła za męża! Ale ja ją wybrałam! Dzięki mojej ocenie sytuacji ona zamieszkała z nami!

- Wiem! Ale wynalazłaś również tę oszołomkę w suterenie! Ona jest rąbnięta!

Wzdycham, podpieram się łokciami. Co mogę odpowiedzieć? Pewnie wypada mi się przyznać.

- No tak, to był pewien błąd. Jednak ona nikogo nie krzywdzi. Jest cicha. Może powinniśmy dać jej trochę czasu.

- Mamo, ja nie chcę tu zostać. Nie chcę żyć z tobą! Czuję w piersi tak rozdzierający ból, że zastanawiam się, czy rzeczywiście coś w niej pękło.

- Travisie...

- Czy mogę mieszkać z tatą? Proszę...

- On cię nie może wziąć do siebie, kochanie - odpowiadam opanowanym głosem. - Pracuje do późna. Nie ma go w domu, gdy wracasz ze szkoły.

- No to co.

- Przecież nie możesz wracać do pustego domu!

- Właśnie że mogę!

- Synku, masz dopiero jedenaście lat.

- Mnóstwo dzieci wraca po szkole do domu, w którym nie ma nikogo. I to dużo młodszych! To nic takiego. Ja nawet nie chcę, żebyś była w domu, kiedy wracam ze szkoły!

- Ach, tak? Nie wiedziałam o tym.

Bo naprawdę nie wiedziałam. Chcę teraz jak najszyb-

cię wyjść z jego pokoju. Muszę się wypłakać. Muszę walić pięściami w za duży materac na moim łóżku. Muszę wychylić się z okna i się wykrzyknąć. Będę wrzeszczeć: „Uważaj tylko!”.

- Travisie, możesz mi odpowiedzieć na jedno pytanie? Czy to ze względu na naszych współlokatorów chcesz się przenieść do taty?

- Nie tylko.

- Okay - mówię. - Okay. Podchodzę, by go pocałować w czubek głowy. - W porządku. - I na stopach bez żadnego czucia człapię do swojej sypialni, cicho zamykam drzwi i siedzę nieruchomo na łóżku, aż niebo się ściemnia i nadchodzi czas na zrobienie kolacji dla mego syna oraz dla obłąkanej dziewczyny z sutereny, która nas także przyprawia o szaleństwo.

- No więc ją wyrzucić - radzi mi Rita. - Też mi problem. Jej się to nawet spodoba, ponieważ utwierdzi ją w przekonaniu, że wszystko, co wykoncytowała sobie na temat życia, jest prawdziwe.

- Nie mogę tego zrobić.

- A to dlaczego?

- Bo po prostu nie umiem tak postępować. A poza tym przecież to jeszcze dziecko!

- Tak, podobnym dzieckiem była Linda Blair w *Egzorcystyce*\*. Pozbądź się jej.

- Ale co miałabym jej powiedzieć?

- Może po prostu: „Rusz się stąd, malkontentko! Rujnujesz moje życie!”.

Wzdycham, opieram się na poduszkach, wystawiam stopy spod kołdry i gapię się na paznokcie u nóg. Są świeżo pomalowane lakierem o barwie ostrego różu. Emalię dostałam w prezencie od Edwarda, z próbek, które były mu niepotrzebne. W sumie ze trzydzieści buteleczek. Mam ogromne zapasy lakieru do paznokci. I żelów. I sprejów. Część z nich dałam już matce, która nagle zapałała entuzjazmem do moich współlokatorów. Z Edwardem po prostu piją sobie z dzióbków. Kiedy ostatnio Veronica przyszła na kolację, on pomógł jej zdjąć płaszcz i przypomniał o dacie zabiegu z jakąś odżywką na włosy po trwałej.

- Jest taki słodki - oświadczyła mi przez telefon następnego dnia, kiedy wróciła z jego salonu. - A jego za-

kład jest równie elegancki, jak jego pokój - ile rzeczy umie ten człowiek zmieścić na takiej małej przestrzeni!

Racja. Edward potrafi zrobić cuda z każdego wnętrza, by wyglądało zarazem przytulnie i nowocześnie. Chciałam, żeby przemeblował cały mój dom, ale on się upiera, że jest dobrze, jak jest.

- Usuń tylko parę filodendronów - orzekł łagodnym tonem.

Czasami stoję w progu jego pokoju i oddycham z ulgą, czując jasność i powietrze, szczególnie po zejściu do sutereny, gdzie przez dziurkę od klucza podejrzalam, co się dzieje w pomieszczeniu zajmowanym przez Błękitną Lawendę.

- A co Travisem? - wypytuje Kita.

- No cóż, teraz chce tu zostać, ale przypuszczam, że tylko dlatego, iż David nie ma ochoty na dzielenie z nim swego gniazdka. To znaczy, on nie powiedział, że nie może go wziąć, ale...

- Tak, domyślam się bez trudu - orzeka Rita. - Wiem, jak reaguje. Ta mowa-trawa, że z rozkoszą by to uczynił, ale praca, wyjazdy służbowe... Nie wspominając już o fakcie, że po kolacji nie mógłby rąbać swojej kochaneczki na sofie.

- Jemu jest trudno - wtrącam.

- Och, daj spokój!

- Nie, ja mam na myśli Trávisa. Ogromnie zaprzyjaźnił się z Edwardem, bo trudno go nie lubić. Ale to jest trochę chore, no wiesz, ten wynajem pokoi, te ciągłe zmiany ludzi w domu... Jestem przekonana, że Travis chciałby, żeby było tak, jak przedtem.

- Sam, naprawdę tak myślisz?

- Och, sama już nie wiem. Jednego dnia chłopak jest do rany przyłoż, innego po prostu koszmarny, a wszystko zwala na mnie. Naturalnie, David jest zawsze bohaterem, ponieważ nigdy go tu nie ma.

- No tak. To powiedz Travisowi, że David chciał mu dać na imię Edgar.

- Próbowałam. Odpowiedział, że on lubi to imię.
- Ależ nie lubi! Zerkam na zegarek.
- No, muszę się zbierać. Niedługo powinnam być gotowa.
- A co robisz dzisiaj wieczorem?
- No, właściwie... Travis zapowiedział, że idzie na noc do kolegi, a ja poczułam się tak okropnie, że zatelefonowałam do Kinga. Zostałam zaproszona do niego, on robi nam kolację.
- Idziesz do jego mieszkania?
- Taaa...
- Po raz pierwszy, prawda?
- Tak, ale nie podniecaj się za bardzo. Jesteśmy po prostu kumplami, już ci to mówiłam. A poza tym, zdaje się, że znalazł sobie dziewczynę.
- Co ty mówisz!
- Tak, spotkał się z nią. Ona dała ogłoszenie... Powiedział mi, że nie zareagowała na niego ze wstrętem, więc może następnym razem, kiedy się umówią, coś z tego wyjdzie.
- Naprawdę?
- To znaczy... no...
- No dobrze, wyjdzie, nie wyjdzie, ale czy on myśli o niej serio?
- Tak sądzę.
- A ty co na to? Śmieję się.
- Świetnie! Przecież jesteśmy tylko przyjaciółmi! Cisza.
- No, jesteśmy! - Znowu patrzę na zegarek. Powinnam skończyć tę rozmowę, już za długo gadamy.
- Wiesz, Sam, spytałam cię kiedyś o coś, już nie pamiętam o co, ale powiedziałam wtedy: „No dobrze, ale co ty z tego masz?”. I pamiętasz, coś mi wtedy odpowiedziała? Rzekłaś: „O co ci chodzi?”.
- No i o co ci chodzi?

- Chodzi o to, że w którymś momencie musisz pomyśleć, czego chcesz i wówczas do tego dążyć!

- ja... Jesteśmy tylko kumplami, Rita.

- Świetnie. Zadzwoń do mnie potem. Umieram z ciekawości, jak wygląda jego mieszkanie.

Odkładam słuchawkę i wzdrygam się, jakby zrzucając z siebie niemiłe uczucie.

Telefon znowu dzwoni. To King.

- Hej - mówię.

- Coś wypadło. Przepraszam, że tak późno cię o tym powiadamiam. Muszę jednak przełożyć naszą kolację na inny wieczór.

- Och! W porządku.

- Zatelefonuję wkrótce.

Znowu odwieszam słuchawkę. Pewnie zadzwoniła do niego nowa przyjaciółka. A dlaczego miałyby nie podtrzymywać tej znajomości? Bóg jeden wie, jak trudno jest spotkać kogoś odpowiedniego.

Wlokę się do łazienki, zdejmuję lokówki. Edward się postarał - ufarbował mi włosy na bardzo twarzowy odcień. Uświadamiam sobie, że naprawdę byłam ciekawa reakcji Kinga na tę zmianę. No cóż. Innym razem.

W domu panuje taka cisza. Edward wyjechał na weekend, Lawenda gdzieś poszła. Schodzę na dół, zaglądam do lodówki, nastawiam wodę w rondelku, żeby sobie podgrzać parówkę, ale w końcu przekręcam gałkę palnika na zero.

Godzinę później leżę w łóżku, wpatrując się w sufit. Z dołu dochodzi dźwięk z telewizora, który nastawiłam, żeby coś obejrzeć, ale w końcu dałam spokój. Nie zgasiłam go, bo chciałam słyszeć jakieś głosy. Dobiega mnie ryk reklamówki. W gruncie rzeczy wszystko jest reklamówką, nawet programy między nimi.

Wstaję i idę do łazienki jeszcze raz obejrzeć fryzurę. Okropna. Czym ja się łudziłam? Moczę rękawicę kąpiel-



wą i trę nią włosy, żeby zobaczyć, czy farba nie zejdzie. Nic. Ani drgnie.

Wracam do sypialni. Staję w oknie ze skrzyżowanymi ramionami, patrzę przed siebie. Na ulicy nie ma żywego ducha. Nigdy nikogo na niej nie ma. Wszyscy siedzą w domach. Zastanawiam się, co tam robią, jeśli ktokolwiek z nich jest równie samotny jak ja. Co by było, gdyby tak zdjąć dach, sprawić, że dom stałby się naprawdę otwarty, i zajrzeć do jego wnętrza? Co bym tam zobaczyła? Na pewno zachowania niektórych nie byłyby dziwniejsze od moich.

Och, dlaczego nie ma Ośrodka Społecznego Dla Ludzi Którzy Pragną Czegoś Małego? Gdyby tylko moi bliźni mówili prawdę o swoich uczuciach, taki ośrodek byłby przez cały czas przepełniony. Już ja to widzę - krzesła ustawione w półkole, a siedzący na nich ludzie mówią: „No nie wiem, po prostu chciałem tu zajrzeć”.

Spoglądam na swoje ramię, zbliżam je do światła, żeby przyjrzeć się mu dokładniej. Nie tak dawno skóra wyglądała jak krepina. I nadal tak wygląda. No cóż, jest starsza, to wszystko. To się zdarza, ale zmiany zauważa się nagle. Wczoraj zatrzymałam wzrok na ogłoszeniu o planie emerytalnym i gapiłam się na zdjęcie przedstawiające grupę starszych osób, które niewątpliwie czuły się byczo, siedząc przy stole biesiadnym. Trzy kobiety i mężczyzna, wszyscy w uśmiechach. Usiłowałam wyobrazić sobie siebie na tym zdjęciu jako babsko po siedemdziesiątce, rozpaczliwie z kimś flirtujące. I nie zdołałam. Jakże ja kiedyś przejdę na emeryturę? I po czym? Ale bez wątpienia jestem w dojrzałym wieku. Niedługo stanę się stara. Mój Boże. Uzmysłowiłam sobie, że dotychczas łudziłam się, sądząc, że mam jakiś wybór. Następny! - wyobrażałam sobie krzyk jakiegoś naganiacza z ankieta. Sam Morrow, będziesz teraz obchodzić piernikalia? A może chcesz zawrócić do trzydziestki?

Nawet stoicki King odczuwa chyba zbliżanie się wieku średniego, choć na swój indywidualny sposób. Przed

paroma dniami pokazał mi odnalezione w papierach zdjęcie jakiegoś sławnego astrofizyka na tle krajobrazu, który wydał mi się południowo-zachodnią połacią kraju. W oddali widniały niskie, fioletowe wzgórza. Ziemia była porośnięta gęstymi krzewami, tu i ówdzie błyskały kamienie, a na piaszczystej glebie można było dostrzec ślady stóp człowieka. Niebo na górnym skraju zdjęcia wydawało się rozległe, niemal o stałej konsystencji, intensywnie niebieskie. Lecz niżej odcinało się ciemną krechę, nadciągała noc.

Obok astrofizyka stał teleskop wycelowany w przestworza - pełen gracji, czujny, gotów ujawnić tajemnice kosmosu. Mężczyzna jednak nie zwracał nań uwagi. Jego wzrok był skierowany do wnętrza wózka dziecięcego, skąd wystawała piastka, jakby w powitaniu. Facet trzymał jedną dłoń na ręczce wózka, a drugą wsunął do kieszeni. Miał szeroko rozstawione nogi i uśmiechał się. Wyglądał tak, jakby znajdował się w zgodzie z samym sobą, zaabsorbowany powszednim cudem.

- Patrzę na to i po prostu się dziwię - orzekł King. - To znaczy, to zdjęcie każe mi się zamyślić.

- Tak - odparłam cicho. - Tylko tak. A przecież chciałam zapytać: „Co przez to rozumiesz? Czy chcesz powiedzieć, że związek z innym człowiekiem jest silniejszy? Lepszy?”.

Odwracam się od okna i zastanawiam się, czym bym się mogła pocieszyć. Gdy byłam małą dziewczynką, pociechę sprawiało mi oglądanie biżuterii matki; większość Veronica odziedziczyła po przodkach. Próbowalam na sobie założyć grube złote bransolety, perły, pierścionki, wszystko na raz. Lubiłam przypinać sobie broszki na piersi, a wtedy cienki materiał, z którego zrobiona była moja koszula, marszczył się pod ich ciężarem.

Podchodzę do szkatułki z moją biżuterią, biorę ją do rąk, siadam na łóżku. Wyjmuję obrączkę, staram się wcisnąć ją na palec. Nie pasuje. Zakładam na mały palec, po chwili zdejmuję. Niechaj tak będzie.

Wkładam wszystkie bransoletki, dziewięć. Oto mój podwójny sznur pereł. Dziesiąta rocznica. Cha, cha.

Mam też parę naszyjników. Zakładam je także, nerwowo zapinam na karku. Następnie schodzę na dół, żeby wziąć ogromny baton czekoladowo-migdałowy, który kupiłam sobie wczoraj, i w ostatnim momencie wkładam go do zamrażalnika, żeby nie zjeść w całości. Eee, właśnie że zjem. Po kolacji. Zrobię sobie płatki, mam apetyt na jakieś danie z dużą ilością cukru. Skorzystam z płatków, które kupiłam Travisowi, licząc, że to sprawi, iż zechce jednak ze mną mieszkać.

Siadam przy stole, wsypuję do miseczki płatki w wielu kolorach, zalewam mlekiem. Moje ramię jest ciężkie, ale pełne energii. To mi się podoba. Ani samotna, ani smutna, mam się świetnie. A płatki są po prostu pyszne. Dosypuję ich trochę więcej do miseczki, biorę do ust kolejną łyżkę i zamykam oczy, by lepiej poczuć smak. Ale co potem? Wstaję, wyjmuję baton z zamrażalnika, żeby nie był taki lodowaty. Następnie sprawdzam, co jeszcze można wyciągnąć z lodówki. Może będzie jednak jakiś niezły film w telewizji, albo wezmę dobrą książkę, którą sobie kupiłam, ale nie miałam jeszcze okazji przeczytać, albo ktoś zadzwoni. Kto? Kto? Z zielonego pudełeczka wybieram garść malin i wrzucam je do otwartych ust. Wtedy przypominam sobie, że należą do Edwarda, a na dodatek są ekologiczne, więc zastanawiam się, czy ich nie odłożyć. Ale przecież mogę pójść do sklepu spożywczego i je odkupić! Kroję spory kawał sera, pożeram zrolowany plasterek mortadeli. I wracam do stołu, żeby dosypać sobie płatków.

Może powinnam umieścić baton w kuchence mikrofalowej; w tym tempie nigdy się nie rozmrozi. Wypijam mleko z dna miseczki po płatkach, sięgam po serwetkę, by wytrzeć sobie usta, i wtedy dostrzegam stojącą przede mną Błękitną Lawendę.

- Och! - wyrywa mi się. - Hej!

- Hej - słyszę w odpowiedzi. - Właśnie weszłam. -

I, spoglądając na moje ramiona i dekolt w błyskotkach, dodaje: - Ale ci w tym ładnie!

- Dzięki. Chcesz trochę płatków?

- Nie, dziękuję. - Trzyma w ręku książkę, wzdycha. -Zadania domowe. Chociaż uczenie się tego jest absolutnie pozbawione sensu. - Schodzi na dół, zamyka za sobą drzwi.

Kończę płatki, wkładam baton z powrotem do zamrażalnika, ruszam na górę. Zdejmuję całą biżuterię, odkładam ją na miejsce. Następnie kładę się na kapie, gaszę światło. Przypuszczam, że odpoczywam przed zaśnięciem. Chciałabym móc wierzyć. Pragnęłabym umieć się modlić.

Wstaję z łóżka, klękam, nisko pochylam głowę. Gdzieś, w jakimś łóżku, leży para trzymająca się za ręce. Będą ze sobą razem póty, póki jedno z nich nie umrze. Nie będą się nienawidzić przy śniadaniu, będą wdzięczni za obecność drugiego. Są tacy gdzieś. I to jest moja modlitwa.

King i ja jemy kolację w jego malutkim mieszkaniu. Kiedy telefonował do mnie wczoraj - wyznał teraz -bardzo źle się czuł, ale był zbyt zawstydzony, żeby mi

o tym powiedzieć. Coś... gastrycznego.

- Czy to było...? - zapytałam.

- Tak - odrzekł szybko.

Mieszkanko Kinga jest umeblowane rzeczami bez wątpienia wygodnymi. I nie pasującymi do siebie; takie wciąż można znaleźć w sklepach Armii Zbawienia. Sofa, fotel, stojąca lampa w saloniku. Wyplatany chodnik, stereo. W sypialni łóżko z mosiężnych rurek, biała kapa, szafka nocna. Staroświecka łazienka z wanną na nóżkach. Kuchnia, która aż kipi z nadmiaru utensyliów. I malutki drewniany stolik, przy którym teraz siedzimy.

- Czuję, jak życie wymyka mi się spod kontroli -mówię. - Jakbym robiła niewłaściwe rzeczy. - Ale to dziwne, bo zarazem zaczynam się czuć lepiej niż kiedykolwiek przedtem. To znaczy, szczęśliwsza.

- A cóż jest złego w tym, co robisz?

- Nie wiem. Wszystko. Mam takie dziwne zajęcia. No i ci współlokatorzy. Mój syn uważa, że padło mi na mózg.

- To jego problem. On teraz przechodzi okres dojrzewania. Uważałby, że masz nie po kolei bez względu na to, co byś robiła.

- No, może masz rację. Ale to coś więcej. Sądzę, że powinnam być... bardziej taka, jak inni.

- Nigdy nie obliczam tego w procentach.

Kiwam głową, patrzę, jak pije wino. Jego rzęsy są takie długie. I czarne.

- Jak ci idzie z... Laurą? - pytam.

- Z Lindą?

- Och. Tak.

- Myślę, że w porządku. Potrzebuję... No, jest wiele spraw, które chciałbym wiedzieć.

- Ale jestem pewna, że cieszy cię umawianie się z nią, wychodzenie razem, prawda?

- Owszem, ale wszystko jest takie nowe. Nigdy nie miałem wiele do czynienia z kobietami. Był tylko ten jeden raz. Ale to...

- Co się właściwie wtedy stało?

Wpatruje się we mnie przez dłuższą chwilę, coś w duchu rozważając. Wreszcie mówi:

- No cóż, to był żart. Dosłownie. Zawsze byłem okropnie nieśmiały, nadwrażliwy. I za gruby, to jasne. Nie próbowałem umawiać się z dziewczętami i nagle, zupełnie niespodziewanie, gdy byłem na pierwszym roku studiów, zaczęła za mną chodzić naprawdę wspaniała dziewczyna. Nie mogłem w to uwierzyć. Ale ona była nad wyraz przekonująca. Wreszcie któregoś niedzielnego popołudnia znaleźliśmy się w jej pokoju i ja...

Milczę, czekam.

- ...wylądowaliśmy w łóżku, byłem tak... - Wybuchają śmiechem. - Krótko mówiąc, byłem skrajnie zemocjonowany. Myślałem, że to oznacza... No, uważałem, że to prawdziwe uczucie i dla mnie było ono wszystkim. Ale to był żart. Ta dziewczyna, miała na imię Christy, założyła się z kimś. Wygrała więc sto dolarów za to, że przespalała się ze mną.

- Och, King, tak mi przykro!

- Ktoś wszedł, gdy było już po wszystkim i zrobił zdjęcie. Oni tam stali przez cały czas za drzwiami. Myślę, że tę fotografię obejrzało mnóstwo ludzi. - Odkłada kieliszek, opiera się na krześle. - Nigdy tego nikomu nie opowiedziałem. Nie przypuszczałem, że kiedykolwiek się na to zdobędę. Ale odczuwam ulgę, że ci to wyznałem, Sam. No, w każdym razie, po tym numerze na zawsze odrzuciłem... Zająłem się bez reszty studiami. Coś, co jest tęsknotą, wzajemnym przyciąganiem się

par, przekształciłem w sobie na pęd do nauki. W nauce jest wszystko. To znaczy, nawet ludzkie emocje. To tak, jakby i ona podlegała pewnym prawom uniwersalnym. Czy pamiętasz, jak odkryto nagie gwiazdy - czytałaś o tym? Śmieję się.

- Nie.

- A wiesz, czym jest naga gwiazda?

Zamyślam się. Wreszcie, nie mogąc dłużej zwlekać, pytam:

- Czy to taka, która się właśnie wydostała spod pryszniczicy meteorów?

- Bardzo zabawne. Ale tak naprawdę, to one są takimi gwiazdami, które zostały pozbawione otoczki swojej atmosfery. I wiesz, dlaczego się tak odsłaniają? Aby zbliżyć się do innych gwiazd. Uważam, że w tym jest coś bardzo ludzkiego. Nie sądzisz?

Kiwam głową. Uśmiecham się.

- Ciągle dostrzegam takie zjawiska. To mnie niesłychanie ekscytuje. A jednocześnie kryje się w tym spokój, w tego rodzaju kontemplacji zyskuję to, czego nie zaznałem w związku miłosnym. Przynajmniej tak uważam.

- Kiedy zaprzestałeś? - pytam.

- Co zaprzestałem?

- No, pracować nad tym.

- Ależ nigdy tego nie rzuciłem.

- Niemniej... Przecież nie wykonujesz zawodu... astrofizyka.

Siada głębiej w krześle, wpatruje się we mnie.

- Czy kiedykolwiek zastanawiałaś się nad tym, jak trudno jest powiedzieć coś, co musi być nadzwyczaj precyzyjne? A zwłaszcza na temat, na którym ci najbardziej

zależy? Słyszysz słowa, które z ciebie wypływają, i zdajesz sobie sprawę, że nie to chciałaś zakomunikować. Chodzi ci o czerwień, myślisz w duchu o czerwieni, a niespodziewanie mówisz... zielonkawy. I chcesz to cofnąć, ale już jest za późno, bo osoba, której opowiadasz, odzywa się: „O, zielonkawy, rozumiem”. Nie jestem pewien, czy w stosunkach międzyludzkich w ogóle natrafisz na prawdziwe przejście z punktu A do punktu B. Natomiast w fizyce może coś takiego zaistnieć.

- Ale... Unosi palec.

- Nie zajmuję się tym zawodowo, ponieważ im dalej jestem od szczegółu, tym lepiej dostrzegam pewną zasadę ogólną. Pojmujesz?

Myślę, że tak. Jednak zbyt trudno byłoby mi powiedzieć, w jaki sposób to rozumiem. Jest to wewnętrzne uznanie jego racji, tęsknota za wykonaniem kroku w przód, co nie tłumaczy się na żadne znane mi słowa. On ma rację, mówiąc o ograniczeniach mowy. Więc zwyczajnie odpowiadam:

- Pojmuję.

Zerka na mój talerz.

- Skończyłaś?

- Tak, dzięki, było pyszne. - Bo było. Kurczak w rozmarynie, piure z ziemniaków z czosnkiem, kolby kukurydzy, zielony groszek. Tort czekoladowy, zrobiony własnoręcznie. Żadne tam gotowce.

- Tajemnicą powodzenia jest maślanka - obwieścił mi. - I do ciasta dodajesz nieco świeżo zaparzonej kawy.

Zbiera naczynia, wkłada je do zlewu, puszcza wodę z kranu. Siedzę na krześle i obserwuję powolne, dokładne ruchy, jest niewątpliwie zadowolony. Z lampy na suficie dochodzi cichy szum, bardzo to uspokajające. Mam ochotę stanąć tuż za nim i oprzeć głowę w płytkiej dolinie jego obojczyka. Zamiast tego piję więcej wina.

- Czy chciałabyś przejść do salonu? - pyta, gdy już skończył zmywanie. Nieśmiałe maniery.



- Tak. - Nalewam sobie wina, idę za nim do saloniku.

- Usiądź, gdzie ci wygodnie - mówi.

Wybieram krzeselko, a on siada na skraju sofy, najbliżej jak można.

- Wiesz, w sprawie tych dorywczych prac, które wykonuję... Wielu ludzi myśli, że jestem leniwy.

Nie odpowiadam. Mnie też to przyszło do głowy.

- Ale potrzebuję... czasu. Dlatego wyprowadzam psy. Nie chcę piąć się po drabinie społecznej, zamieniać gorszy samochód na lepszy. Pragnę czuć się wdzięczny za wszystko, co jest naokoło, za normalne życie. Chcę poznawać to, co widzę wokół siebie. - Pochyliła się, patrzy na mnie intensywnie. - Jak ptaki wiedzą, że lecą na południe?

- Ja tego nie wiem!

- No właśnie, większość nie zadaje sobie tego pytania. A dlaczego nie wiesz?

- No, myślę, że... nie wnikam w wiele rzeczy. Biorę je takimi, jakie są.

- Ale, Sam, posłuchaj: mają wewnętrzne kompasy, reagujące na pole magnetyczne Ziemi. Kierują się światłem słonecznym i gwiazdami. Pomyśl! Kiedy następnym razem ujrzysz ptaka w locie, przypomnij sobie o tym! Takie cuda zdarzają się wszędzie. Czy pamiętasz, kiedy po raz ostatni naprawdę pragnęłaś wiedzieć wszystko?

Odpowiedź przychodzi mi na myśl tak szybko, jakbym ujrzała nagle stary film. Mam zupełnie płaską pierś, mysie ogonki, pochylam się nad brzegiem jeziora, obserwuję, jak spieniona fala zbliża się i oddala i zastanawiam się, co sprawia, że woda jest zielona. Słońce grzeje mnie w plecy. Jestem całkowicie pozbawiona świadomości -moje ciało jest workiem mięśni i kości, których funkcja polega na tym, że prowadzą mnie tam, dokąd ja chcę. Na komódce w domu ustawiłam kolekcję kamieni i różnych liści oraz słój z kokonem, którego inspekcję przeprowadzam tysiąc razy dziennie. Mam fioła na punkcie odkry-

wania rzeczy i zjawisk, jakbym została odłączona od statku kosmicznego z nakazem przedstawienia szczegółowego raportu po powrocie. Niekiedy pieszczę w sobie myśl, że grupka bardzo mądrych istot odzianych w obcisłe srebro pojawi się na lekcji geografii i oświadczy: „Przybyliśmy po Samanthę”. I głęboko wierzę, że wtedy wstanę z ławki i pójdę za nimi, na zawsze zostawiając pojemnik na drugie śniadanie, którego okropnie się wstydzę, ponieważ Veronica zawsze kupuje takie pudełka w niewłaściwym kolorze.

- Tak, doskonale pamiętam, kiedy to się zdarzało - odpowiadam. - Byłam dziewczynką. Małą, ale silną! Taką zaabsorbowaną! Aż któregoś razu obudziłam się i byłam kompletnie niepozobierana, przerażona myślą o wyborze szminki do ust. A kiedy przebudziłam się następnego ranka, byłam już mężatką. A potem rodziłam. A potem zajmowałam się domem i rodziną, co dawało mi przyjemność - teraz traktuję to jako grzech - ale wtedy wydawało mi się, że o to właśnie chodzi. Że w ten sposób ogarniam wszystko.

- Mówiąc metaforycznie, radośnie wyprowadzałaś psy, tak?

- Tak, tak. - Zamyślałam się na moment i dodaję: -A więc... ty niczego nie oczekujesz, prawda?

- Po prostu oglądam sobie dziwowisko - odpowiada. - Uważam, że to ciekawe. Nie wiem, dlaczego ludzie w ogóle tego nie zauważają.

Zdejmuję buty, siadam na podwiniętych pod siebie stopach.

- Einstein nie nosił skarpetek.

- Wiem.

- Tyle wiem o fizyce.

- To prawie dosyć.

- Och, King. Ty zawsze sprawiasz, że czuję się tak... Tak, jakby wszystko ze mną było świetnie.

- Ależ z tobą jest wszystko świetnie, Sam. Jak to się stało, że jeszcze sobie tego nie uświadamiasz?

Jestem okropnie zażenowana nagłym wybuchem płaczu. Szybko ocieram oczy, śmieję się z siebie.

- O Chryste, tego jeszcze brakowało.

- Może powinniśmy gdzieś wyjść - odzywa się łagodnym tonem. -  
Chcesz się wybrać do kina?

Przytakuję. I ja również poczułam, że jeśli zrobimy następny krok, razem spadniemy ze skały. A ja ciągle jeszcze jestem jak zrobiona ze szkła.

- Przy budowie? - krzyczę. - Żartujesz sobie!

- Nic podobnego. - Stacy, urzędniczka w biurze pośrednictwa pracy, stara mi się wyjaśnić swój punkt widzenia. - Oni są pod straszną presją, a ja nikogo nie mogę im znaleźć. Ten facet mówi, że to łatwa praca; twierdzi wręcz, że każdy to może zrobić. I dobrze płacą.

- Ale ja nie mam zielonego pojęcia o pracy na budowie!

- Nie musisz. On ci pokaże, co do ciebie należy. Ubierz się tylko w jakieś stare ciuchy, weź rękawice, a on już zajmie się resztą. No, bierzesz to?

- No... biorę.

Stacy podaje mi adres budowy, idę na górę się przebrać. Wkładam na siebie drelichowy kombinezon i flanelową koszulę. Włosy związałam w koński ogon. Nałożyłam buty do wspinaczki. I niespodziewanie czuję się w porządku.

Mark Quinton jest zabójczo przystojny. To taki typ, który powinien pozować do kalendarzy ściennych, żeby zaspokoić damskie fantazje. Stoi na drabinie w kowbojkach, dzinsach, ma zapięty w talii pas z narzędziami, a na białym podkoszulku napis: *Firma Budowlana Quintona*; pod spodem widać rysunek piły tarczowej. Spogląda na mnie z wysokości, uśmiecha się i pyta:

- Mogę w czymś pomóc?

- Przesłano mnie z agencji. Sam Morrow.  
- To ty jesteś Sam?  
- To ja.  
- Myślałem, że jesteś mężczyzną.  
- Nie. To skrót od Samantha. A ty potrzebujesz do pomocy mężczyzny?

- Nie, to bez różnicy. Miło mi, że przyszłaś. - Schodzi z drabiny, potrząsa moją dłońią. - Wspólnik zachorował, a ja jestem spóźniony z robotą.

- Muszę ci powiedzieć, że nie mam pojęcia o pracach budowlanych.

- Miałaś kiedykolwiek młotek w ręce?

- No... *jasne*.

- Więc coś wiesz o tej robocie.

Rozglądam się wokół. Grube płachty plastiku, pewnie do izolacji dachu i ścian. Kozły zbite z desek, na jednym z nich piła mechaniczna. Mnóstwo desek, kartony z glazurą. Ogromne ilości długich gwoździ. Masa dykty. Stos trocin, elektryczny piecyk z dyszą, dzięki któremu jest tu ciepło.

- A więc czego się po mnie spodziewasz?

- Zaczniemy od przerwy na kawę - odzywa się Mark. - Lubisz drożdżówki z borówkami?

- A jakże!

Wyciąga papierową torbę, rozkłada na desce papierową serwetkę, wykłada dwa ciastka. Następnie z termosu nalewa kawę do tekturowych kubków.

- Już jest z mlekiem. Taką lubimy z moim wspólnikiem.

- Świetnie.

- Bez cukru.

- Doskonale.

- Robimy tutaj kuchnię połączoną z pokojem dziennym - tłumaczy. - Dziś zajmuję się dachem i framugami okiennymi. Chciałbym, żebyś wyciągnęła wszystkie gwoździe z dykty, którą ponownie użyję do budowy dachu. To będzie pierwsza rzecz, dobra?

- Nie ma sprawy.

- Potem wyślę cię moją ciężarówką, żebyś załatwiła parę zleceń. Pojedziesz do tartaku i przywieziesz stamtąd trochę przyciętego na wymiar drewna. Wystarczy, że powiesz moje nazwisko, a oni już wszystko załadują.

- W porządku. - Kończę drożdżówkę dwoma dużymi kęsami, dopijam kawę. - Jestem gotowa.

- Zobaczysz, wszystko pójdzie ci jak z płotka - mówi Mark, szczerząc zęby. Odwraca się w stronę umazanego farbą radioodbiornika. - Lubisz muzykę country?

- Taa...

- Musisz słuchać piosenek country, kiedy jesteś na budowie.

Patrzę uważnie, gdy mi pokazuje, w jaki sposób wyciągać gwoździe: przystawia się pod łepkę tę stronę młotka, która ma rozdwojone zakończenie i ciągnie, trzymając zarazem dyktę i okręcając ją wokół osi. A potem wrzuca się je do plastikowego kubelka, do powtórnego użytku.

Ta praca zajmuje mi dwie godziny, po czym komunikuję Markowi, że skończyłam. Schodzi z drabiny, rzuca okiem na dyktę, którą porządnie ustawiłam w rogu.

- Dobrze. - Patrzy na mnie, kiwa głową. - Podejdź tutaj, nauczę cię, jak zbudować wiązerek. To jest ta rzecz, którą umieszcza się u szczytu okna, aby podtrzymywała ciężar dachu.

Przyciąga dwie belki różnej długości, każe mi je wyrównać, a następnie zbić gwoździami.

- Tu i tu - instruuje, wskazując, gdzie mam wbić gwoździe. - Unikaj sęków. - Rozglądam się nerwowo.

- Czy właściciele są w domu?

- Cholera, nie. Nikogo tu nie ma. Ludzie zlecają mi przerobienie ich siedzib, ale w ogóle do nich nie zagląдают. - Wręcza mi gwóźdź. - To jest trzycalówka. No, to do roboty, dziewczyno.

Umieszczam gwóźdź, nieśmiało klepię go młotkiem.

- Hej, weź mocny zamach! Użyj siły! I ustaw się trochę bokiem.

Robię, jak mi każe, i widzę, że wbiłam gwóźdź na jedną trzecią długości. Spoglądam na niego podekscytowana.

- Tak jest - chwali mnie.

Biorę nowy zamach. Walę mocno. Świetnie się w tym czuję.

- Wbij go do samego łebka! - poucza Mark. Udało się.

- Nie powiem ci, co myślałam, wbijając ten gwóźdź -mruczę, wyprostowując się, z rękami opartymi na biodrach.

- I nie musisz - mówi, wręczając mi następny. Wcale nie myślałam o Davidzie, lecz o sobie. A myślałam tak: Ja! Jestem! Coś warta!

Mark wspina się na drabinę, a ja wracam do zbijania belek. Kiedy już kończę, spoglądam mu w oczy i słyszę:

- No widzisz? Właśnie zbudowałaś wiązerek. Wdycham powietrze pełną piersią. Potakuję energicznie. Kilka razy.

- Teraz pojedziesz ciężarówką. Weź kluczyki, są w kieszeni mojej kurtki. Do składu drzewnego „National Lumber”, wiesz, gdzie to jest?

- Wiem. Wiele razy przejeżdżałam obok niego.

- No to dobrze. Pojedź tam i powiedz, że chcesz zabrać to, co zamówiłem dzisiaj rano. A kiedy wrócisz, pójdziemy na lunch.

- Burger King? - pytam.

- Czy to jest twoje ulubione miejsce?

- Myślałam, że faceci z twojej branży stołują się tylko tam.

- Ja osobiście lubię zapiekanki z tofu - odpowiada Mark. - Ale zgodzę się i na hamburgera.

Siedzimy przy stoliku obok okienka w Burger Kingu. Mark opowiada mi, jak go wywalono z katolickiej szkoły za to, że zakochał się w zakonnicy.

- Mówisz serio? - pytam. Kiwa głową.

- Ona była młodziutka. I któregoś razu dostrzegłem, że spod jej welonu wysuwają się delikatne włosy. Ooo -pomyślałem - pod spodem ukrywa się kobieta! Bo przedtem... w ogóle nie sądziłem, że one są kobietami. Uważałem, że to raczej jakieś osobne istoty.

- A więc zauważyłeś jej włosy i zakochałeś się?

- No, nie od razu. Bo trzeba ci wiedzieć, że miałem uzdolnienia artystyczne. Ona często prowadziła mnie na wzgórze niedaleko szkoły i zachęcała do rysowania. Siedziała przy mnie, niekiedy coś czytała po cichu albo na głos, co było bardzo fajne. Aż któregoś dnia wzięliśmy się za ręce i zaczęliśmy się obejmować. - Wzdryga się. -Całować... W każdym razie ktoś nas wypatrzył, więc mnie wyrzucono, a ją zwolniono. Nigdy potem już jej nie ujrzałem.

- Ile miałeś wtedy lat? - pytam.

- Dwanaście.

- Dwanaście!

Podnosi do ust szklankę z colą.

- A jakże. Mam syna, który niedługo skończy dwanaście lat. I wiesz, patrzę na niego czasami. On mi już więcej nic nie opowiada o sobie.

- Wiem - mówię. - Oni milkną.

- Gdzieś około dziesiątego roku życia stają się bardzo małomówni.

- Racja.

- To sprawia, że żałujesz czasów, kiedy biegali po domu ze smoczkiem, z wystającym brzuszkiem znad pieluchy. Pamiętasz? Te ich komiczne pęпки?

Uśmiecham się do niego. Co za dobry człowiek. Mark obraca w dłoni papierową torbę.

- Gotowa do dalszych zadań?

- Taaa. - W ciężarówce w drodze powrotnej gapię się na swoje ręce. Rosną mi dwa pęcherze. Pękam z dumy.



- Nie mogę odrobić tego durnego zadania - komunikuje mi Travis. - Nienawidzę pana Hausemana. On jest głupi!

- Pokaż mi to - mówię i przerywam obieranie ziemniaków. Przy stole kuchennym Travis podpira rękami czoło, co jest jego stałym gestem świadczącym o rozpacz.

Patrzy na mnie, wzdryga się.

- Ty nie jesteś dobra z matmy!

- Niemniej pokaż. I, dla twojej informacji, miałam szóstkę z algebry.

- Ale to nie to - protestuje.

I ma rację. Nie rozumiem, o co tu chodzi. Coś zbliżonego do geometrii. Ciągle mam w pamięci test z geometrii po pierwszym semestrze w pierwszej klasie gimnazjalnej. Przeznaczony nań czas spędziłam na rysowaniu projektów sukni wieczorowej na tylnej stronie formularza egzaminacyjnego; wszystko, co znajdowało się na stronie frontowej, nad wyraz mnie mierziło.

- Obawiam się, że nie poradzisz sobie z tym przedmiotem - oznajmił mi smutnym głosem mój nauczyciel. Przemawiał do mnie bardzo cicho. W istocie był to szept.

- Wiem - od szepnęłam.

- A może byś do mnie przychodziła po lekcjach kilka razy w tygodniu? Postaram się ci pomóc.

- Dobrze - odrzekłam, myśląc och, proszę, nie. Ale chodziłam i pan Seidel cierpliwie rysował kąty i przeprowadzał dowody, tłumacząc mi każdy krok. Wyjaśniał, co

i dlaczego robi. Ja z kolei gapiłam się na jego rękę, gdy pisał swoim eleganckim charakterem pisma, a zauważywszy obrączkę, zastanawiałam się, jak też może wyglądać jego żona. Kiedy wreszcie uniósł głowę znad papierów i spytał, czy rozumiem, bez słowa tępo się na niego wpatrzyłam. Dał mi tróję z minusem, co było aktem zdumiewającej dobroci.

- Nie mógłby ci pomóc któryś z kolegów? - pytam Trávisa.

- Nie.

- No to zadzwoń do taty. On na pewno wie, jak rozwiązać to zadanie.

- O, on jest w głupiej podróży służbowej.

- Och. No cóż. Przykro mi, ale nie wiem, jak ci pomóc. Pewnie będę musiała jutro porozmawiać z twoim nauczycielem. - Wracam do obierania ziemniaków, wycofuję się z terytorium wroga. Cieszę się w duchu, że już dawno skończyłam szkołę. Gdyby mi kazano iść do domu i odrabiać lekcje, i to na dodatek z pięciu przedmiotów - zaczęłabym wyc.

- Mogę zadzwonić do Kinga? - pyta Travis.

Jasne. Dlaczego wcześniej nie przyszło mi to do głowy?

- Naturalnie. Jego numer jest 247-8893.

- Znasz go na pamięć?

- Tak - odpowiadam. I po chwili: - To łatwy numer.

Travis idzie do salonu, żeby zatelefonować. Nie znosi lekcji matematyki i wcale nie mam mu tego za złe. Ale musi przez to przebrnąć, inaczej skończy tak jak ja.

- King wie, jak to zrobić - obwieszcza po powrocie do kuchni. - To proste.

Uff, całe szczęście. Jego nastrój się odmienił.

- Co mamy na kolację? - pyta. A kiedy mu mówię, nie zgłasza swoich zwykłych pretensji. Tak, bez wątpienia humor poprawił mu się nadzwyczajnie.

Tuż przed zaśnięciem masuję palcami piersi. Znowu czuję ból w obu. To się pojawiło znienacka, ale trwa. Chyba niemożliwe, żebym dostała raka. Przecież rak nie boli. A poza tym - w obu piersiach? Pewnie ten ból zwiastuje owulację. Przedtem go nie miewałam, ale Rita od dawna się nań skarży. Przewracam się na bok, zagłębiam twarz w poduszce i zastanawiam się, czy mam właśnie owulację. I naraz otwieram szeroko oczy, leżę nieruchomo jak manekin. Uświadomiłam sobie, że znowu przytyłam.

Siadam, szukam stopami kapci. Schodzę na dół, idę do kuchni i przewracam kartki kalendarza rękami drżącymi z trwogi. Ani w zeszłym miesiącu, ani w poprzednim nie widzę czerwonego iksa. Przykładam rękę do ust, które kompletnie mi zaschły. Siadam przy stole. Jakże mogłam przegapić? Stało się dokładnie to, dzięki czemu urodził się Travis. A ja byłam taka zła, ponieważ wiedziałam, że wszystkie kobiety chudną w ciągu trzech pierwszych miesięcy ciąży. Ale nie ja. Mój apetyt był zdumiewający. Tyłam i tyłam.

Obiema dłońmi zakrywam twarz, wydaję z siebie jęk. Ale w tym momencie, słysząc skrzypienie drzwi, opanowuję się. Do kuchni wkracza Edward, zmierza do lodówki, wreszcie dostrzega mnie.

- Boże - odzywa się. - Miałem randkę z istotą z piekła rodem. Przypomnij mi jutro, żebym się zabił. Co za ulga ujrzeć ciebie.

Edward jest takim sympatycznym człowiekiem; ogromnie go lubię. I on również był kiedyś bobasem. Wybucham płaczem.

Edward zostawia otwartą lodówkę, podchodzi do mnie, siada naprzeciwko, bierze mnie za rękę.

- Co? - pyta. - Co się stało? O Boże, coś złego przytrafiło się Travisowi?

- Niezupełnie - odpowiadam.

- Nie, po prostu nie mogę w to uwierzyć. - David mówi cicho; restauracja jest zatłoczona, ale wyobrażam sobie, że miałyby ochotę wrzeszczeć: W jaki sposób?

Jest to pytanie na miejscu. Ja sama nie jest zbyt pewna. Ale słyszę swój głos:

- Davidzie, w zwykły sposób. Sperma spotyka jajo.

- Nie jesteś na to zbyt stara?

- Najwidoczniej nie.

Spuszcza wzrok, miesza palcem kostki lodu w koktajlu. Ma takie smukłe palce. Założę się, że to też ma długie paluszki. Travis je odziedziczył po ojcu. Podnosząc głowę, David upewnia się.

- Wybacz, ale... to moja sperma, tak?

Siedzę bez słowa przez dłuższą chwilę, wreszcie cedzę:

- Nie, nie sądzę, abym ci wybaczyła. - Wstaję, sięgam po płaszc.

Chwyta mnie za ramię.

- Proszę. Nie rób większego melodramatu niż potrzeba. Zajmiemy się tym, i tyle.

- Ja się tym zajmę - odpowiadam. I otwierając na oścież drzwi, doznaję dziwnego olśnienia: tak czyni dwoje ludzi.

- O Boże - powtarza co chwilę Rita, aż w końcu się odzywam:

- Może przestaniesz? Nie mów więcej „O Boże”.
- No, Sam. Przecież to niesłychane! To znaczy, zachowujecie się tak, jak nastolatki, które żyją w przyczepie campingowej i któregoś dnia idą do łazienki, aby rodzić. I cała rodzina stoi z rozdziawionymi gębami, krzycząc: „Rany boskie!”.
- Jestem ci wdzięczna za niesłychaną wrażliwość.
- Och, przepraszam. Ja wiem, że... No cóż, to tłumaczy twoje szaleńcze stany.
- Tak jakby sam rozwód byłby wystarczającym powodem moich dołków.
- Racja. O, biedna Sam. W podwójnym uścisku. Kiedy twoje hormony wrócą do normy, pewnie się poczujesz jak po lobotomii. A więc kiedy to zrobisz?
- Co?
- Skrobankę.
- Telefonowałam.
- I?
- No i wszystko załatwione. W przyszłym tygodniu. Ale, Rita...
- Nawet tego nie mów.
- Muszę ci to powiedzieć. Wypytywali mnie przez telefon i zaczęłam się wahać. „Była już pani w ciąży?”. Tak, byłam, i wtedy urodził się Travis.
- Nie możesz urodzić.
- Dlaczego nie? Cisza.
- Już jedno sama wychowuję. Czemu nie dwoje?
- O nie, zlituj się. Czy chcesz, żebym znowu przyjechała? Zrobię to. Przylecę, pójdziemy tam razem. Kiedy masz zabieg?
- Nie musisz przyjeżdżać. Dzięki, poradzę sobie.
- Kto z tobą pójdzie?
- Powiedziano mi, że lepiej przyjść w towarzystwie kogoś, ale to nie jest konieczne. Oni wtedy gwarantują opiekunkę.
- Świetnie. Wynajmij-Sobie-Przyjaciółkę.

- Ale ciągle nie jestem przekonana. Muszę to przemyśleć.
- Nie myśl, po prostu zrób.
- Wiesz, Rito, reagujesz jak pieprzony chłop. Nie słuchasz mnie, tylko każesz mi to zrobić. Nie uważam, żebyś zachowywała się właściwie.
- Zgoda. Ale lepiej szybko się zdecyduj.
- Wiem!
- No, już dobrze. Pamiętaj, że będę cię popierać we wszystkim, cokolwiek postanowisz. Ale naprawdę nie uważam, żeby to był odpowiedni czas. To znaczy, o rany, daj spokój!

Nie odpowiadam. Kiedy Travis był niemowlęciem, wstawałam w nocy, żeby go karmić i podnosiłam wtedy jego koszulkę, patrząc, jak oddycha. Jego brzusek poruszał się tak gwałtownie, że sprawiało mi to ból. Wpatrywałam się w niego zalękniona, widząc, jak szybko bije mu puls. Po kilku tygodniach przestawał na chwilę ssać pierś i przyglądał mi się z uśmiechem; mleko spływało mu po bródce. A ja wówczas mocniej go obejmowałam, powtarzając w duchu przysięgę, że nikt nigdy go nie skrzywdzi. To właśnie chcę powiedzieć Ricie. Ale nie potrafię. King ma rację - słowa dają jedynie bardzo ogólnikową wskazówkę, co człowiek chce naprawdę wyrazić.

- Co powiedział David? - dopytuje się Rita.
- Co David powiedział? „Wyskrob to”.
- No, dość obcesowo.
- Kiedy mu o tym zakomunikowałam, czułam się tak... Niewiele rozmawialiśmy. Po co mu o tym w ogóle mówiłam.
- No właśnie, po co?
- Nie wiem.

Nieprawda. Wiem. Powiedziałam mu o tym, bo chciałam, żeby jego twarz się rozjaśniła i żeby się odezwał: „Och, Sam. To cudowne. Słuchaj, jakoś sobie poradzimy. Nie jestem szczęśliwy bez ciebie i Travisa, to nie ma sensu. Chciałbym wrócić”. A wtedy ja przestałabym się

martwić o plan emerytalny, to by załatwił David. I nie zastanawiałabym się, jak to będzie, gdy będę stara, z demencją, siedząca przy oknie w jakimś zaniedbanym mieszkanku.

- Dam ci znać - mówię Ricie. - Powiem ci, co zdecydowałam.

We śnie stoję pod wielkim drzewem, jego kora wygląda jak ziemia po długiej suszy. Z jednego pęknięcia wyrasta czerwony tulipan. Nagle wyciąga się ręka, żeby go zerwać. „Och, nie! - krzyczę. - Nie zrywaj. To nowe życie! To cud!“. Budzę się, otwieram oczy w ciemności, mrugam powiekami, zamykam oczy.

Dwa dni przed wyznaczoną wizytą biorę sobie dzień wolny i oznajmiam Travisowi jedzącemu śniadanie, że dziś uporządkuję jego szafę.

- Nie! - krzyczy z ustami pełnymi jajeczniczy.  
- Muszę! Już nawet nie można zamknąć drzwi!  
- Ja to zrobię - upiera się. - Ty wszystko wyrzucisz!  
- Po pierwsze - mówię - nie zabierzesz się do tego. A po drugie, nie wyrzucę wszystkiego.

- Taa, tylko najlepsze rzeczy.  
- Gdybyś umiał zachować porządek w szafie, nie musiałabym tego robić za ciebie. Ja także nie przepadam za układaniem rzeczy na półkach. Tłumaczyłam ci już setki razy...

- Och, daj mi spokój z tymi swoimi lekcjami.  
- Travis, nie mów do mnie takim tonem. Przysięgam na Boga, że jeśli jeszcze raz tak się do mnie odezwiesz, dostaniesz w twarz. Nigdy cię jeszcze nie uderzyłam, ale zapewniam cię, że jestem do tego zdolna.

Wybałusza oczy.

- O rany, ale jesteś upierdliwa!  
- Tak, jestem.  
- Dobrze o tym wiem!  
- Idź do szkoły. Wstaje.  
- Idę!  
- Świetnie.  
- Świetnie!



Gdy patrzę, jak Travis podchodzi do drzwi, Lawenda wynurza się z sutereny i wkracza do kuchni.

- Hej - piszczy głosem przesiąkniętym snem.

- Hej.

Widzę, jak bierze łyżkę i wyciąga z lodówki kartonik z jogurtem. Siada przy stole, otwiera wieczko, wacha jogurt, krzywi się.

- Naprawdę nie znoszę tej mazi.

- No to dlaczego ją jesz? - pytam zmęczonym tonem.

- Bo wszystko inne jest trujące - odpowiada. - Wszystko skazuje cię na raka. Ta planeta jest kompletnie porąbana. - Bierze do ust łyżeczkę jogurtu, wzdryga się.

- Lawenda?

- Taa?

- Czy powiedziałaś Travisowi, że jak będzie jadł śnieg, to może umrzeć?

- Bo to prawda!

- I że za parę lat będziemy musieli wszyscy nosić maski przeciwgazowe?

Wzrusza ramionami.

- Wiesz - ciągnę - zastanawiałam się nad czymś. Nie sądzę, żeby sprawy dobrze się układały za twojej tu bytności.

Spogląda na mnie, wzdycha.

- To znaczy, że mnie stąd jakby wyrzucasz, tak?

- Nie „jakby”.

- Wiedziałam, że tak będzie.

- Na pewno wiedziałaś.

- No to... do końca miesiąca, tak?

- Tak.

Lawenda kiwa głową.

- To mi się zawsze zdarza.

- Mówiąc szczerze, nie jestem zaskoczona. - Mam ochotę oznajmić Lawendzie, że domyślałam się, od kogo dostała referencje. Pewnie od krewnych, którzy chcieli się zabezpieczyć, żeby nie wylądowała u nich. Ale co to ma za znaczenie?

Idę na górę do pokoju Trávisa, siadam przy jego biurku i rozglądam się wokół. Zasał łóżko, niestarannie, ale zasał. Poprawiam prześcieradło, wygładzam narzutę. Znajduję skarpetkę, ściskam ją w dłoni. Wyglądam przez okno, przypominając sobie czasy, kiedy jego broda ledwie sięgała parapetu. Pamiętam, jak siedział mi na kolanach, gdy pomagałam mu się rozebrać. Patrzył wtedy przez okno i widząc zachodzące słońce, rzekł ze zdumieniem: „Niebo się zapada”. Kiedy zeszłam na dół, mówiąc z uśmiechem Davidowi, co usłyszałam, on odparł: Ha, on jest porąbany.

Otwieram szafę, zaglądam do niej z niesmakiem. To jest wręcz zdumiewające, to znaczy ten twórczy bałagan. Prawdziwa rzeźba z ubrań, gier, starych podręczników, butów, wieszaków, pisaków bez nasadek. W kącie leży sterta książek dziecięcych, jego najulubieńszych. Wyciągam jedną z nich. *Pumpernikel i Zły Zielony Ser*. No tak. Otwieram książeczkę, zatrzymuję wzrok na rysunku przedstawiającym słońca i chłopczyka grających w karty na łódeczku. Ani Travis, ani ja nie widzieliśmy w tym nic nadzwyczajnego. Jasne, że słońca i chłopczyki grają razem w karty. A co się stanie potem? Zamykam książkę, odkładam ją do szafy i podchodzę do telefonu.

- Mówi Sam Morrow - odzywam się. - Chciałabym odwołać wizytę.

Późno wstaję, bo oglądałam *E.T.*, nie mogąc zasnąć w nocy. Nagle czuję między nogami coś ciepłego, lepkiego. Biegnę do łazienki, spuszczam spodnie od piżamy. Wycieka ze mnie sporo krwi. Idę do kuchni, dzwonię na ostry dyżur do szpitala, mówię cichym głosem do pielęgniarki. Ona chce wiedzieć, ile mam lat. Och, tak. Mogę przyjechać, jeśli chcę. Albo po prostu przeczekać. Wszystko na pewno odbędzie się bez komplikacji. Jeśli skurcze w podbrzuszu nasilą się, jeśli będę miała gorączkę, a krwawienie nie ustąpi...

- Tak, rozumiem - odpowiadam.

Znowu wyczuwam krew w kroku, pędzę do łazienki, siadam na sedesie i czekam. Czuję, że coś ze mnie wyskoczyło. Wstaję, i trzymając ręcznik w rękach, próbuję to dostrzec w zakrwawionej wodzie. Po chwili naciągam spodnie i idę do kuchni po łyżkę. Chcę to pochować w ogródku. Pragnę, żeby zostało blisko mnie. Ale to ześlizguje się z łyżki, a lękam się dotknąć tego rękami. Spuszczam wodę i, cicho szlochając, wkładam sobie podpaskę. Odeszło. Wszystko odeszło. Nie mogę niczego zatrzymać przy sobie. Z powrotem w łóżku kładę ręce na podbrzuszu i płaczę tak głośno, że budzę Tralisa. Mój synek otwiera drzwi, wsuwa głowę przez szparę.

- Mamo? Przystaję łkać.

- Tak?

- Czy ty płaczesz?

Co powiedzieć? Czego nie powiedzieć?

- Tak, płaczę.

- Och. - Ociera stopą o stopę. - Chcesz, żebym trochę z tobą posiedział?

Uśmiecham się, czując zarazem, jak łzy spływają mi w kącikach ust.

- Nic mi nie jest, kochanie. Czasami człowiek musi sobie popłakać, wiesz?

- Może.

- No, wiesz... oglądałam smutny film.

- Jaki?

- *EJ*.

- I ten fragment, kiedy on odchodzi?

- Taa... Ty też uważasz, że to było smutne?

- No! Chyba tak. Ale nie za bardzo smutne.

- Zgoda. Przepraszam, że cię obudziłam. Wracaj do łóżka, dobrze? A jutro zrobię nam coś specjalnego na śniadanie.

- Co?

- To, na co masz ochotę.

- Placuszki z jagodami? I smażony bekon?
- Pewnie!
- To dobrze. - Odchodzi, ale zawraca, staje przy mnie. - Mamo?
- Tak?
- Mam nadzieję, że czujesz się lepiej.
- Dziękuję. Nic mi nie będzie.

Waha się, wreszcie pochyla się, żeby pocałować mnie w policzek. Czyję silny ucisk w gardle. Zaciskam ręce w pięści, żeby nie rozpłakać się w głos.

- Czy ma pani ochotę spróbować odrobinę naszego nowego sera? - pytam.

Starsza kobieta staje przy wózku na zakupy, patrzy na mnie spod łba.

- Co to jest?

- Nowy gatunek sera szwajcarskiego. Dużo mniejsza zawartość tłuszczu niż w innych.

- A przynajmniej dobry?

- Może pani skosztuje? Wzdryga się.

- Nie, nie sędzę.

Znowu odstawiam tackę z folii aluminiowej na składany stolik. Mam na sobie fartuch z wizerunkiem krowy. Już raczej wolałabym zbijać belki. Ale to jedyna dorywcza praca, jaką dziś dostałam.

- Ma pan ochotę na próbkę naszego nowego sera? - zagaduję mężczyznę w średnim wieku.

- Czy to idzie z hamburgerem? - pyta.

- Nie, proponuję tylko sam ser.

- Przecież żartowałem - drwi tamten. - Chyba nie masz, kobieto, poczucia humoru, prawda?

Uśmiecham się półgębkiem.

- Chyba nie.

Wieczorem dzwonię do Kinga.

- Dzisiaj wtykałam ludziom próbki serów. A ty co robiłeś?

- Malowałem sypialnie w nowym domu. Śnieżna biel, śnieżna biel, śnieżna biel.

- Mam już dosyć pracy.

- Świetnie. Jutro zrobimy sobie wolne i pójdźmy do kina.

- Na dwa filmy.

- Jasne.

Odwieszam słuchawkę i słyszę szepty. Gramolę się z łóżka, wychodzę do holu. Dostrzegam Trávisa i Edwarda skulonych przy drzwiach wejściowych.

- Co wy tam, chłopaki, robicie? - wołam. - Już minęła północ!

- Szszsz... - Edward gwałtownymi ruchami domaga się, żebym podeszła bliżej.

- O co chodzi? - odzywam się i znowu zostaję uciszona. Gdy stoję, tuż obok Edwarda, pytam szeptem: - Co się dzieje?

- Podejrzewam, że to... intruz - szemrze Edward, patrząc znacząco na Trávisa. Ach. On ma pewnie na myśli mordercę. Edward ścisną jedną ręką klapy szlafroka pod szyją, a drugą wymachuje raketką do squasha.

Przyciągam Trávisa do siebie.

- Ty idziesz na górę. Raz, dwa! - Jutro sprawię nam psa.

- Nie pójdę na górę! - odpowiada Travis. - On może tam wejść!

Może. Może być tam nawet teraz. Mógł mnie śledzić, gdy schodziłam na dół!

- Kiedy go słyszałeś po raz ostatni? - wpytuję Edwarda.

- On jest na dworze. Myślę, że ukrył się w krzakach.

- No i co mamy zrobić? - pytam. - Mam wezwać policję?

- To może strasznie go wkurzyć - odpowiada Edward. I dodaje po chwili: - Och, to idiotyczne! Potrzebujemy mężczyzny w tym domu!

- Mamo - odzywa się Travis.

- Co? - Patrzę na jego spiętą twarz i natychmiast się uspokajam. - Chodź ze mną - przekonuję go. - Zadzwońmy na policję. Oni natychmiast przyjadą. - Wykręcam 911 i wyraźnie wygłaszam tekst, jakbym była nagrywana.

Po trzech-czterech minutach zajeżdża patrol. Obserwujemy z okna, jak dwóch potężnych gliniarzy wysiada z auta. Niebieski kogut miga tym razem na nasze szczęście.

- Muszą zachować ostrożność - mamrocze pod nosem Edward. - Jak oni mogą tak wychodzić jak gdyby nigdy nie!

- Przecież mają broń - szepcze Travis. - Pewnie trzydziestkiósemki. Albo może nawet magnum!

- O czym wy gadacie? - wtrącam ostro. - Co wy pleciecie o broni? Nie bawcie się w gangsterów i policjantów!

- Zastanów się - odpowiada urażony Edward - co ty wygadujesz. Uważasz, że to odpowiednie miejsce i czas? Może za chwilę nie będzie nas wśród żywych? Wtedy dopiero możesz go sobie zabić.

- Szszsz. - Tym razem ja wydaję z siebie syk. Teraz wyraźnie i do mnie dociera jakiś szelest w krzakach. I wtedy gliniarze również kogoś dostrzegają, dokładnie w tym samym momencie kładąc ręce na kaburach, dokładnie w taki sam sposób. Mała choreografia policyjna. Balcik. Zaczynam się śmiać.

Edward gapi się na mnie z wytrzeszczonymi oczami.

- Wyłaż z rękami nad głową! - słyszę komendę jednego z policjantów. Jestem podekscytowana tym rozkazem, które tak dobrze znam z telewizji. Drobną postać wynurza się z gąszczu. To Błękitna Lawenda, która w historii usiłuje wyjaśnić gliniarzom, że czegoś stąd zapomniała, to wszystko. Statuetkę Świętego Judy, którą zakopała przed domem, gdy tylko się wprowadzała. Miała przynieść jej szczęście - opowiada, zachłystując się łzami, wsiadając do auta policyjnego. W rękach ściska ubłoconą figurkę świętego.

Otwieram drzwi wejściowe.

- Chwileczkę!

Jeden z gliniarzy zatrzaskuje drzwiczki od strony Lawendy, a następnie idzie w moim kierunku. Drugi siada za kierownicą i odwraca się, żeby przyjrzeć się zatrzymanej z wyraźnym zafrasowaniem malującym się na jego twarzy.

- W porządku - mówię do policjanta stojącego na progu mego ganku.

- Ona tu mieszkała. Właśnie się wyprowadziła.

- To nie chcę pani zgłaszać skargi?

- Nie.

- Ona zawsze pojawia się tak późno? - upewnia się policjant.

- Ma kłopoty ze snem.

Gliniarz obmacuje językiem ząb, mlaska.

- No, zgoda. Dobrej nocy.

Zamykam drzwi, odwracam się do Edwarda, który wtyka swoją raketkę w kąt szafy. Przeczesuje palcami włosy, potrząsa głową, mocniej zawiązuje pasek u szlafroka.

- No - mówi w końcu. - Dobranoc.

- Ja nie jestem zmęczony - oświadcza Travis. Wygląda jak z krzyża zdjęty.



Ja też postanowiłam się ubrać w najlepsze ciuchy. To tylko zaproszenie na lunch, ale wyczułam coś szczególnego w jego głosie.

Widzę, jak David pojawia się w drzwiach, macham mu na powitanie. Podchodzi do stołu, uśmiecha się. Siada. Znowu się uśmiecha.

Staje nad nami kelner. Zamawiam herbatkę ziołową.

- To samo - rzuca David.

- Ty to lubisz? - pytam. - Nigdy jej nie piłeś. Wzrusza ramionami.

- Tak zimno na dworze. Wydaje mi się, że dobrze byłoby napić się jakiegoś gorącego płynu.

- Racja. Zimno.

- Tak. Sam... - Długa cisza.

Czekam. Ma podkrążone oczy. Trochę schudł. Kelner przynosi nam herbatę, oboje zamawiamy kanapki. I dopiero po jego odejściu David się odzywa:

- Nie wiem naprawdę, jak to powiedzieć. Ale dużo myślałem. Sam, popełniłem straszny błąd. Wracam do domu.

Siedzę sparaliżowana.

- Czy sądzisz, że powinniśmy o tym powiedzieć Travisowi razem?

- No, Davidzie, ja...

- Nie musisz odpowiadać od razu. Możemy obmyślić najlepszy sposób poinformowania go. Ale co za ulga!

- A co z twoją dziewczyną?
- Och, to było... Ona była tylko...
- Rzuciła cię?

Patrzy mi głęboko w oczy.

- Nie, to była moja decyzja. Mówi prawdę.

Staram się sobie wyobrazić, jak obwieszczam tę nowinę Travisowi. Jaki będzie szczęśliwy, że jego tata wraca do domu. A ja odzyskam swoje dawne życie.

- Bardzo mi ciebie brakowało, Sam. Wiele zrozumiałem o sobie, o naszym związku, o tym, co stworzyliśmy, co ja właściwie... - Wpatruje się w filiżankę, potrzasa głową.

- Za czym tęskniłeś, Davidzie?

Podnosi wzrok, wybucha nerwowym śmiechem.

- Daj spokój, Sam. Myślę, że doskonale wiesz.. Brakowało mi naszego życia codziennego, Trávisa, ja właśnie...

Przetykam ślinę, dotykam jego ramienia.

- A za mną, Davidzie? Czy za mną tęskniłeś? Za czym w szczególności?

- No... - Znowu się uśmiecha, pochyla nad stołem. -Za... wszystkim. Za tym, że zawsze byłaś dla mnie. Za tym, że nigdy nie wypytywałaś, nie stawiałaś do kąta. Nawet posiłki, które przyrządzałaś, ty...

- Davidzie, a może tak: uwielbiałem cię za to, że twoje sznurowadła były zawsze rozwiązane, za to, że szlochałaś nad okolicznościowymi pocztówkami, za to, że starałaś się ukryć liszaj na policzku. I za twój pieprzyk na prawej piersi.

- Taa?

- Za późno. - Biorę do rąk torebkę. - Przykro mi, ale będzie lepiej, gdy stąd odejdę, od razu.

- Sam, poczekaj chwilę!

- Później porozmawiamy, Davidzie. Ale nie o tym. Pardon.

Istnieję, odrobinę. Idę ulicą, myśląc o nim, siedzącym

przy stoliku. To dziwne; trochę mnie boli, że jego spodnie są mi nadal bliskie i znajome. Wiele razy zanosiałam do pralni koszulę, którą miał dziś na sobie. Jego spodnie i pasek widziałam wielokrotnie w naszej garderobie, wiszące na wieszaku. Myślę, że mogłabym wyrecytować, co ma w kieszeni. Ale wkrótce nastąpi taki czas, że nie będę miała o tym pojęcia.

Lasagne ze szpinakiem King robi specjalnie dla mnie, na wielki obiad niedzielny, a ja zapowiedziałam, że przyniosę bułkę zapiekaną z czosnkiem. Spędziłam pół dnia, robiąc ciasto, ale teraz, gdy wyjęłam ją z piekarnika, pożałowałam zmarnowanego czasu. Wygląda okropnie. Odłamuję kawałek, kosztuję. No, gdybym miała żyć z wypieku chleba... Zapamiętam to sobie. Wrzucam bułkę do śmieci i wyruszam do supermarketu Franco's, Siedziby Ciasteczek Pepperidge Farm.

Kiedy stoję na progu mieszkania Kinga, gospodarz wita mnie niskim ukłonem i powiewa w powietrzu ścierką. Ma na sobie fartuch i gdy się wyprostowuje, widzę, że zapuścił wąsiki. Uśmiecham się, wyciągam rękę, żeby go po nich pogłaskać, ale on osłania je dłonią.

- Nie uszkodź mi ich - ostrzega. - Zajęło mi mnóstwo czasu, żeby wyglądały realistycznie.

Stół w kuchni nakrył obrusem w biało-czerwoną szachownicę; pośrodku postawił paluszki w kielichu, półmisek z zakąskami włoskimi, a w butelce po Chianti umieścił świecę.

- No, po prostu wspaniale - mówię ze śmiechem.

- Dzięki. Proszę usiąść. Życzy sobie pani trochę wina?

Wczesnym popołudniem? A właściwie dlaczego nie? Kiwam głową. Przysuwam krzeselko jak najbliżej blatu stołu, biorę kieliszek do ręki. Nalewa mi wina do połowy,

ale gdy stawiam kieliszek, napelnia go po brzegi. To z pewnością moja ulubiona restauracja.

- Ale się najadłam! - odzywam się. - Aż mnie brzuch boli. - Leżę na sofie u Kinga, zrzuciłam pantofle, obok nich stoi pusty kieliszek po winie.

- Taa, ja się czułem właśnie tak po każdym posiłku - odpowiada King.

- Nie zjadłeś nawet połowy tego, co ja.

- Jasne, że zjadłem.

Chce być gościnnie. Bo sam wziął tylko dwie dokładki.

- Sporo straciłeś na wadze, prawda? Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu pytaniu. A może masz?

- Nie, naturalnie że nie. Schudłem osiemnaście kilo. Jeszcze osiem i pobiję Edwarda w szczupłości.

- Aha, i chcesz zrzucić jeszcze osiem, tak?

- Tak planuję.

- To świetnie - dodaję. - Chociaż...

- Co?

- Nic, tylko chciałam ci powiedzieć, że teraz wyglądasz doskonale.

Nic nie odpowiada, a ja spuszczam wzrok, bo czuję, że się rumienię. Nie powinnam była tego mówić. Przecież nie dla mnie zrzuca kilogramy.

Wreszcie, by przerwać ciszę, pytam:

- Lubisz okna bez zasłon?

- Nigdy o tym nie myślałem. Czy uważasz, że należy je mieć?

- Nie wiem. Nie. Lubię tu wszystko, co... jest proste.

- Żaden ze mnie projektant wnętrz. Moi rodzice też o to nie dbali. Zajmowaliśmy się głównie czytaniem. No, wiesz, w czasie kolacji, przez cały czas.

- Czy twoi rodzice mieszkają w sąsiedztwie?

- Nie, już nie żyją. Umarli jedno po drugim. Ojciec był w księgarni, pytając o atlas, bo chciał sobie kupić nowe

wydanie. I tam... A mama, dokładnie rok później, zmarła na atak serca.

- Przepraszam, byłam pewna, że nadal żyją.

- No, też mi przykro. Ponieważ oni byli naprawdę szczęśliwi. Zawsze chcieli, żebym ja...

Rozlega się dzwonek do drzwi. Siadam, wślizguję stopy w pantofle. Nie wiem, dlaczego to robię. Myślę, że obawiam się wtargnięcia Trávisa, który zechce mnie sprawdzić. Kiedy King otwiera, widzę w progu smukłą blondynkę, bardzo atrakcyjną, uśmiechniętą.

- Linda! - wykrzykuje King. Och.

- Pomyślałam, że sprawię ci niespodziankę - słyszę jej głos. W jej tonie natychmiast wyławiam ten rodzaj flirtu, który towarzyszy parze mającej się ku sobie. - Co masz na wardze? - pyta i chce mu to coś zetrzeć. I wtedy dostrzega mnie. - Och, jesteś zajęty.

Wstaję.

- Nie ma sprawy. Wejdz. Jestem Sam. Koleżanka. - Żałuję w duchu, że się przeżarłam, że nie nałożyłam tuszu na rzęsy.

King staje z boku.

- Tak, wejdz.

Linda przekracza próg, ale nie rusza się spod drzwi.

- Naprawdę nie mogę zostać. Chciałam tylko podrzucić pożyczoną książkę. - Wręcza mały tomik Kingowi, on dziękuje z uśmiechem.

Chciałabym mieć taki płaszcz, jaki ma Linda. Z wielbłądziej wełny, z kołnierzem, który można postawić. Jej botki są barwy głębokiego brązu, na wysokich obcasach. No, to raczej głupie. Boty na szpilkach. Idiotyczne. Zastanów się, kobieto, czy chcesz wyglądać seksownie, czy bezpiecznie stąpać. Duże złote kółka w uszach, zauważam je, gdy Linda odgarnia włosy. No, niech tylko wda się jakieś zakażenie, to masz z głowy miękką część ucha. Ja też mogłabym mieć włosy blond, gdybym tylko chciała. Słowo do Edwarda

i voila. W zeszłym tygodniu zrobił mi pasemka. Bardzo eleganckie. Linda ma ładną szminkę, ale położyła za dużo różu na policzkach. Poza tym jest głupia, widać to na pierwszy rzut oka. King mógłby lepiej wybrać. Powiem mu o tym. To nawet mu się ode mnie należy jako od przyjaciela.

Zapada nagła cisza, i orientuję się po chwili, że coś do mnie powiedziano.

- Przepraszam? - mówię z okropnym, fałszywym uśmiechem. Boli mnie w mostku.

- Ach, tylko powiedziałam, że miło mi było cię poznać - odzywa się Linda. - Mam nadzieję, że spotkamy się jeszcze.

- O, tak! Ja też na to liczę!

Gdy King zamyka za nią drzwi, siadam.

- No! Ona jest bardzo miła.

- Taa...

- To ta, którą poznałeś z ogłoszenia?

- Tak.

- A co robi?

- Uczy.

Założę się, że w przedszkolu. Jasne, to właśnie taki typ. Widzę Lindę w tych jej botach na wysokich obcasach, skaczącą po klasie, a wokół siedzą przedszkolaki. I wszystkie są przebrane za króliczki. Ruszają nosami, dłonie przyłożyły do uszu.

- Ona uczy na Uniwersytecie Bostońskim. Okay, pierwszy rok anglistyki.

- A czego uczy?

- Mechaniki kwantowej.

- Och. No, no. To znaczy... Jaką książkę ci przyniosła? King wręcza mi tomik z sonetami Szekspira.

- Lubisz je? - pytam.

- Pewnie. A ty nie?

- Nigdy ich nie mogłam zrozumieć. - Chrząkam. Uśmiecham się.

Muszę iść do domu. W koszu jest chyba ze dwadzie-

ścia kilo bielizny do prania. I muszę wypisać czeki za wszystkie płatności. Stos rachunków. Po prostu sterty.

- Szekspir wcale nie jest taki trudny - odzywa się King. - To na pewno możesz zrozumieć. - Otwiera książkę. - Posłuchaj tego: - Srogie wiatry potrząsają słodkimi pąkami maja. - Nic w tym niejasnego, prawda? - Siada obok mnie na sofie, wskazuje na wers i jeszcze raz go głośno odczytuje. - Widzisz? I one takie są, nie? Słodkie? To znaczy, pąki?

Gapię się na mój brzuch. Jego oddech ma zapach lukrecji. Dlaczego pachnie lukrecją? Mój jest jak fabryka czosnku, jestem tego pewna. Nie twierdzą, że takie firmy istnieją. Fabryka czosnku. Myśląc o niej, mimochodem wyobrażam sobie dziewczyny z blond warkoczami, w białych kombinezonach, stojące przy linii produkcyjnej i scalające ząbki czosnku w główki.

I wtedy patrzę na niego. Jego oddech ma zapach lukrecji, a jego mieszkanie jest przegrzane, ponieważ on wie, że lubię, jak jest ciepło. Czuję jego rękę na moim podbródku. Za chwilę mnie pocałuje.

- King.

Siada na swoim miejscu.

- Przepraszam.

- Nie, to jest... To znaczy, czy nie jesteś... w jakimś związku?

- Z Lindą?

- Tak!

- Myślę, że to raczej ona jest zaangażowana.

- Na to wygląda. - Wstaję, idę do kuchni. - Chodź, pomogę ci pozmywać.

Idzie za mną.

- Nie musisz.

- Nie - odpowiadam. - Ale chcę. Naprawdę. Lubię zmywać naczynia.

Zmywam, a on wyciera. Przez dłuższą chwilę nie rozmawiamy, po prostu stoimy obok siebie, nasze biodra niemal się stykają, pracujemy w ciszy. I nagle biorę



wdech, zostawiam w spokoju zmywanie i zarzucam ręce Kingowi na ramiona. I nie pojmuję, jakim cudem potrafi tak wspaniale całować.

Wyciągam mu na plecach koszulę spod paska od spodni, zastanawiając się w duchu, czy o to rzeczywiście mi chodzi. Odsuwam się od niego o krok, zaglądam mu w twarz.

- Czy jesteś... Czy zgadzasz się? Kiwa głową.

- Czy mamy...?

Znowu przytakuje, bierze mnie za rękę i prowadzi do sypialni. Starannie odkłada koce, potrząsa poduszkami. I wtedy zaczyna rozpinąć koszulę. Ale nieruchomieje.

- Nie wiem... to znaczy, czy dobrze robię?

- Tak.

Nadal stoi bez ruchu.

- Wiesz co? - mówię. - Pogadajmy sobie. Ale na leżąco. Jego ulga promienieje na cały pokój. Kładę się obok,

wyprostowana, na boku. On leży na wznak, ma zamknięte oczy. Teraz, gdy postanowiliśmy spowolnić akcję, marzę, aby ją przyspieszyć. Kładę mu głowę na ramieniu, rękę opieram na jego piersi. Jest potężniej zbudowany, niż sądziłam. Odpinam dwa guziki, czekam i unoszę się, by spojrzeć mu w oczy.

- W porządku?

- Tak - odpowiada. I odtąd już więcej nie rozmawiamy. A kiedy wracam do domu, patrzę na siebie w lusterku wstecznym, by sprawdzić, czy na twarzy odbijają się emocje. Dostrzegam jednak na policzku smużkę z domalowanych wąsików Kinga i ścieram ją z żalem.

O ósmej wieczorem Travis ogląda ze mną telewizję, i wtedy właśnie wraca do domu Edward. Kiwa do nas głową, wieszka palto i wchodzi, by usiąść koło nas na sofie. W trakcie reklamówki Travis pędzi do kuchni, a Edward pochyla się nade mną.

- Co się z tobą stało? - szepcze. A kiedy nie odpowiadam, siada głębiej ze skrzyżowanymi rękami, uśmiechając się. - Pewnie to, co myślałem.

- Co? - pytam. - Przecież o niczym nie wiesz.

- O, daj spokój! Wpatruję się w niego.

- Zęby ci wyschną, jak nie przestaniesz się śmiać. A wtedy usta ci się do nich przyklepią i będziesz wyglądał jak szympan. Przestań się śmiać!

- Ale ty nie przestawaj!

O północy, ciągle ożywiona, dzwonię do Rity.

- Zrobiliśmy to - mówię. Ritę zatyka.

- Opowiedz mi wszystko. Wszystko! Poczekaj! Najpierw wezmę sobie kieliszek wina.

- Dobrze, ja też.

Idę bezszelestnie do kuchni, nalewam sobie kieliszek wina i wracam do sypialni, zamykając zarówno swoje drzwi, jak i drzwi od pokoju Trávisa.

Wchodzę pod kołdrę, podnoszę słuchawkę.

- Jesteś tam?

- Jasne! Opowiadaj po kolei.

- Dobra.

Opieram się na poduszkach, sączę wino, zastanawiam się, od czego zacząć. Widzę znowu nad sobą twarz Kinga, czułość, która podzieliła mnie na dwie osobne istoty -jedną leżącą w ciepłym łóżku w ciepłych ramionach i drugą, która spogląda z góry i potakuje. Tak delikatnie pieścił rękami moje piersi, tak ostrożnie. A po chwili jego usta były na moim ciele i posuwały się w dół tak powoli. A kiedy w końcu wszedł we mnie, zamarł na moment, wstrzymał oddech, oczy utkwiał w moich oczach i wówczas nie było rozdzielenia na cokolwiek. Po raz pierwszy w życiu miałam niesłychane poczucie jednoczesnego brania i dawania, nie było miejsca na nic więcej, nigdzie.

Było to przeżycie bardziej święte niż seksualne, bliskie temu, co uważam za dobrą śmierć. On potem trochę płakał i mówił, że trudno mu było uwierzyć, iż kiedykolwiek go to spotka, jest ogromnie wdzięczny, że to jestem ja, przykro mu, iż się maże, prawdę powiedziawszy, nie wiadomo dlaczego, bo czuje się wspaniale, gotów jest wybiec na dwór i przynieść auta. A ja ściszałam jego dużą głowę, tuliłam ją do piersi, głaskałam po włosach i zapewniałam, że było cudownie, że jestem gotowa mu pomóc pod warunkiem, iż auta będą małe. A potem znowu mieliśmy siebie. Powiedział, że przykro mu, iż ciągle tak dużo waży, gotów jest dalej chudnąć i upewniał się, czy mnie coś nie zabolalo, a ja go zapewniałam, że nie, że jest dobrze.

- Rita? - mówię.

- Taaa?

- Doszłam do wniosku, że nie mam ochoty ci o tym mówić. To znaczy, było cudownie. Po prostu nie chcę wchodzić w szczegóły. Czuję, jakby... należały one tylko do nas obojga.

Cisza. Po chwili Rita odzywa się:

- Sam?

- Tak?

- Czy nadal masz trochę wina w kieliszku?

- Mam.

- No to, dziewczyno, wznieśmy toast.

- Dlaczego robisz takie wymyślne rzeczy? - pyta Travis. - Kto do nas przychodzi?

- Mama i Lydia.

- Tylko?

- Tak.

- No to dlaczego nie zrobisz czegoś zwyczajnego?

- Bo one są nadzwyczajne.

Za oknem słyhać klakson. Travis się nie rusza.

- To tata - mówię.

- Wiem.

- No to... Jesteś gotów?

- Taa... Masz to ciasto, które zrobiłaś na kolację?

- Mam.

- To przepis Kinga?

- Owszem. Zostawię ci trochę. Chcesz? Znow rozlega się klakson.

- Idź, kochanie. Nie każ mu na siebie czekać. Podnosi torbę, zarzuca ją sobie na ramię.

- Tu jest fajniej.

Jak mam się czuć po takiej uwadze? Cieszy mnie to? Nie, martwi. Ale w sumie jestem rada.

I wiem, że kiedyś na stole u Davida też znajdzie się takie ciasto.

Odprawiam Trávisa do drzwi, całuję go na do widzenia, macham Davidowi, pędzę z powrotem do kuchni.

Właśnie włożyłam chleb do piekarnika, żeby był gorący, kiedy rozlega się dzwonek u drzwi, po chwili słyszę, jak mama chichocze w holu. Całuję ją, następnie ściskam Lydię i prowadzę obie do wspaniale przyozdobionej jadalni, na którą one reagują achami i ochami. Travis ma rację. Fajnie tu być.

Siedzimy przy stole zadowolone, przed nami stoją puste talerze deserowe. Lydia opowiada o swoim najstarszym wnuczku, mieszkającym w Seattle; właśnie ją wczoraj odwiedziło.

- On ma prawie czterdzieści lat i, wyobraźcie sobie, stale przychodzi, żeby sprawdzić, czy trzymam na szafce nocnej jego plastikowego konika. Opuścił mój dom, kiedy był malcem, miał wtedy ze dwa latka, a ja włożyłam zabawkę do szuflady, zapewniając go, że będę ją tam trzymała póty, póki nie odwiedzi mnie następnym razem. Ale jemu się spodobało, że konik stał koło mojego łóżka i powiedział, żebym go tam trzymała. I ilekroć się spotykamy, on zawsze pyta, czy może go sobie obejrzeć. Nazywa to „sprawdzaniem pogłowia”.

Dla mnie to ma sens. Kiedyś spędziłam wiele godzin w suterenie u Veroniki, przeglądając bruliony szkolne. Znalazłam rysunki, które Louise i ja robiłyśmy lata temu. Dokładnie je policzyłam, żeby się upewnić, czy mama nie schowała więcej jej prac niż moich. Okazało się, że było ich po równo. Myślę, że zawsze się pragnie, by ktoś po nas przechowywał pamiątki.

Mam schowek na rysunki Trávisa, na jego prace szkolne, projekty plastyczne. Choć on nie jest do nich przywiązany. Któregoś dnia je przejrzał, po czym zapytał:

- Dlaczego trzymasz te śmiecie?
- Możesz ich kiedyś potrzebować - odrzekłam.
- Po co? Przecież to śmieszne!
- Inaczej będzie na nie patrzył, gdy skończysz czterdziestkę.

- No, jasne. Jakbym jeszcze w ogóle mógł widzieć cokolwiek, kiedy skończę czterdzieści lat.

Gapiałam się na niego z otwartymi ustami, a on wyszedł z pokoju.

- Jak twoje życie małżeńskie, Lydio? - pyta Veronica.

- Och, jesteśmy szczęśliwi. Thomas jest wspaniałym człowiekiem. Jakże mi się udało, że na niego natrafiłam, i jaka jestem rada, że podjęliśmy ryzyko wspólnego życia. Ani przez chwilę nie żałowałam.

Moja matka się uśmiecha i spogląda w swój talerz.

- Ale i ty byłaś bardzo szczęśliwa w małżeństwie, prawda? - pyta Lydia matkę.

- Tak, byliśmy ze sobą szczęśliwi. Myślę, że to rzadka sprawa. Moim zdaniem, większość młodych ludzi jest tak zapatrzona w jutro, że zupełnie zapomina o dniu dzisiejszym. I podejrzewam, że tak samo obawiają się szczęścia, jak i bólu! Lękają się powiedzieć, że im zależy na partnerze. Obawiają się podjąć ryzyko. Strasznie się boją okazywania emocji, zapominając, że ludzkość zawsze taka była i taka będzie.

- To prawda - przytakuje Lydia, mieszając herbatę. Nachylają się ku sobie w całkowitej zgodzie. Myślę, że

jestem jedną z tych młodych osób, do których czynią aluzję. Jednym z tych zalęknionych kotów. Lecz przyznałam się do moich pragnień, do mojej własnej uczuciowości. I popatrzcie, dokąd to mnie zaprowadziło.

- Wiesz - odzywa się Veronica - niedawno odwiedziłam koleżankę, u której przebywał ojciec - taki starowina, niegdyś farmer. Naprawdę miły staruszek. Teraz jest niewidomy, ale ani trochę nie ubolewa nad swoim losem. Usiadł z nami i zaczął opowiadać o życiu na farmie. Przyznał, że ciągle o niej śni, a w swoich snach ma dobry wzrok. Powiedział, że może sobie zamówić sny i najczęściej one mu się śnią.

- Coś podobnego! - wykrzykuje Lydia. - Ogromnie bym chciała mieć taki dar!

- No, ja też. Wyobraź sobie! Każdej nocy byłabym

z moim mężem! W każdym razie ten staruszek przekonywał nas, że gdy prosił swoje sny, aby mu się przyśniła żona, to od razu ją widział. Ujrzał ją we śnie, jak byli tuż po ślubie. Stali oboje na ganku, zastanawiając się nad wszystkim, co będą robić. Przysiedli na drewnianych schodkach, słońce właśnie zachodziło. I mówili sobie, ile będą mieli dzieci. On opowiadał, że w tym śnie bez pachniał tak mocno, że mógłby obudzić umarłego. Żona rozplotła włosy, przykryła się nimi jak płaszczem. Patrzyła na niego i uśmiechała się, a on rzekł: „Panie Boże, ona taka piękna, a jednak jest moją żoną”. Wiecie, moja koleżanka i ja siedziałyśmy jak trusie, po prostu nas zatkało ze wzruszenia. Gdy tak na niego patrzyłam, pomyślałam, że życie jest dłuższe niż po kres. Ale on jeszcze dodał, że przynajmniej wiedział, iż wtedy przeżył szczęśliwe chwile. Bo przeważnie - utrzymywał - nie wiemy, co się z nami dzieje. Dopiero potem, gdy się wspomina, człowiek sobie mówi: „O, wtedy byłem szczęśliwy”. A on podkreślał, że poczuł to właśnie wówczas. I później też, wiele razy. I tak zakończył: „Tak, proszę pań, byłem szczerze obdarowany”.

- No to ja się tak właśnie czuję - odzywa się Lydia. Matka patrzy na mnie, a ja kiwam głową. Wiem, że chociaż straciła wszystko, czuje w tej chwili to samo. I pragnie, żebym ja to czuła.

Widzę nagle, jakby z góry, trzy kobiety siedzące wokół stołu jadalnego. Wszędzie naokoło tykają zegary. Gwiazdy błyszczą. One kiedyś były w moim wieku, ja wkrótce będę w ich wieku. One nigdy nie zapomniały o powodach do kochania.

Nie wiem, na co czekam.

Zerkam na zegarek, zaczynam coś mówić.

- Idź - mówi matka.

Nikt nie reaguje, gdy stukam do drzwi. Naciskam klamkę, drzwi ustępują, wsuwam głowę w szczelinę.

- King? - I, po chwili, głośniejsze: - King?

- Sam? - słyszę z głębi stłumiony głos. - Poczekaj chwilę. Jestem w łazience.

Zdejmuję płaszcz i botki, rozbieram się i wkraczam do łazienki naga. On stoi na dywaniku, owinięty w pasie ręcznikiem.

- O, witaj - mówi. - No, no, ładnie ci w tym stroju.

- Wskakuj do wanny - odzywam się. A kiedy robi to, o co proszę, wchodzi i ja. Nachylam się nad nim, obserwuję kaskadę z boku. - Ooo

- dodaję leniwym głosem. To takie miłe - mały wodospad.

- Czy woda nie jest zbyt gorąca?

- Nie, jest dokładnie taka, jaką lubię.

' Bierze mydło, a ja wpatruję się w jego silne ręce, które namydlają mi piersi, potem brzuch.

- King?

- Tak?

- Sądzisz, że mógłbyś mnie kochać? Jego ręce nieruchomieją.

- Masz na myśli... teraz?

- Nie, myślę... ogólnie.

Wzdycha i przez chwilę czuję, jak wszystko we mnie się kurczy, składa, zamyka. Nie powinnam była pytać. To zbyt szybko. Ale wówczas odzywa się:



- Och, Sam. Cóż innego miałbym z tobą robić, jak nie kochać cię na zawsze?

Siedzę tak cicho, że słyszę jego oddech, a on oddycha bardzo delikatnie. Przypomina mi się rozmowa, jaką niedawno odbyłam z Edwardem. Siedziałam przy stole kuchennym, a on stał nade mną, próbując nadać mojej fryzurze jakiś wymyślny kształt. Mówił mi, jak podobni jesteśmy z Kingiem i dlatego nie ma się czemu dziwić, że tak bardzo się polubiliśmy.

- To znaczy, wy oboje biegaliście w swoich kaskach ochronnych, do tyłu - orzekł - żyjąc niczym automaty. Dzięki Bogu, żeście się spotkali i w ten sposób mogliście się obudzić!

- Ja wcale nie byłam automatem - zaprotestowałam, na co Edward odrzekł: - Daj spokój, czy nie widzisz w sobie różnicy?

- No - odparłam z namysłem - wiem teraz, jak zmienić filtr w kominku, jeśli o to ci chodzi. Potrafię też przepchać zsyp do śmieci.

- Myślę, że chodzi o dużo więcej - stwierdził. I tak jest.

Przysuwam się do Kinga, zamykam oczy i znienacka jestem znowu dziewczynką, siedzącą na trawniku przed domem rodzinnym, w gorący letni dzień, odpoczywającą po samotnej zabawie ze skakanką. Między płytami na ścieżce wyrosły nagietki, obłoki są zwierzętami z cyrku, w lodówce stoi lemoniada, na sobie mam piękne czerwone szorty. Ojciec lada chwila wróci do domu, a ja lubię patrzeć, jak wysiada z auta i długimi krokami podchodzi do mnie, z twarzą wyrażającą miłość i uwagę. Biegnę w jego stronę, a on mnie podnosi. Po chwili wchodzimy razem do domu, cokolwiek nas tam czeka. Jesteśmy pełni wiary, czujemy w sobie łaskę. Pamiętam o tym, teraz.